

**MARGIT SANDEMO**

# **TRZY ORŁY**

Tajemnica Czarnych Rycerzy 10

Tytuł oryginału: „De ukjente”

## *Streszczenie*

W miarę zbliżania się do celu grupa staje się coraz mniej liczna. Dotyczy to również przeciwników.

Ze współczesnych pomocników rycerzy pozostają jedynie Antonio, Jordi, Unni, Morten i Sissi oraz Juana, która dołączyła do nich stosunkowo niedawno, oraz bardzo dyskusyjna postać - Miguel.

Flavia, Pedro i Gudrun już się poddali. Morten właściwie również, na razie jednak nie wiadomo, co z nim począć. Stanowi on wielki problem dla grupy.

Sprzymierzeńcy rycerzy znajdują się teraz na równinie u podnóży masywu górskiego Picos de Europa, położonego w północnej Hiszpanii, skąd widać wejście do pierwszego wąwozu, który zaprowadzić ich ma do tajemniczej doliny, będącej celem ich wyprawy.

Emma i Alonzo z niedobitkami depczą im po piętach, lecz ponieważ stracili trzech swoich towarzyszy, to razem z Kennym i Tommym jest ich tylko czworo.

Trójka nieznanych przeciwników pobłądziła i chwilowo nie stanowi zagrożenia.

Mnisi czy raczej kaci inkwizycji stracili jeszcze jednego ze swej gromady i zostało ich również tylko czterech. Mnisi bacznie śledzą poczynania grupy i o wszystkim donoszą Emmie.

Leon - Wamba tkwi w ukryciu i czeka, aż nadejdą ludzie, którzy wskażą mu miejsce ukrycia skarbu.

Demon Tabris, czyli Miguel, połamął wszystkie kości żeńskiemu demonowi Zarenie, która musiała powrócić do Ciemności, by tam ją wyleczono i przywrócono jej siły. To zaś może potrwać.

Tabris - Miguel właśnie zdradził grupie młodych, że jego mistrz, władca Ciemności, ukarał go za jego słabość okazywaną wobec ludzi. Miguel musi być człowiekiem, dopóki sprzymierzeńcy rycerzy nie osiągną celu. Później będzie mógł znów zmienić się w Tabrisa, aby pojmać Urracę i zabrać ją do Mistrza.

Następnie zaś zabije wszystkich w grupie, taki rozkaz wydał pan Ciemności. Miguel ujawnił również, że to Jordi jest tym z braci, który nigdy nie powróci z ukrytej doliny.

## KILKA SŁÓW O BOHATERACH:

*Unni Karlsrud*

21 lat. Ukochana Jordiego, potomkini rycerza *don Sebastiana de Vasconia*. Zostało jej trzy i pół roku życia, jeśli nie zdołają rozwikłać zagadki rycerzy, a tym samym zniweczyć przekleństwa.

*Jordi Vargas*

29 lat. Wybrany przez rycerzy, którzy, licząc na jego pomoc, odroczyli o pięć lat jego ostateczną śmierć. Potomek *don Ramira de Navarra*. Pozostały mu trzy miesiące życia.

*Antonio Vargas*

27 lat. Brat Jordiego, niedotknięty przekleństwem. Świeżo upieczony lekarz.

*Vesla Ødegård Vargas*

23 lata. Zona Antonia. Pozostała w Norwegii, ponieważ spodziewa się dziecka.

*Morten Andersen*

24 lata. Potomek don Ramira, pozostały mu trzy miesiące życia.

*Sissi*

22 lata. Potomkini don *Garcii de Cantabria*, pozostały jej trzy lata życia. Szwedka, zakochana w Mortenie, ale nie jest pewna, czy jej uczucie przetrwa.

*Gudrun Vik Hansen*

66 lat. Babcia Mortena.

*Don Pedro de Verin y Galicia*

61 lat. Potomek *don Federica de Galicia*, niedotknięty przekleństwem.

*Flavia 44*

lata. Włoszka, dawna macocha Mortena.

*Juana*

Hiszpanka, młoda uczona, zakochana w Miguelu.

Rycerz *don Galindo de Asturias* nie ma żyjących potomków.

**Po stronie zła:**

*Emma Lang*

Bardzo piękna, lecz na wskroś zła młoda dama.

*Alonzo*

Jej kochanek, przywódca hiszpańskich łotrów, który już uciekł.

*Tommy, Kenny*

Dwaj norwescy kryminaliści.

*Chudy mężczyzna*

Nieznany, wciąż czai się z tyłu.

*Thore Andersen*

Jego szofer i pomocnik.

*Asystent chudego*

Postać zupełnie nieznana.

*Leon*

Dawniej kochanek Emmy i przywódca bandytów. Teraz wcielił się w czarnoksiężnika *Wambę* i pilnuje skarbu, którego poszukują wszyscy stojący po stronie zła.

*Czterech diabelskich katów inkwizycji*

Na początku było ich trzynastu, lecz czarownica *Urraca*, przyjaciółka rycerzy, wyeliminowała jednego z nich, jednego zniszczył Jordi, Unni zaś rozprawiła się z siedmioma. Nazywają siebie świętymi mnichami, lecz można o nich powiedzieć wszystko, tylko nie to.

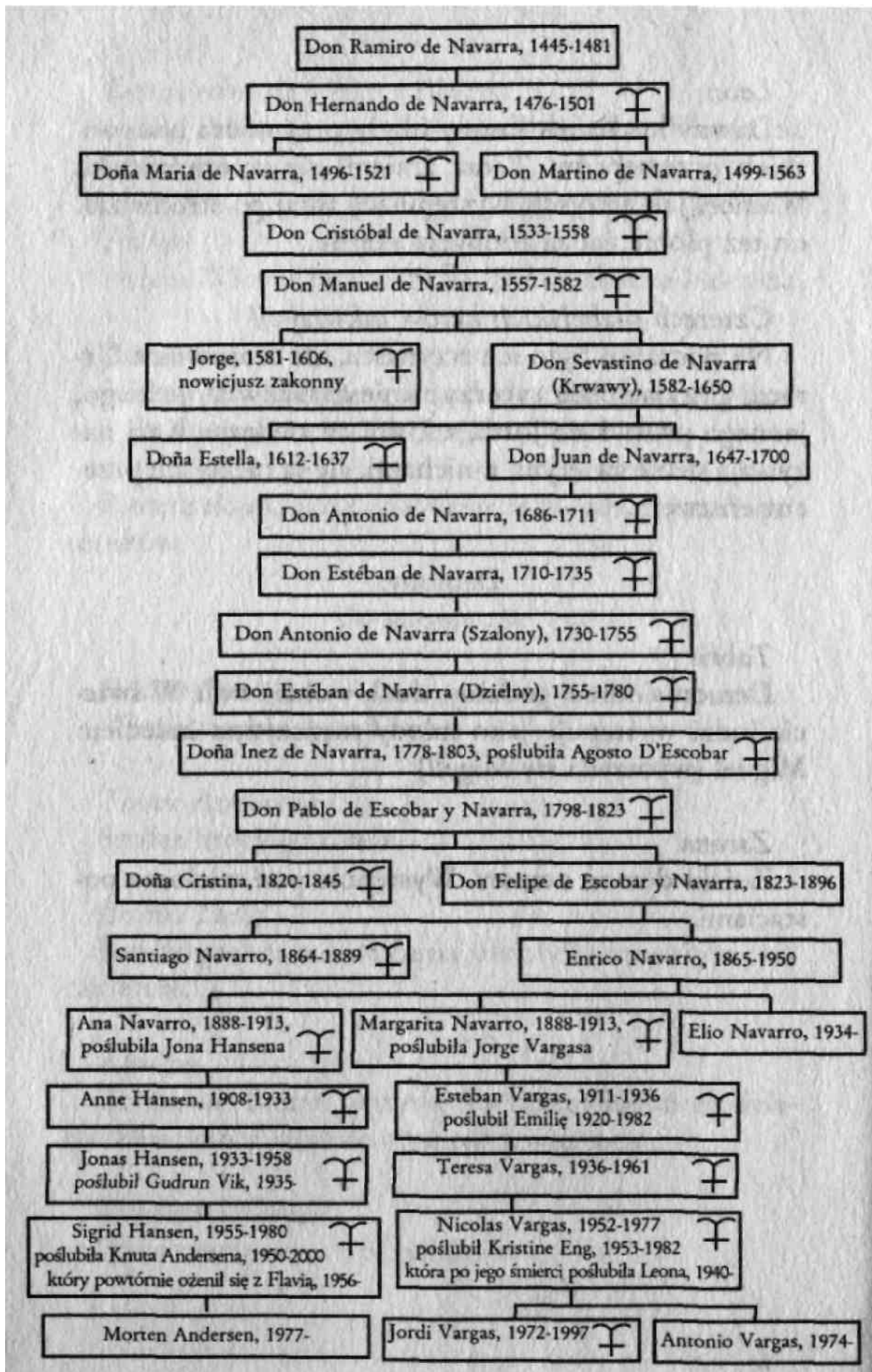
## **Demony:**

### *Tabris*

Demon szóstej godziny, duch wolnej woli. W świecie ludzi występuje pod postacią młodego człowieka *Miguela*.

### *Zarena*

Żeński demon zemsty; ukazuje się w wielu postaciach.



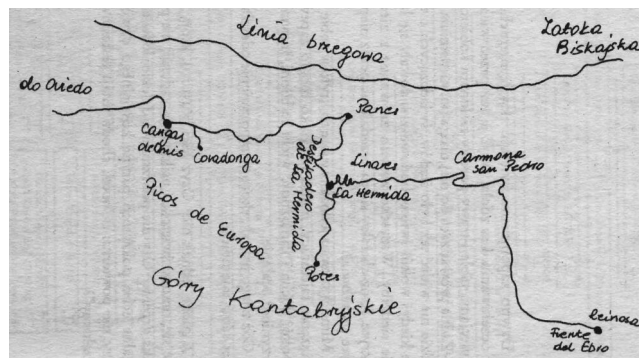
Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią, ukryte. Któż chciałby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha i zamożność wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

A może jednak nie? Czyż liści bluszczu, który, wijąc się, omotał świętość i usiłował ją zadusić, nie przenika drzenie? Czy nie pobrzmiwa dalekie, ledwie słyszalne echo pokrytego patyną kościelnego dzwonu? Czy nie powtarza: „Chodź, chodź tutaj! Jesteśmy tu. Czekamy”?



**CZEŚĆ PIERWSZA**  
**MIĘDZY NOCĄ A ŚWITEM**



# 1

Unni siedziała blisko, bliźniutko Jordiego na trawie. Obejmowała go mocno, tak mocno, jakby nigdy nie miała zamiaru go puścić.

- Nie wolno ci wchodzić do tej doliny - zaszlochała głosem zduszonym od płaczu.

- Przecież muszę - odparł cicho. - Odnaleźć ją mogą jedynie dwaj bracia. I na pewno stamtąd wrócę, obiecuję ci to - dodał przygnębiony.

Miguel posłał mu spojrzenie wyrażające wielkie niedowierzenie.

- Ale my, pozostali, też chyba musimy tam iść? - spytała Sissi.

- Tak, to nie ma znaczenia, czy będzie nam towarzyszył ktoś jeszcze - odparł Jordi. - Ale bracia są najważniejsi.

- I Unni - dodał Miguel.

- Dlaczego Unni? - spytał Morten, tak wyczerpany fizycznie i psychicznie, że aż położył się na ziemi.

- Unni jest bardzo ważna z wielu powodów. Ale jedno jest przecież oczywiste: to ona jest tą tak zwaną najniebezpieczniejszą z niebezpiecznych i to ona wskaże drogę.

- Przecież już ją nam wskazała. Z pomocą dwóch małych ptaszków.

- To jeszcze nie koniec - oświadczył Miguel krótko. Antonio popatrzył na niego zdziwiony. Młody „Hiszpan” był niezwykle podobny do Jordiego, przypominał go zarówno budową ciała, jak i kolorem włosów, a może trochę również rysami twarzy. Po chwili Antonio zdecydował się zadać Miguelowi pytanie:

- Ile ty właściwie wiesz? Miguel zwlekał z odpowiedzią.

- Otrzymałem trochę informacji od Mistrza, ale on również nie wie, co jest waszym celem, i nie rozumie, o co w tym chodzi. Urraca przesłoniła wgląd w tajemnicę, a i Wamba również przyczynił się do niemożności jej przeniknięcia.

- Ale Wamba chyba trzyma jego stronę?

- Wamba wałęsa się po wymiarach. Mistrz go utracił, podobnie zresztą jak Urracę. Ale memu panu zależy tylko na niej.

- Stracił też rycerzy. I mnichów.

- Ciemność nie zna rycerzy. Ma natomiast kontakt z mnichami. To właśnie oni wezwali na ziemię mnie i Zarenę.

- To znaczy, że im służysz?

Miguel w grymasie złości lekko uniół górną wargę.

- Naprawdę sądzisz, że tak jest?

Antonio w odpowiedzi nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie, właściwie nie.

Umilkli. Nikt nie chciał pytać Miguela, czy to prawda, że jako Tabris wszystkich ich uśmierci. Nie chcieli w to wierzyć. Bali się rozważać to nawet w myślach. Juana czuła się tak nieszczęśliwa, że pozostała w niej jedynie nadzieja, iż prędzej czy później przebudzi się ze złego koszmaru. Wszystko, na co tak bardzo się cieszyła, powoli rozpadało się na coraz drobniejsze kawałeczki, a każdy z nich sprawiał wielki ból.

Jordi wstał.

- Ale tutaj zostać nie możemy. Banda Emmy może w każdej chwili dotrzeć na równinę. Pozostaje tylko jedno pytanie: czy jest jakieś miejsce, w którym moglibyśmy ukryć Mortena i w którym czekałby aż do naszego powrotu?

Celowo mówił optymistycznie o zakończeniu tej wyprawy.

Morten również wstał.

- Nie chcę być piątym kołem u wozu. Ale ta chwila odpoczynku dobrze mi zrobiła. Nie chcę, żebyście mnie tu zostawiali i kazali mi czekać na to, że nigdy się nie zjawicie. Idę z wami.

- Jesteś pewien, że masz dość sił?

- Nie jestem. Ale z dwojga złego...

- Z dwojga? - wykrzyknęła Unni. - To doprawdy łagodnie powiedziane! No dobrze, będziemy się zmieniać przy prowadzeniu naszego chłopczyka pod rączkę. Dwójkami.

Jordi ruszył w stronę malutkiej jaskini.

- Mam wrażenie, że widziałem tam coś, co mogłoby posłużyć ci jako kostur wędrowny, z nim byłoby ci łatwiej iść. Cieszę się, że pójdziesz z nami, Mortenie.

Prawdę powiedziawszy, wszyscy się z tego cieszyli. Naprawdę trudno byłoby zostawić chłopaka samego, bez sił, na tym pustkowiu. Antonio podał mu jeszcze jedną tabletkę uśmierającą ból i w końcu Morten, podpierając się znalezionym kijem, kulejąc, ruszył za nimi.

Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że przez niego marsz będzie się bardzo opóźniał. Musieli jednak się z tym pogodzić. Najważniejsze, że się nie rozdzielili.

Emmy na razie nigdzie nie było widać, lecz doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że mnisi informują ją o wszystkim przez cały czas. I że żadna próba wymknięcia się spod ich obserwacji na niewiele się zda. Unni westchnęła:

- Ach, gdybym mogła rozprawić się z tymi ostatnimi czterema upiorami!

Chudy mężczyzna z niesmakiem spoglądał na niezamieszkane górskie chaty, do których dotarli. Było ich całkiem sporo i nie miały żadnego związku z piętnastym wiekiem. Wybudowano je raczej na początku wieku dwudziestego.

- Innymi słowy całkiem zmarnowany czas! - prychnął.

- Owszem, ale teraz wiemy przynajmniej, gdzie są ci idioci! - stwierdził Thore Andersen.

- Owszem, to wiemy aż za dobrze! Znaleźli chatę hycła, my natomiast nie.

- Mają nad nami sporą przewagę - przytaknęła asystentka, bo wreszcie wyszło na jaw, że asystent jest kobietą. - Zatrzymamy się tutaj i odpoczniemy?

- Nie ma mowy! Trzeba się spieszyć. Ciężko westchnęli.

A więc powrotna droga, długa, kamienista. Właściwie wręcz trudno mówić o drodze, to raczej bezdroża. A potem jeszcze długi marsz w pogoni za zdobyczą.

Wąwóz z bliska nie wyglądał ani trochę przyjemnie. Jeśli kiedykolwiek wiodła tędy jakaś ścieżka, to teraz całkowicie zarosła i zniknęła. Dno wąwozu było straszliwie nierówne, zaścielone gładzami, które osunęły się z góry. Wśród nich wyrosły krzaki, gdzieniegdzie kępa wykrzywionych drzew.

Z rezygnacją przyglądali się temu smutnemu widokowi.

- Przydałyby nam się tutaj piły i siekiery - stwierdził Antonio. - A może raczej maczety.

- Najlepszy byłby jednak chyba buldożer - uznała Unni.

Morten się nie odzywał. Tęsknił za swoim łóżkiem, które zostało w domu, w Norwegii. I marzył o ślicznych pielęgniarzach, które by się nim zajmowały. Mogłyby mieć miękkie ręce i łagodne uśmiechy, przypominać jasnowłose, niebieskookie anioły. Morten nie na żarty się bał, że jak tak dalej pójdzie, czeka go w tym ponurym miejscu śmierć albo kalectwo.

- Od czego zaczniemy? - spytał Jordi, a Morten w odpowiedzi pomyślał: „Przestańcie udawać takich twardzieli, nie widzicie, jak bardzo cierpię?”

Ale Jordi pozostał głuchy na jego dzielnie w milczeniu znoszone udręki.

- Miguelu, jesteś pewien, że droga wiodła właśnie tędy?

- Tak, ten krótki odcinek dawnej bitej drogi, który udało mi się zobaczyć, prowadził dokładnie tutaj.

- Płynie tędy jakaś rzeczka - zauważyła Sissi. Również ona pozostawała nieczuła na męki Mortena.

Chłopak rozumiał teraz, że najwidoczniej postawił na niewłaściwego konia. Jak taka mistrzyni sportu, zdrowia i siły mogła wykazać bodaj odrobinę zrozumienia dla jego niezwykle wrażliwej duszy i cierpiącego ciała?

- Czy nie możemy iść wzdłuż niej? - zastanawiała się dziewczyna.

- Rzeka to chyba za duże słowo - stwierdził Antonio. - Powiedziałbym raczej, że to strumień. Ale pomysł jest niezły, Sissi. Pytanie tylko, na ile zimna jest ta woda i czy będziemy mogli po niej brodzić.

- Górski strumień jesienią - wzdrygnęła się Unni. - Ale to rzeczywiście wygląda na jedyne wyjście.

Morten nie mógł znieść już więcej.

- Wszystko mnie boli! - poskarżył się głośno.

- Wiemy o tym - powiedziała Unni. - I bardzo ci współczujemy.

Ani trochę w to nie wierzę, pomyślał chłopak. Nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak bardzo cierpię.

Unni również odczuwała zmęczenie, lecz zdecydowanie temu zaprzeczyła, gdy Jordi zaczął się dopytywać o jej stan.

- Może później będzie nam łatwiej - próbował ich pocieszyć, ale nikt mu i tak nie uwierzył.

Z wielkim mozołem zaczęli posuwać się naprzód, metr po metrze. Momentami mogli iść brzegiem, ale wtedy w butach przelewała się lodowata woda. Na niektórych odcinkach płatanina roślin zagradzała nawet drogę przez strumień i musieli się przez nią przedzierać, jednocześnie brnąc przez wodę.

A woda w górskim strumieniu okazała się naprawdę zimna i Morten, który już z wielkim trudem przeszedł przez równinę, był teraz tak wycieńczony i zmarznięty, że niepokoił się o niego naprawdę nie na żarty. Źle zrobili, ciągnąc go na tę koszmarną wyprawę, ale przecież nie mieli wyboru. Musieli teraz jakoś znieść jego być może trochę przesadne skargi, chłopak przestał bowiem odgrywać dzielnego, cierpliwego męczennika i sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej kryzysowa.

Morten podniósł wzrok i popatrzył na Sissi, która przedzierała się w górę strumienia przed nim. Kiedy spotkali się pierwszy raz, Sissi miała ciemne włosy. Okazało się jednak, że to tylko eksperyment, w naturze bowiem była blondynką. Gdy Morten się o tym dowiedział, gorąco ją prosił, żeby powróciła do naturalnego koloru włosów, miał bowiem wielką słabość

do blondynek i Sissi spełniła jego prośbę. W jasnych włosach wyglądała o wiele ładniej, blondynka o piwnych oczach to bardzo interesująca kombinacja!

Unni również swego czasu eksperymentowała ze swoim wyglądem. Od urodzenia brunetka tleniła czarne jak noc włosy na złoty blond. W końcu jednak ten kolor jej się znudził i ostatnio znów była sobą, miała włosy czarne jak Indianka. W kwestii kolorów kobiecych fryzur Morten wykazywał nieoczekiwanie duży liberalizm i uważał, że dokładnie tak, jak mężczyźni raz w życiu wolno spróbować, jak wygląda z brodą, tak i kobietom wolno się trochę zabawić.

Uf, kiedy wreszcie dojdą na górę! Czuł się niewiarygodnie zmęczony. Nigdy nie uda mu się dotrzeć do celu.

Po pewnym czasie strumień po prostu zniknął. Wyglądało na to, że wypływa z usypiska głazów. Teraz musieli już przedzierać się przez gęstwinę zarośli wzrostu człowieka, splątanych jak pradawna puszcza, a składających się głównie z brunatnych zwiędłych paproci, pokrzyw i długich ciemnych pnączy, których nie umieli nazwać. Tu i ówdzie z tej gęstwiny wyrastały drzewa.

Wszyscy wędrowali zatopieni we własnych czarnych myślach, co ani trochę nie ułatwiało mozolnej wspinaczki.

- To chyba droga do samego piekła - stwierdził Morten.

Nie wiedział, jak mało się myli.

Mortenowi ciążyły wyrzuty sumienia. Nieznośne bóle w krzyżu, biodrach i udach stłumiła nieco tabletki, lecz jego męska godność ogromnie cierpiała, ponieważ czuł się jak zbędny balast. Tym jednak przejmował się najmniej. O wiele dotkliwsza była świadomość, że chociaż naprawdę chciał w czymś pomóc i do czegoś się przydać, to działo się wprost przeciwnie. Z początku Sissi torowała mu drogę i podtrzymywała go w marszu, lecz Antonio prędko zorientował się, że taka sytuacja jest udręką dla obojga. Jednemu z powodu poczucia bezwartościowości, drugiemu przez nieludzki wysiłek i świadomość, że oto role płci się odwróciły. Antonio czym prędzej więc nakazał Sissi pomóc trochę Unni, sam zaś wziął na swoje barki „ciężar” Mortena. Tak przynajmniej odczuł to Morten.

Wielokrotnie żałował, że nie powrócił wraz z Gudrun i Pedrem do cywilizacji, bo gdy coś boli, znika żądza przygód. A ta wyprawa zmieniła się w istny koszmar, tak straszny, że Morten był bliski płaczu. Poza tym gdyby wtedy zawrócił, to mógłby uniknąć śmierci z rąk straszliwego demona...

W tym momencie jednak wziął się w garść. Dlaczego ani trochę nie pomyśli o swoich towarzyszach? Czyżby chciał, żeby oni zginęli, a sam miałby się wykręcić? O nie, doprawdy, posunął się zbyt daleko!

Nieuważnie stąpnął w dziurę między kamieniami, stracił równowagę i poleciał w przód. Antonio w ostatnim momencie uratował go przed upadkiem. Morten poczuł się o wiele bardziej żałośnie upokorzony niż kiedykolwiek.

Tymczasem Antonio wcale o nim nie myślał. Jego również dręczyły wyrzuty sumienia i poczucie, że sprawia komuś zawód. Chodziło mu o Vesłę. Cóż on, na miłość boską, robi w tym niemożliwym do przebycia wąwozie, tak daleko od wszelkiej cywilizacji, i to w czasie, gdy osoba, którą kochał najmocniej na świecie, tak bardzo go teraz potrzebuje? Próbował do niej dzwonić, lecz wąwóz coraz bardziej się zwężał, a skalne ściany wznosiły się wyżej i wyżej, nie docierały tu więc już żadne sygnały.

Ogromnie pragnął usłyszeć teraz jej głos. Dowiedzieć się, że wszystko jest w porządku, opowiedzieć o swojej tęsknocie, o swym lęku o nią i o miłości, która nigdy nie przygaśnie.

Sissi rozmyślała o własnym życiu. Pierwsze spotkanie z Mortenem wywróciło jej świat do góry nogami. Wszystko się zmieniło. Pojawiła się informacja, że umrze w wieku dwudziestu pięciu lat. Możliwość uniknięcia strasznego losu, gdyby udało im się rozwiązać zagadkę. Podziw dla Mortena. Podniecenie przygodą, jakie odczuwała przez samo tylko dołączenie do tej grupy.

Teraz przestało już być tak fantastycznie.

Starając się odegnać strach, Sissi zapamiętała pokonywała niezliczone przeszkody, które pojawiały się na drodze. Rozrywała i rozgarniała rośliny, ogarnięta wściekłą złością, odrzucała na bok kamienie.

Swoją siłą i wytrzymałością przerażała nieco Mortena, lecz akurat w tej chwili mało ją to obchodziło. Jej myśli zajmował ktoś inny. Cóż, niewiele lepszy wybór...

Unni i Jordi, nie zdając sobie z tego sprawy, myśleli o tym samym: Jordi musi przeżyć. To było dla nich najważniejsze.

Jordi pragnął doczekać narodzin swego dziecka, żyć razem z Unni, tworzyć z nią rodziną jeszcze przez wiele, wiele lat. Nie może spocząć w grobie gdzieś tu, w tej położonej na odludziu dolinie, którą nikt nigdy nie chodzi.

Którą nikt nie chodzi?

Jak dawno temu wypowiadał te słowa!

A teraz tu był. Przepowiednia zaś mówiła, że nigdy stąd nie wyjdzie.

Czuł, jak chłód strachu rozprzestrzenia mu się po rękach, dociera aż do koniuszków palców.

Unni miała w głowie tylko jedną myśl: Jordi nie może umrzeć. Nie może umrzeć. Jeśli tak się stanie, zostanę tu razem z nim.

Ale... Czy wolno mi tak postąpić? Czy to kruche życie, które po nim pozostanie, nie ma prawa ujrzeć światła dnia? Przecież to dziedzic Jordiego!

Nie, jemu nie wolno umrzeć! To się nie może stać, nie może!

O groźbie Miguela nie myślało żadne z nich. Brakło na nią miejsca wśród lęku o to, że Jordi miałby zostać tu na zawsze.

Już od momentu, gdy Miguel oświadczył, że wszyscy będą musieli zginąć, Juana popadła w milczenie. Nie była w stanie rozmawiać, szła teraz, trzymając się z tyłu, pozwalając, żeby inni torowali drogę i uprzętały przeszkody.

W głowie miała mętlik.

On jest teraz Miguelem, człowiekiem. I tak będzie, dopóki nie dotrzemy do celu. Ach, gdyby tylko teraz zwrócił na mnie uwagę! Gdyby zainteresował się mną, dopóki jeszcze jest Miguelem! Mam teraz szansę. Ale nie zaliczam się do kobiet narzucających się mężczyznom. On już i tak wie, że mam do niego słabość. Wie o tym doskonale. Tak, mam do niego taką słabość, że zaakceptowałam jego demonią postać. Budził przerażenie, lecz jednocześnie był bardzo pociągający. Mój romans z Tabrisem jest najzupełniej niemożliwy i wcale go zresztą nie pragnę, ale on przecież jeszcze przez jakiś czas będzie Miguelem.

Najświętsza Panno Maryjo, niechże on teraz zwróci na mnie uwagę! Później, gdy znów stanie się Tabrisem, wszystko się skończy. Pod każdym względem.

A jeśli nie zmieni się w Tabrisa? Może bym jakoś zdołała temu zapobiec? Doprowadzić do tego, że nie odnajdziemy celu? I gdyby on pozostał Miguelem, którego serce udałoby mi się być może podbić?

Cóż za wstrętne myśli! Przecież to by oznaczało, że Jordi, Unni, Sissi i Morten zmarliby przed upływem trzech lat, a rycerze, mnisi, królewskie dzieci i Urraca musieliby krążyć po wymiarach jako nieczyste dusze.

Czy naprawdę właśnie tego chcę? Czy jestem do tego stopnia egoistką, że gotowa byłabym poświęcić ich wszystkich dla odrobiny własnego szczęścia z Miguelem? O ile dobrze zrozumiałam, to on pozostałby człowiekiem przez całe ludzkie życie, a potem umarł ze starości jak my wszyscy.

Czy by mnie za to nienawidził?

Pewnie tak.

Juana podniosła oczy na zgrabną postać idącego przed nią Miguela.

Ale przecież ja go tak bezgranicznie Kocham! To wielka miłość mojego życia. Nie sądziłam, że będzie mi kiedykolwiek dane poczuć, co to znaczy kochać kogoś. Teraz już wiem i sprawia mi to niewypowiedziany ból. Cudowny, niesamowity, dławiący ból!

Przedmiot jej uwielbienia czuł się bezsilny. Rozpaczliwie, gorzko bezsilny.

Stracił wszystko. Wcześniej, będąc Miguelem, mógł wykorzystywać przynajmniej część nadprzyrodzonych talentów Tabrisa, mógł stawać się niewidzialny, szybko i skutecznie atakować ofiarę, korzystać z czarodziejskiej mocy, widzieć więcej niż inni. Teraz nie mógł zrobić nic, nie był w stanie wykorzystać żadnej ze swych niesamowitych umiejętności.

Stał się człowiekiem. Cóż za bezgraniczne upokorzenie!

Owszem, pozostał nieco silniejszy od nich, lecz jedynie tę przewagę pozwolono mu zachować, siłę fizyczną i sprężystość. Z tym wyjątkiem był żałośnie, banalnie ludzki.



Nie mógł się doczekać chwili, w której znów stanie się Tabrisem. Wtedy zemści się za wszystko, co utracił. Pojmą Urracę. Zabije, uśmierci wszystkich tych głupców, którzy przedzierają się przez puszcę, brnąc coraz dalej w jej głąb. Zabije, zabije przede wszystkim ją! Tak, ją przede wszystkim! Innych natomiast... Nie.

Na tym myśli Miguela się urwały. Ogarnięty wściekłością, zrąbał młode drzewko gołymi rękami.

- Coś mi się tu nie zgadza - stwierdziła Sissi, patrząc na plecy Miguela, prącego naprzód przed wszystkimi i torującego im coś w rodzaju drogi.

- O co ci chodzi? - spytała Unni.

- Miguel - wolę go tak nazywać - zapowiedział, że wszystkich nas zabije. Ale przepowiednia Urraki mówi, że powróci tylko jeden brat, a to oznacza przecież, że ktoś wyjdzie stąd żywy.

Jordi, uwalniając się od gałązki, która zaczepiła mu się o sweter, odrzekł:

- Miguel włączył się w tę historię najzupełniej nieoczekiwanie. Urraca nie mogła tego przewidzieć.

Na to zaprotestowała Unni:

- Jeśli widziała, że ja, najędzniejsza z nędznych, mam się zjawić, to z całą pewnością widziała również Miguela.

- To nie jest wcale takie pewne - odparł Jordi. - Miguel czy też Tabris to potężna siła, silniejsza niż jakikolwiek człowiek obdarzony mocą jasnowidzenia. On może bez przeszkód zniweczyć proroctwo.

- A ja mimo wszystko wierzę Urrace - oświadczył Morten z przekonaniem. - Wrócimy stąd.

Pozostali milczeli. Wszyscy doskonale pamiętali, że Urraca przepowiedziała śmierć Jordiego, ale nie chcieli nawet o tym myśleć, a co dopiero mówić.

Wąwóz zwęził się teraz tak bardzo, iż zaczęli się obawiać, że zabrnęli w ślepą uliczkę.

Czyżby musieli zawrócić? Trud całego dnia miałby pójść na marne? Ale przecież nigdzie nie zauważyli żadnego innego wąwozu, więc...

A gdyby tak przyszło im spotkać się z bezwzględną bandą Emmy tu, w tym wąwozie szerokim zaledwie na kilka metrów?

- Czy oni naprawdę mogli przeprowadzać tędy konie? - zastanawiała się Sissi.

- Do tego miejsca jeszcze tak - odparł Jordi. - I tutaj wąwóz się dzieli. Którędy pójdziemy teraz?

- To beznadziejna sytuacja! - wykrzyknął Morten. - Zabłądziliśmy! I dzień niedługo też się skończy.

Zwątpienie ogarnęło ich jak mroczny cień.

- Popatrzcie! - wykrzyknęła nagle Unni. - Spójrzcie tam, w głąb wąwozu!

- Gdzie? - dopytywał się Morten. - Ja niczego nie widzę!

- Tam, na skale!

Światło dzienne było już słabe, zresztą przez cały czas ledwie przedzierało się na dół. Ale wkrótce jedno po drugim zobaczyli, co takiego dostrzegła Unni, przewodniczka.

W skale wryte zostały jakieś linie. Była to stylizowana sylwetka orła w locie, kierującego się w głąb wysokiej rozpadliny.

- „Orły trzy wskazują drogę” - zacytował cicho Antonio. - To jest ten pierwszy. Podążamy właściwym szlakiem.

### 3

Nadzieja dodała im sił i zapału.

Nie mieli już wątpliwości: podążali właściwą drogą. Ich poczynania były słuszne, potwierdziły się wszystkie znaki i informacje, ptaszki, które wskazały im drogę przez rzekę, równina, chata hycła, wąwóz...

A teraz pierwszy orzeł!

Wkrótce rozpadlina zaczęła się rozszerzać. Jordi, idący przodem, odwrócił się do towarzyszy.

- Musimy rozbić obóz, zanim zrobi się za ciemno. Być może tam, na tej skalnej półce, jest niezłe miejsce.

- Ale Emma...

- Oni nie dotrą tak daleko. Mają do przejścia cały ten koszmarny wąwóz. Po ciemku to niemożliwe.

- Wobec tego będziemy musieli wyruszyć o świcie - zdecydował Antonio.

- Pomiedzy nocą a świtem - poprawił go brat. Sissi już zdążyła wspiąć się wyżej, żeby lepiej przyjrzeć się okolicy.

- Tu jest doskonale miejsce! - zawołała. - Płytkie, szerokie zagłębienie, w którym będziemy mogli odpocząć. Weźcie ze sobą trochę drewna na ognisko!

- Miguelu - zwrócił się Jordi do demona w ludzkiej skórze. - Czy nie mógłbyś w jakiś cudowny sposób przetransportować na górę Mortena?

- Nie - odparł przygnębiony Miguel z goryczą. - Nic już nie mogę zrobić. Jestem tylko zwykłym, prostym człowiekiem. A poza tym Morten to idiota.

Musieli więc ciągnąć i popychać kompletnie już wycieńczonego Mortena w górę po skale.

Zapasy żywności znacznie się zmniejszyły, lecz oni zdążyli już się przyzwyczać do jedzenia skromniejszych porcji i nie potrzebowali tak wiele.

Niespełna godzinę później wszyscy siedzieli albo leżeli jako tako nasyceni - głównie wodą - wokół ogniska płonącego wśród ciemności, skrywającej wiele tajemnic. Unni czuła się tu bardzo źle, lecz nieprzyjemne uczucia towarzyszyły jej przez całą trudną drogę przez wąwóz.

- Tyle tu duchów - wyjaśniła. - Tyle nieszczęśliwych dusz.

- Dlaczego nieszczęśliwych? - zainteresowała się Juana.

- Bo miały w sobie tak wiele nadziei, odwagi i otuchy. Tymczasem wszystko legło w gruzach.

- Rozumiem.

- Mam wrażenie, że w tej rozpadlinie rozlega się rżenie koni i żałobny płacz jeźdźców. Przez cały czas zastanawiam się nad jednym: jak to się stało, że tajemnica rycerzy została odkryta.

- Masz na myśli spisek wymierzony przeciwko parze królewskiej? - spytała Juana. - Sekretną próbę oderwania się tych pięciu północnych prowincji od reszty królestwa?

- Tak, właśnie o to mi chodzi. Kto ich zdradził?

- Odpowiedź na to jest już niemożliwa. Prawdopodobnie tajemnicę ujawnił jakiś nieszczęśnik poddany torturom inkwizycji.

- A więc znów ci przekłęci mnisi czy też raczej kaci? Ach, gdybym ich dopadła...

- Oni tu są - oznajmił nieoczekiwanie Miguel.

- Na tyle blisko, że mogłabym ich unicestwić moim znakiem? - spytała Unni cicho.

- Nie. Ale sama zobacz. Siedzą tam, na skale po przeciwnej stronie.

Unni podniosła głowę. I rzeczywiście, wysoko ponad nimi dało się dostrzec wstrętne postacie.

- Chodźcie tutaj, moje dziatki! Zbliżcie się tylko, to się zabawimy!

Ale mnisi oczywiście nie ruszyli się z miejsca. Bacznie się pilnowali.

Z dołu, z głębi rozpadliny rozległ się przeciągły, pełen skargi krzyk. Unni próbowała udawać, że go nie słyszy.

Odwróciła się do Miguela, który siedział tuż przy niej. Z drugiego boku miała Jordiego. Po czujnym wzroku Miguela poznała, że on również wychwycił te jęki skargi, a że dotarły one również do Jordiego, nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Miguelu, zastanawiałam się nad pewną rzeczą... Twierdzisz, że Zarena chciała dopaść właśnie mnie. Gdyby to mnie zepchnęła w przepaść, czy też byś mnie ratował?

Juana słuchała jej z szeroko otwartymi oczami i uchylonymi ustami.

- Oczywiście - odparł Miguel cierpko. - Zrobiłbym to bez względu na to, o kogo z was by chodziło. Moim obowiązkiem jest doprowadzić was do celu.

Juana wyraźnie się przygarbiła. A więc czar romantyzmu prysnął. Unni pożałowała, że zadała takie pytanie.

- Ach, posłuchajcie - szepnęła nagle. - Duchy pełne nadziei krążą również dzisiejszej nocy.

- Słyszysz tylko, jak wiatr zawodzi w rozpadlinie - stwierdził Morten.

- Nie - zaprotestował nieoczekiwanie Miguel. - Unni ma rację. Czekają tu na was od stuleci. Co wy właściwie macie tam zrobić? Wiem, że istnieje jakiś skarb, którego poszukują wasi przeciwnicy. Wiem też, że pięciu czarnych rycerzy z wielką niecierpliwością wypatruje waszego przybycia, ale to z kolei nie ma nic wspólnego ze skarbem. Na co więc oni czekają? Głos Antonia zabrzmiał ostro.

- Jeśli sądzisz, że teraz ci to zdradzimy, to jesteś w błędzie. Wtedy dowiedziałbyś się już przecież wszystkiego, czego potrzebujesz, i mógłbyś nas zabić już tutaj, zakończyć całą sprawę i powrócić do Ciemności jako Tabris, odzyskawszy swoją postać i umiejętności. Ale widzisz, nawet my nie znamy całej prawdy. Nie chcemy ci więc odpowiedzieć, ale też i nie możemy. Poza tym tu, w tej ciasnej rozpadlinie, nie pochwycisz Urraki.

Miguel odpowiedział z goryczą:

- Rozumiem, że musimy dotrzeć aż do celu. Uważam jednak, że poświęciłem dla was tak wiele, że moglibyście udzielić mi więcej informacji. Przecież posuwam się po omacku.

- I tak powinno dalej zostać - ostro oświadczył rozciągnięty na ziemi Morten. - Nie masz prawa, żeby...

- Owszem, ma - przerwał mu Jordi. - Powinien się dowiedzieć, dlaczego akurat my chcemy pomóc rycerzom.

Miguel siedział pomiędzy Unni a Juana. Prawdę powiedziawszy, sam wybrał sobie takie miejsce. Unni wiedziała, że demon traktuje ją w sposób szczególny, niemal z szacunkiem, lecz doprawdy, nikt nie spodziewał się, że z własnej woli usiądzie przy Juanie. Nazywał ją przecież nudziarą i nie miał dla niej dobrego słowa. Teraz jednak wydawało się, że zaakceptował jej istnienie.

Jordi zaczął wyjaśniać:

- Wielu z nas jest potomkami tych rycerzy. Mój brat, ja, Morten, Sissi i Unni. A także Pedro, który już się od nas odłączył.

- Sissi także? - zdumiał się Miguel i popadł w zamyślenie.

Podczas gdy od dawna nieżyjący ludzie wydawali krzykiem rozkazy, a konie sprzed wieków, parskając, opierały się przed wejściem w rozpadlinę, Jordi opowiedział o przekleństwie, które w ciągu najbliższych trzech lat miało dotknąć aż czworo z nich: jego samego, Unni, Mortena i Sissi. Wyjaśnił, że jemu i Mortenowi zostały zaledwie dwa, trzy miesiące życia. I że właśnie dlatego muszą zniweczyć przekleństwo, które rzucono również na rycerzy, królewskie dzieci i na Utracę. Przekleci zostali również mnisi, lecz akurat ich losem nie przejmowali się za bardzo. Jordi wyjaśnił, że to czarnoksiężnik Wamba rzucił

przekleństwo na nich wszystkich i że potomkowie rycerzy cierpieli z tego powodu przez wieleset lat...

- Więcej wyjawić ci nie mogę - zakończył Jordi. - Mam nadzieję, że uwierzysz mi, kiedy powiem, że nie mamy pojęcia, co nas czeka, gdy dotrzemy już do celu. Ma to związek z jakimś kościelnym dzwonem i mieczem, wiemy także, że pięć gryfów stanowi klucz.

Tabris - Miguel pokiwał głową.

- Wierzę ci. Otrzymaliście trudne zadanie i bardzo wiele już udało wam się wykonać. Rozumiem także, że to, co mnie zlecono, jest dodatkowym kamieniem do tego brzemienia, które musicie dźwigać.

- To prawda. Ta długotrwała wyprawa sama w sobie i tak jest już dość męcząca, a świadomość, że wszyscy zginiemy, gdy dotrzemy na miejsce, niczego nam nie ułatwia.

Miguel nic więcej nie powiedział. Oparł głowę na kolanach i patrzył w płomienie.

W końcu znów się wyprostował i spojrzał na Unni.

- Przestałaś nagle oddychać. O czym pomyślałaś?

Unni oprzytomniała.

- Rozmawialiście o gryfach. Jak to jest, czy gryf Nawarry nie jest przypadkiem symbolem zdrowia?

- Owszem - odparł Antonio.

- Dlaczego więc Morten nie ma go na szyi? O, nie, nie próbuj mi tłumaczyć, że to mało męska ozdoba, Mortenie! Jordi, to ty go masz, prawda? Daj mu go jak najszybciej! Obyś tylko teraz ty nie zachorował!

Jordi natychmiast zdjął z szyi gryfa Nawarry i wręczył go chłopakowi. Morten przyjął wisior, krzywiąc się.

- Gryf pomógł mi, gdy byłem bliski śmierci - przypomniał Jordi.

- Wolałbym raczej magicznego gryfa Asturii - , burknął Morten.

- Wszystkie gryfy mają swoją moc. Zresztą ty jesteś potomkiem Nawarry.

Widzieli, że Morten miał już na końcu języka stwierdzenie, iż wobec tego szkoda, że gryf Nawarry nie jest symbolem magii, ale Unni go uprzedziła:

- Zobacz, jak ładnie wyglądasz! Nie czujesz, że spływają w ciebie nowe życiowe siły?

Morten wydał wargi i tylko coś mruknął. Miguel zwrócił się do Juany.

- Zimno ci?

To nieoczekiwane pytanie zdradzało troskę i pewną czułość. Zaskoczona Juana była w stanie wyjąkać w odpowiedzi tylko niezrozumiałe słowa. Ale zanim Miguel zdążył się odwrócić, wydusiła z siebie, udając śmiech:

- Prawdę powiedziawszy, stopy zaczęły mi już rozmarzać.

Wszystkie buty suszyły się na stojaku z gałęzi. Zaczynało im już jednak brakować drewna. Buty musiały więc wyschnąć, zanim będą zmuszeni wykorzystać te gałęzie na opał.

Miguel wziął w dłonie stopy Juany i zaczął je rozcierać. Po sile, jaką wkładał w ten ruch, poznali, że nigdy tego nie robił. Ścisnął zdecydowanie za mocno, ale biedna Juana dzielnie cierpiała. To była dla niej naprawdę wspaniała chwila. Miguel najwyraźniej zaakceptował jej istnienie, a nawet jej podziw.

- Dzień... dziękuję, już jest dobrze - szepnęła. - Dawno już nie było mi tak ciepło. Nawet gorąco.

Miguel popatrzył na Unni, którą obejmowały ramiona Jordiego, na Sissi krzątającą się przy Mortenie i na Antonia.

- Czy ty jesteś kobietą Antonia? - spytał Juane. W odpowiedzi usłyszał jednogłośnie: „Nie!”.

- Moja kobieta, skoro już tak mówisz, ma na imię Vesla i jest w Norwegii - wyjaśnił Antonio. - Za kilka tygodni zostanę ojcem i właśnie dlatego nie ma jej z nami. Niestety, nie mogę być teraz przy niej, chociaż bardzo mnie to boli.

- Wiem, że rozmawiasz z jakąś Veslą przez tele... telefon.

Chyba właśnie tak nazywał się ten aparacik? Miguel miał przynajmniej nadzieję, że się nie pomylił. Ostrzej niż zamierzał, spytał jeszcze:

- A więc kto jest mężczyzną Juany?

- Nikt.

- Czy to możliwe?

- Tak, jeśli nie znalazło się kogoś, kogo się pokocha, to możliwe.

Juana nic się na to nie odezwała, Miguel również milczał. Wstał i wrócił na swoje miejsce.

- Idźcie spać - polecił. - Mnie nie potrzeba snu.

- Jesteś tego pewien? - zdziwił się Jordi. - Przecież stałeś się człowiekiem.

- Nie potrzebuję snu, będę trzymał straż - odparł krótko.

- Świetnie. Wobec tego my się kładziemy, nam sen jest bardzo potrzebny.

Morten podjął już decyzję, że zostanie tutaj. Nie miał sił na dalszą wędrówkę, nie chciał iść dalej, brakowało mu też odwagi. Tu, na tej skalnej półce, mógł być bezpieczny. Zostawił mu trochę jedzenia i wody. Wiedział, że zapasy szalenie się już skurczyły, starczy ich może na pięć dni, a biorąc pod uwagę jeszcze powrotną drogę, to w przeklętej dolinie mogli spędzić najwyżej dwa dni.

Nie chciał iść dalej. Koniec i basta.

Ognisko zgasło. Wszyscy z wyjątkiem Miguela zasnęli. Jordi i Unni leżeli blisko siebie, grzejąc się nawzajem. Mortena od Sissi dzieliła niedużą odległość. Miguel nie pytał, czy oni do siebie należą, bo nie chciał tego wiedzieć, uważał bowiem Mortena za głupca. Antonio i Juana leżeli osobno, owinięci w wełniane koce, które nie zapewniały dostatecznej ilości ciepła.

Miguel patrzył na ludzi i gardził nimi za ich słabość. Nie nadawali się do niczego. Jak, do stu piorunów, zdoła wytrzymać czas dzielący go od odzyskania postaci Tabrisa? Tak strasznie już tego pragnął.

A jeśli to się nigdy nie stanie? Jeśli na zawsze już będzie musiał pozostać człowiekiem?

To straszna myśl. Naprawdę przerażająca!



- A co to za straszliwe narzekanie! - syknęła Emma. - Tak się boicie pokrzyw?

- Nie moglibyśmy się zatrzymać? - poprosił Tommy. - Ciemno już, nic nie widać.

- Zatrzymać się? Na tych nierównościach? Przecież tutaj wszędzie są same tylko kamienie. Masz ochotę na nich spać?

Światło latarek padło na niegościnną okolicę.

- Dwudziesty raz ci powtarzam, Emmo - powiedział wyraźnie zniecierpliwiony Alonzo. - Oni nie mogli wejść tutaj.

- Widzieliśmy przecież połamane gałęzie. Ty sam je zauważyłeś.

- Jakie znaczenie ma kilka gałęzi? Tu na pewno są kozice i niedźwiedzie, i...

- Niedźwiedzie?

- Z całą pewnością!

Emma przystanęła. Zastanawiała się, czy nie zawrócić. W końcu jednak zdecydowała:

- Znajdźcie jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli się przespać! Przenocujemy tutaj.

- Nie mamy nic do jedzenia - poskarżył się Kenny.

- O tym wiem aż za dobrze. Możecie ssać łapę.

- Niedźwiedzią łapę.

W odpowiedzi usłyszała wściekłe parsknięcie.

Dla Tommy'ego i Kenny'ego ta przygoda dawno już przestała być zabawna i emocjonująca. Wszystko stało się zbyt trudne i kłopotliwe.

Znaleźli niedużą polankę wśród zarośli. Emma i Alonzo, rzecz jasna, zajęli najlepsze miejsca.

- Posłuchaj, Alonzo! - oświadczył gniewnie Kenny. - Teraz moja kolej, żeby znów spać z Emmą.

- Albo moja - odezwał się groźnie Tommy. - Od ostatniego razu minęło już bardzo dużo czasu.

- Znów? - wrzasnął Alonzo. Oczy pomimo ciemności aż pociemniały mu z gniewu. - Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć. Znów?

Emma usiłowała wylać oliwę na wzburzone morze, ale w mężczyznach wezbrał gniew. Jej skoki w bok wyszły wreszcie na jaw. Nie zdołała temu zapobiec.

W powietrzu zaświstały ciosy. Na szczęście Alonzo zrozumiał, że dwaj Norwegowie znacznie górują nad nim siłą i zaproponował - lekko drżącym głosem - żeby tę rozprawę odłożyć na później.

- Bardzo chętnie - odparł Tommy ostro. - Nie ma się co bić o tę cholerną dziwkę.

Tego nie powinien był mówić. Emma stała z ciężkim plecakiem w ręku i uderzyła nim Tommy'ego tak mocno, że runął na ziemię.

- Przestańcie! - krzyknął Alonzo. - Nie możemy sobie teraz na to pozwolić. Ten, kto nie chce dłużej brać udziału w wyprawie i podzielić się skarbem, natychmiast wraca do domu!

Groźba podziałała. Alonzo jednak zatroszczył się o to, aby Emma zajęła miejsce pomiędzy nim a ciernistymi zaroślami. Obaj Norwegowie ułożyli się u jego drugiego boku.

Napięcie było wręcz namacalne.

W końcu jednak udało im się zasnąć. Pograżeni we śnie nie słyszeli, że do wąwozu wchodzi ktoś jeszcze. Nie widzieli też snopów światła kieszonkowych latarek, omiatających skalne ściany i zarośla.

Również ci nowo przybyli nie zauważyli, że w ich pobliżu znajduje się czworo śpiących ludzi. W milczeniu parli dalej naprzód.

Unni zmarzła.

Zaspana uniosła się lekko na łokciu. Ognisko zmieniło się jedynie w kupkę żaru.

Była noc. Ale czy wysoko nad skałami nie pojawiła się delikatna jaśniejsza smuga?

Nie. Na razie jeszcze Unni nie była w stanie dostrzec nic szczególnego. Mogło jej się jedynie wydawać, że kontury skał rysują się w tej chwili wyraźniej niż wówczas, gdy przysiedli na nich mnisi.

Jordi mówił, że trzeba wyruszyć pomiędzy nocą a świtem. Czy to już teraz? Nie, nie mogli jeszcze iść. Na razie było za ciemno. Stanowczo zbyt ciemno.

Zobaczyła Miguela skulonego w swojej charakterystycznej pozycji przy ognisku. Wstała, podreptała do niego i usiadła przy nim.

- Tęsknisz teraz za swoimi skrzydłami? Mógłbyś się w nie owinąć. I schować.

Spojrzał na nią przelotnie i dołożył resztkę drewna - statyw, na którym suszyli buty - do ogniska. Na skalnej półce przez chwilę zrobiło się trochę jaśniej.

- Tęsknię za wszystkim - oświadczył chłodno. - A ty dlaczego nie śpisz?

- Zmarzłam. A poza tym z wąwozu dochodzą takie straszne hałasy.

- To prawda.

- Ty też to słyszysz? Słyszysz te jęki i skargi?

- Tak, tak samo jak ty i Jordi.

- Jak myślisz, co to jest?

- To jacyś jeźdźcy. Chyba rozpoznajesz uderzenia kopyt, prawda?

- Tak, ale oni coś do siebie wołają. Nie wiem, co. Te krzyki dochodzą z takiej oddali, takie głucho. No i nie rozumiem języka.

Miguel wsłuchał się.

- To stary hiszpański dialekt. Ci ludzie są bardzo rozgoryczeni, mówią o zdradzie.

- Ciekawa jestem, co to za zdrada - powiedziała Unni w zamyśleniu. - Czy chodzi o osobę, która zdradziła sprawę, czy też o świadomość, że oni sami wiedzą za dużo i muszą zginąć z rąk tych, którym przysięgli wierność.

Juana poruszyła się przez sen. Miguel zerknął na nią.

- To dziwne - mruknął, śmiejąc się nerwowo. - Była taka chwila, kiedy Juana na moment się od nas odłączyła, a ja się zaniepokoiłem, co się z nią mogło stać. - Prędko zaraz dodał: - To mój obowiązek trzymać was w jednej grupie.

- Oczywiście - przyznała Unni bez namysłu. Teraz linia horyzontu zrobiła się już zdecydowanie wyraźniejsza. Wciąż jednak było ciemno. Chwila pomiędzy nocą a świtem...

Bardzo niezwykle było tak siedzieć obok Miguela w ludzkiej teraz postaci, lecz ze świadomością, że tak naprawdę jest on budzącym grozę demonem. Tymczasem żadna z jego zewnętrznych cech na to nie wskazywała.

Miguel znów spojrzał na Juanę i ze zdziwieniem pokręcił głową.

- Wy, kobiety ludzkiego rodu, jesteście takie małe i niepozorne. Ale z tobą mogę rozmawiać, bo ty posiadasz wielką moc. Pozostałe też są w pewnym sensie niepojęte... Nie wiem.

Stracił wątek.

- Bądź ostrożny z Juana - powiedziała cicho Unni.

- Dlaczego?

- Ona jest dziewicą.

- A co to znaczy?

- Że nigdy nie była z żadnym mężczyzną. To bardzo miła dziewczyna i pochodzi z dobrej rodziny. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek wyrządził jej krzywdę. - Umilkła na chwilę, nim podjęła. - Ale nie wiem, jak mógłbyś uniknąć sprawiania jej przykrości, bez względu na to, co zrobisz.

Miguel zapatrzył się na skały.

- Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem. Chcesz powiedzieć, że nikt nigdy w nią nie wszedł, tak jak się to dzieje, gdy samice się do tego wystawiają?

- Przyznam, że wyrażasz się dość obcesowo, ale tak, mniej więcej o to mi chodzi.

- To dziwne! Dziwne, że nikt tego do tej pory nie zrobił. Przecież ona nie jest wcale odpychająca. No, ale z wami nie może się mierzyć.

- Juana jest bardzo atrakcyjna. Przede wszystkim przez swój charakter.

- Tak - odparł nieobecny duchem. - Przystała mi deptać po piętach. To dobrze.

Unni już chciała spytać, dlaczego, ale zbudził się Jordi. Przyszedł teraz i okrył jej kocem ramiona. Podziękowała mu za troskliwość.

Miguel wciąż okazywał wielkie zdumienie na widok podobnych czułych gestów. Na twarzy malowało mu się niedowierzanie.

Chwilę potem podniosła się również Juana. Zaspana przysunęła się bliżej. Antonio, Sissi i Morten wciąż spali.

Miguel zrobił ruch, jak gdyby chciał okryć Juanę swoim pledem, ale prędko przyciągnął rękę do siebie.

Jordi podniósł wzrok na krawędź skały. Pozostali powiedli za jego spojrzeniem. Teraz horyzont z całą pewnością nie był już tylko fantazją. Czerń skały odcinała się od granatu nieba, chociaż Unni upierała się, że jest to wciąż tylko różnica pomiędzy ciemną czernią a jasną.

Siedzieli w milczeniu, chłonąc ciepło ogniska. Nie chcieli niszczyć niezwyklej, jakby podniosłej atmosfery.

Z dna doliny dobiegł krzyk żalu, ostrzejszy niż wszystkie dotychczas. Przerażliwy, jakby ponaglący.

Wszyscy troje, którzy mogli go usłyszeć, wychylili się przez krawędź, usiłując spojrzeć w dół. Juana poszła za ich przykładem, chociaż nie rozumiała, dlaczego. Miguel mocno złapał ją za kurtkę. Wyraźnie nie chciał, żeby znów spadła. Teraz przecież nie miał skrzydeł, dzięki którym mógłby pospieszyć jej na ratunek.

A ci troje zobaczyli. Ujrzeni sześcioro upiornych jeźdźców mknących na koniach przez rozpadlinę niczym jaśniejące niebieskawe szkielety. Zarówno jeźdźcy, jak i wierzchowce wciąż mieli oczy.

- Ach, Boże, to rycerze - szepnęła Unni.

- I Urraca - dodał Jordi. - Wiozą martwe królewskie dzieci.

Unni od stóp do głów przeniknął dreszcz, kiedy rycerze zatrzymali się pod nimi. Białe upiorne oblicza zwróciły się w ich stronę. Skinieniem kościstych dłoni dali grupie znać, że ma podążać za nimi.

A potem odjechali, wciąż kierując się w głąb rozpadliny.

Upłynęła zaledwie sekunda, zanim grupa się zorganizowała. Czym prędzej zbudzili pozostałych, zgasili ognisko i pozbierali wszystkie swoje rzeczy.

- Co się stało? - spytał Morten zdumiony. - Przecież jest czarna noc!

- Nie, zaczyna świtać. Musimy ruszać. I trzeba się spieszyć - odparł Jordi.

- Skąd wiesz, że trzeba się spieszyć?

- Otrzymaliśmy wiadomość. Od rycerzy.

- Przecież im nie wolno już dłużej nam pomagać!

- To była tylko wizja z dawnych czasów.

- Chyba masz źle w głowie! A poza tym Emma nigdy nie zdecydowałaby się na wędrówkę w takiej ciemności.

- Poza tą głupią bandą Emmy mamy przecież jeszcze innych przeciwników.

Unni przyszło do głowy, iż dziwne, że jeszcze więcej osób nie włączyło się w poszukiwanie skarbu. Przecież nawet oni rozpytywali na lewo i prawo. Tak naprawdę mogli mówić o szczęściu, że na poszukiwanie skarbu nie wyruszyły całe hordy ludzi.

- Ojej! - westchnął zdumiony Morten, gdy przygotowali się już do zejścia na dół. - Nic mnie nie boli! Czuję się świeży i sprężysty jak za młodych lat!

- To znaczy kiedy? W zeszłym tygodniu? - spytała Unni cierpko.

- To naprawdę świetna wiadomość - stwierdził Antonio. - Najwyraźniej amulet zadziałał na twoje dolegliwości.

Morten zaczął mieć nagle kłopoty z podjęciem decyzji. Myśli wirowały mu po głowie jak zbłąkane piłeczki tenisowe. Bardzo chciał zostać tutaj, w tym bezpiecznym miejscu, ale teraz nie miał już ku temu żadnych powodów. Był w tak samo dobrej formie jak wszyscy pozostali, a to oznaczało, że nikt już nie będzie się nad nim użalał. Teraz właściwie musiał więc iść razem z całą grupą.

Tymczasem tak naprawdę wcale tego nie pragnął. Po prostu się bał. Ale do tego nie mógł się przyznać przed wszystkimi tymi przekłętymi bohaterami, przed pewnym siebie Antoniem, przed Jordim, niewzruszonym jak skała, przed Unni, która znała się na wszystkim, przed Sissi, która potrafiła jeszcze więcej, przed kruchą słabą Juana, która dołączyła do nich dobrowolnie, i przed Miguelem, który był przecież istotą z innego świata.

Morten w bardzo złym humorze zaczął spuszczać się w dół, nie mając pojęcia, że większość jego towarzyszy również odczuwa rozpaczliwy strach.

Na dnie rozpadliny panował gęsty mrok. Starali się pomagać sobie jak tylko mogli, bo łatwo było się potknąć, a coś podpowiadało im, że muszą się spieszyć. Poganiał ich dokuczliwy niepokój i lęk przed czymś, co być może podążało ich śladem.

Wkrótce rozpadlina rozszerzyła się i zmieniła w krótką dolinę, z której w różnych kierunkach odchodziło kilka wąwozów. Niebo przybrało teraz barwę królewskiego błękitu i chociaż wciąż nie dawało się rozróżnić wszystkich szczegółów, to przynajmniej większe linie stały się wyraźniejsze.

- Co robimy teraz? - spytała Sissi. Przez chwilę stali bezradni.

I nagle kilka głosów zawołało jednocześnie:

- Tam!

Na drugim końcu doliny koło wąwozu, którego wejście znajdowało się dość daleko z prawej strony, dostrzegli bladoniebieską smugę, która znikwała na ich oczach.

Upiorna wizja rycerskiego orszaku wskazała im drogę.

- A więc jednak mimo wszystko nam pomogli - stwierdził Jordi ze zdziwieniem i podziwem w głosie. - Chociaż im nie wolno.

- Widać uznali, że nie jest to pomoc bezpośrednia - uśmiechnęła się Unni. - Ale jesteśmy im wdzięczni za to małe oszustwo, prawda?

- O, tak, z całego serca - zapewnił Antonio. - Chodźmy! Podążajmy za ich niemymi wskazówkami, za tym zimnym niebieskim blaskiem.

W milczeniu lekkim krokiem przemykali przez szeleszczącą trawę i wrzosi. Musieli przedostać się na drugą stronę, nim zrobi się dostatecznie jasno, by nie mogli ich zauważyć tajemniczy prześladowcy.

Jak Indianie czy samuraje biegali z bronią przyciśniętą do ciała, tak oni biegli, mocno ściskając należące do nich rzeczy. Poruszali jedynie nogami, podczas gdy reszta ciała pozostawała nieruchoma. Antonio znajdujący się na samym końcu napawał się tym widokiem. Przyjaciele przypominali islandzkie koniki, mknące swoim charakterystycznym krokiem, niemal unosili się posuwicie w powietrzu milczącym rzędem, który otwierał Jordi.

Światło dzienne w widoczny sposób nabrało mocy, gdy dotarli do przeciwległego krańca doliny z prawej strony, lecz wówczas mogli już znaleźć schronienie wśród wystrzępionych skał. Nieco wyżej leżał śnieg, od którego wyraźnie ciągnęło chłodem, przywitali go jednak z radością, ponieważ marszobieg bardzo ich rozgrzał.

Morten i Juana stanęli pochyleni w przód, z rękami opartymi o kolana. Starali się odzyskać normalny oddech. Unni aż przysiadła, a Antonio z całych sił starał się ukryć zadyszkę. Natomiast Sissi, Jordi i Miguel sprawiali wrażenie, jakby bieg ani trochę ich nie zmęczył.

Jordi obejrzał się w tył na dolinę. W słabym świetle świtu dało się już teraz rozróżnić wszystkie szczegóły.

- Coś się porusza tam w oddali. Przy wyjściu z tej rozpadliny, z której przyszliśmy - stwierdził. - Ale możliwe, że to tylko wiatr szeleści w krzakach. Miguel stanął przy nim.

- Widzę, o co ci chodzi. Nie sądzę, żeby to był wiatr. Upiorni rycerze wiedzieli, co robią. Chcesz, żebym tu zaczekał i zajął się nimi?

Jordi zawahał się.

- Dziękuję za propozycję, ale... wolelibyśmy, żebyś nam towarzyszył. Pamiętaj, że jesteś teraz człowiekiem!

- Tak jakbym mógł choć na chwilę o tym zapomnieć - mruknął Miguel. - Ale masz rację, nie mogę przecież zrobić wszystkiego, co bym chciał.

Na przykład zabić jednym ruchem ręki, uzupełnił w myślach Jordi. Tak, tak, właśnie tego wolałbym uniknąć.

- Jesteście gotowi? - zawołał. - Jeśli tak, to idziemy dalej. Przy okazji muszę wam powiedzieć, że doskonale się spisaliście. Wszyscy bez wyjątku.

Podszedł do Unni.

- Jak się czujesz?

Dziewczyna już wstała.

- *No problema*. Usiadłam po prostu na wszelki wypadek.

- To świetnie. Chodźmy więc! Nie wydaje mi się, żeby prześladowcy nas zauważyli. I mają do wyboru kilka wąwozów. Przypuszczam, że spróbują przede wszystkim zagłębić się w ten duży, położony dokładnie u wylotu doliny.

Dnem wąwozu, do którego teraz weszli, płynęła rzeka w kamienistym łożysku, stosunkowo łatwo jednak było się poruszać wzdłuż szemrzącej wody.

Wąwóz piał się pod górę i po pewnym czasie mozolnej wspinaczki zatrzymali się na krótką przerwę.

Miguel wszedł na wzniesienie. Roztaczał się stąd widok na dolinę, którą właśnie opuścili. Juana spoglądała za nim powłóczytym spojrzeniem, lecz demon wkrótce powrócił na dół.

- Widziałem ich - oświadczył bez tchu towarzyszom. - Przedzierają się ku temu wielkiemu, centralnie położonemu wąwózowi. Sprawiają wrażenie ogromnie zmęczonych. Musieli wędrować przez całą noc. Pewnie wkrótce zatrzymają się, żeby się trochę przespać.

- Świetnie! - powiedziała Unni. - Możemy więc liczyć na chwilę wytchnienia. Oby tylko nas nie zobaczyli!

Zbili się w gromadkę tak, by nie dało się ich dostrzec z dołu.

- Czy to była Emma i jej kompania? - spytał Antonio. Miguel nie miał pewności.

- Jeśli tak, to by oznaczało, że musieli się gdzieś pogubić. Tych było tylko troje.

Milczeli. Czyżby ta trójka nieznajomych? Czyżby już udało im się dopędzić grupę? Czy też może jednak była to banda Emmy? Albo w ogóle ktoś inny?

Morten rozłożył się na żółknącej górskiej trawie.

- Nie pojmuję, jak oni mogli wybudować całą wioskę, w dodatku z kościołem i w ogóle, na takim straszliwym pustkowiu. Zakładając oczywiście, że Unni wszystko dobrze zaobserwowała. Mamy przecież na to wyłącznie jej słowo. Możliwe, że nie ma tu zupełnie nic.

- Nie zapominaj o orle - przypomniał mu Antonio. - I o innych informacjach, jakie otrzymaliśmy. Wszystko świetnie do siebie pasuje. Musimy patrzeć na całość, chociaż rzeczywiście niepojęte się wydaje, że można wybudować wioskę w miejscu, do którego dostęp jest tak straszliwie trudny. W tym masz rację, Mortenie.

Unni podniosła rękę.



- Powiedzieliście coś ważnego! Coś, o czym ja zapomniałam. Pamiętacie, w tej mojej wizji zobaczyłam, że cała wioska była w stanie upadku już w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym pierwszym. Musiała więc być znacznie starsza. Stał w niej kościół, a więc musiała powstać za czasów chrześcijaństwa, ale kiedy się ono pojawiło w północnej Hiszpanii, tego nie wiem. To oczywiście wiedziała Juana.

- W tej części kraju budowano wiele niedużych kościółków już w ósmym i dziewiątym wieku. Potem panowanie przejęli Maurowie, ale bardzo możliwe, że taki mały kościół gdzieś w górach pozostawiono w spokoju.

- Dziękuję ci, Juano - uśmiechnęła się Unni. - Twoja pomoc naprawdę jest dla nas nieoceniona. A zapomniałam wam powiedzieć, ponieważ uznałam to za nieistotne, że widziałam inne wyjście z tej ukrytej doliny.

- Inne wyjście? - wykrzyknął Morten. - I mówisz o tym dopiero teraz?

- Tak, bo tamto wyjście było zamknięte. Jedno ze zboczy gór zawałiło się i zasypało cały wąwóz olbrzymimi kamiennymi blokami.

- Ach, tak? - zadumał się Jordi. - To wiele wyjaśnia. Wiemy już, dlaczego ludzie wyprowadzili się z tej wioski, dlaczego ją opuścili i dlaczego poszła w zapomnienie.

- To prawda - pokiwała głową Juana. - Prawdopodobnie tamtędy było o wiele bliżej do jakichś sąsiad - nich osad.

- Czy mógłbym popatrzeć na mapę? - poprosił Jordi. - Nie, nie na twoją, Unni, wolałbym tę twoją, bar - dziej szczegółową mapę Asturii, Juano.

Rozjaśniło się już i w świetle dziennym wszyscy po - chylili się nad mapą. Unni zauważyła, że Miguelowi na - prawdę zaimponowała wiedza Juany i jej przydatność. Ta reakcja bardzo ucieszyła Unni. Miguel sprawiał wrażenie wręcz dumnego z tej młodej dziewczyny. To naprawdę niezły początek, pomyślała Unni, ale prędko zgasła własną radość. Przecież związek tych dwojga był całkiem nierealny, wręcz beznadziejny.

- Gdzie, twoim zdaniem, Juano, możemy się teraz znajdować? - spytał Antonio.

Dziewczyna wodziła po mapie cienkim patyczkiem.

- Tutaj jest wielki masyw górski Picos de Europa. A tu jest wąwóz Hermida, z którego przyjechaliśmy.

Desfiladero de la Hermida. Jesteśmy gdzieś pomiędzy tym punktem a tym. Kierowaliśmy się najpierw na zachód, a potem na południe... Przypuszczam, że jesteśmy mniej więcej tu, na pełnym pustkowiu.

- Chyba masz rację - przyznał Jordi. - Ale nieco dalej na południe widać kilka niedużych górskich wiosek.

- To by oznaczało, że znajdujemy się stosunkowo niedaleko nich, tyle że nie ma z nimi żadnego połączenia drogowego.

- Ponieważ zasypały je głązy - uzupełnił Morten. - A w innym miejscu drogę zagradzają wysokie szczyty.

Sissi, wskazując palcem, zakończonym niepolakierowanym paznokciem jak przystoi prawdziwemu włóczędze, snującemu się po bezdrożach, stwierdziła:

- Wobec tego powinniśmy znajdować się mniej więcej dokładnie tutaj.

- Mniej więcej dokładnie - uśmiechnął się Antonio. - To niezwykle precyzyjne wyrażenie. Ale zgadzam się z tobą.

- A rycerze i ich ludzie znali jednak tę krętą drogę, którą tu przybyliśmy - powiedział Morten. - Jeśli oczywiście podążamy właściwym szlakiem.

Nikt nie miał siły po raz kolejny przypominać mu o orle. Morten czasami okazywał się naprawdę mało bystry.

Teraz, gdy znajdowali się stosunkowo wysoko, możliwości komunikacji powinny znacznie się poprawić i Antonio skorzystał z okazji, by zatelefonować do Vesli, która pozdrowiła wszystkich. Od razu było widać, że dla Antonia ten dzień stał się jaśniejszy. Następnie zadzwonili do Flavii, która dotarła już z powrotem do Madrytu i napawała się tamtejszymi luksusami, a później jeszcze do Gudrun i Pedra, którzy wciąż oczekiwali ich w Panes. Pedro oświadczył, że jeśli nie dadzą znaku życia przez dwie doby, to wyśle na poszukiwania policyjny helikopter.

- Helikopter? - powtórzył Morten, gdy rozmowa telefoniczna dobiegła końca. - Dlaczego nam nie wpadło to do głowy? Dzięki temu moglibyśmy uniknąć tej morderczej wędrówki.

Antonio popatrzył na niego surowo.

- Po pierwsze, cena za godzinę wynajęcia helikoptera jest obłąkanie wysoka, po drugie, wymagane jest specjalne zezwolenie na lądowanie w parku narodowym, jakim są Picos de Europa, a po trzecie, wiązałoby się to z mnóstwem niepotrzebnych pytań i zbędnym ściąganiem na siebie uwagi. Poza tym wątpię, żeby dało się z powietrza odnaleźć dawno zapomnianą wioskę. Gdyby tak było, ktoś na pewno już by ją zauważył. Zadowolony z odpowiedzi?

- Tak, tak - burknął Morten.

- Ale trochę jedzenia mogliby nam zrzucić - zaproponowała Unni nieśmiało. Zaraz jednak zmieniła temat. - Jordi, co to za tęskna melodia, którą pogwizdujesz przez ostatnie pół

godziny? Mało przez nią nie oszaleję, tak żałośnie świdruje w uszach. Z całą pewnością opowiada o nieszczęśliwej miłości. Co to za kawałek?

Jordi, zawstydzony, natychmiast przestał gwizdać.

- Przepraszam! To fragment „El amor brujo” de Falli. I rzeczywiście opowiada o wielkich namiętnościach.

- Potrafię przetłumaczyć ten tytuł - uradował się Morten. - „Czarodziejska miłość”!

- Nie całkiem - poprawił go Jordi. - Ale nie ty jeden popełniasz taki błąd. Bo słowa te znaczą mniej więcej „Miłość czarodziejem”: to miłość potrafi zdziałać cuda.

- Ach, tak! Dziękuję - powiedział Morten, lecz nie wyglądał na zbyt zawstydzonego. - Zresztą twoje tłumaczenie również nie było dosłowne.

- Wiem o tym - odparł Jordi z uśmiechem. - Ale w przybliżeniu pasuje.

Miguel poszedł trochę przodem, po chwili zaś wrócił.

- Idziemy właściwą drogą - powiedział, wskazując przed siebie.

Przeszli jeszcze kilka kroków i ujrzeli drugiego orła wyciosanego na wielkim kamiennym bloku. Akurat w tym miejscu rzeka dzieliła się na dwa strumienie, spływające z chłodnych gór. Drogowskaz był więc konieczny.

- Wiem, że na pewno jesteście bardzo głodni - powiedział Jordi. - Ale mamy mało czasu, poza tym musimy bardzo oszczędzać nasze skromne zapasy. Ale podzielimy się dwiema tabliczkami czekolady, a popijemy je wodą ze strumienia!

Szli w milczeniu. Dość męcząca była wędrówka w górę strumienia przy jednoczesnym jedzeniu czekolady. Rozmowa jako dodatek w ogóle nie wchodziła w grę. Nic tak bardzo nie nadwiera sił podczas wspinaczki jak właśnie mówienie.

Znajdowali się już teraz wysoko, zbliżali się do szczytu i...

- Ratunku! - powiedziała Sissi, zatrzymując się w miejscu.

Wszyscy stanęli jak wmurowani. I jak echo powtórzyli za nią:

- Ratunku!

Przed nimi rozpościerała się w poprzek płytka, porośnięta trawą dolina, której środkiem płynęła z głośnym szumem szeroka rzeka.

- Chyba” nie będziemy musieli przeprować się na drugą stronę? - spytała z lękiem Juana.

Nikt jej nie odpowiedział. Dopiero Miguel wskazał skalną ścianę na drugim brzegu. Na niej wryty został trzeci orzeł.

**CZEŚĆ DRUGA**  
**„EL AMOR BRUJO”**

## 6

Chudy mężczyzna cisnął swoje pakunki na ziemię.

- Zgubiliśmy ich! Znowu!

- Cholernie jestem zmęczony - stwierdził Thore Andersen. - Nie spaliśmy już od dwóch dni.

- Wyśpisz się później. Teraz chodzi o to, żeby ich dogonić. I nie przeklinaj w mojej obecności, wiele razy już to ode mnie słyszałeś!

Oczy asystentki jarzyły się fanatyzmem.

- Musimy już być w pobliżu.

- Oni są bliżej - stwierdził kościsty przywódca.

- Gdyby nam się udało ich wyprzedzić! Niepotrzebni już nam są jako przewodnicy.

- Nie mów tak - stwierdził chudy. - My znamy tylko ukrytą wioską i jej tajemnicę. Nic nie wiemy o drodze, która do niej prowadzi. W tej płataninie dolin, wąwozów i przełęczy łatwo zablądzić.

Pozwolili sobie na półgodzinny odpoczynek w ponurym nastroju i znów podjęli pościg. Thore Andersen zasnął i trzeba go było budzić.

Oczy pozostałych dwojga zapadły się głęboko i jarzyły blaskiem. Nie potrafili odpocząć, chcieli przeć naprzód, skarb kusił i przywoływał. Thore Andersen podkraść trochę prowiantu, ale jego zwierzchnicy nawet nie zwrócili na to uwagi. Sił dodawała im wola zdobycia skarbu.

- Musimy mieć coś do jedzenia - stwierdziła Emma. - Kto nie dopilnował zabrania dostatecznej ilości zapasów?

- Na przykład ty - odparł Alonzo z pochmurną miną. W żołądku aż go ścisnęło z głodu.

- Ja? Czy ja doprawdy muszę pilnować wszystkiego? Wy nie macie mózgów i sami nie potraficie myśleć? Tommy, Kenny, tam jest jakieś jeziorko. Nałówcie ryb!

Dwaj Norwegowie zaprotestowali jak szaleni. Jak można łowić bez odpowiedniego sprzętu?

- Wejdźcie do wody i łapcie ryby rękami! - wrzasnęła Emma. Miała serdecznie dość wszystkiego, jak często się zdarza, kiedy człowiek porządnie zgłodnieje.

- Przeklęty babsztyl! - mruknął Kenny.

Sześcioro pomocników rycerzy - Miguela trudno było bowiem uznać za takiego - zeszło nad rzekę, która dziko toczyła z szumem swoje wody.

Z drugiego brzegu wabił znak orła.

- Nigdy w życiu nie zdołaliby przeprowadzić tędy koni - orzekł Morten.

- Z całą pewnością nie - potwierdził Jordi, który kilkakrotnie zdążył obejść brzeg. - Ale są tu ślady filarów starego mostu. Bardzo starego.

- Widocznie rzeka zerwała most już dawno temu - powiedziała Sissi. - Ciekawe, czy zbudowano go właśnie w celu wykorzystania tej drogi, prowadzącej do zapomnianej wioski.

- Może i tak - odparł Jordi. - A może zbudowali go mieszkańcy, którzy musieli opuścić wioskę, gdy zawaliło się tamto przejście?

- To pewnie było tak dawno temu, że oni nie umieli wznosić mostów - stwierdził Antonio. - Sądzę raczej, że most to dzieło ludzi rycerzy. Wioska musiała stanowić doskonałą kryjówkę dla skarbu.

- Tak wspaniała, że nikt nie zdołał jej odnaleźć przez pięćset lat - zaśmiała się z rezygnacją Sissi.

- Tak czy owak nasza podróż dobiegła końca - oznajmił Morten z nadzieją w głosie. - Dalej już nie dotrzemy.

Nikt go jednak nie słuchał. Wszyscy rozważali możliwości. Owszem, mieli ze sobą długą linę, lecz po drugiej stronie nie było nic, na co dałoby się zarzucić łąso. Zawędrowali już na tyle wysoko, że nie rosły tu żadne drzewa.

Lecz gdyby tak ktoś zdołał przepłynąć na drugą stronę i umocować linę za pomocą kamienia zaklinowanego poprzecznie pomiędzy dwoma skalnymi blokami...

- Ja to mogę zrobić - oświadczyła Sissi. Miguel zdecydowanie zaprotestował:

- Nie, ja się tym zajmę. To nie jest zadanie dla kobiet ludzkiego rodu.

No tak, pomyśleli. Jeśli ktoś to potrafi, to chyba rzeczywiście tylko on.

Starannie umocowali linę na swoim brzegu rzeki, a drugim końcem mocno obwiązali w pasie Miguela. Rzucił się w nurt.

Natychmiast porwał go prąd, silnie uderzając nim o brzeg. Miguel znalazł się pod wodą, napił się jej, wciągnął do płuc. W końcu wielkim wysiłkiem wy dostał się na powierzchnię i zaraz znów zniknął w odmętach.

W jednej chwili pojął, że jest człowiekiem w znacznie większym stopniu, niż mu się to dotychczas wydawało. Tabris przyzwyczajony był traktować podobne wyzwania jak zabawę. Teraz zaś okazało się, że wszystkie jego niezwykle magiczne siły, wszystkie nadprzyrodzone zdolności zniknęły.

Odczuł to jako piekącą klęskę. Bark bolał go od uderzenia o kamienisty brzeg, prąd nie przestawał nim szarpać. Miał ogromne problemy z oddechem, trudno bowiem było utrzymać głowę nad powierzchnią wody, by zaczerpnąć powietrza. A jeśli lina pęknie? Rzeka porwie go i uniesie w dal w ciągu zaledwie kilku sekund.

Towarzysze, pozostający na brzegu, z przerażeniem obserwowali jego zmagania. Antonio rozważał już, czy nie wyciągnąć Miguela z powrotem, lecz Jordi go powstrzymał.

- Zaczekajmy. Starajmy się go nie upokorzyć - ostrzegł. - Przyjdzie mu z pomocą to ostateczne rozwiązanie.

Miguelowi udało się odetchnąć głębiej. Drugi brzeg... ? Usiłował dostrzec go poprzez wodę. Dotarcie tam wydawało się niemożliwe.

Przeklęte, żalodne ludzkie ciało! Nie miał jednak zamiaru się poddawać. Wyszukiwał na dnie rzeki płaskie kamienie, od których starał odpychać się nogą. Za każdym razem prąd znów go porywał, lecz też i za każdym razem był bliżej celu. Teraz na szczęście nauczył się już, że musi mieć usta zamknięte.

I nagle pojawiła się w nim nowa, całkowicie nieoczekiwana reakcja - szacunek dla tych ludzi, którzy pomimo braku nadprzyrodzonej mocy zdołali przeżyć w twardym świecie, w dodatku czyniąc takie ogromne postępy techniczne i społeczne. To przecież... to przecież prawdziwy cud!

Owa nowa myśl wstrząsnęła nim tak mocno, że przestał się pilnować i prąd znów go porwał. Usłyszał czyjś krzyk strachu - ta osoba bała się o niego! I wiedział, kto krzyczy. Miguel poczuł w sercu jakieś ciepłe ukłucie. Nie rozumiał swojej reakcji. Nie pojmował, że wzruszyła go ta troska. Takie doznania bowiem były najzupełniej obce demonowi, nie potrafił sobie z nimi radzić.

Jeszcze raz padł ofiarą prądu, znalazł się pod wodą, przez moment najzupełniej bezradny.

I właśnie to poczucie bezradności wzbudziło w nim zdrowy, pełen oburzenia gniew. Nie mógł dłużej znieść swojej niezdarności i dzięki temu udało mu się odszukać pod wodą jeszcze jeden płaski kamień, od którego odepchnął się z siłą podwojoną przez wściekłość.

Dotarł wreszcie do poszarpanego brzegu po drugiej stronie, w który mocno się wczepił. Poobijany i wycieńczony, wy dostał się na ląd przy wtórze radosnych okrzyków towarzyszy.

Podziękował za tę owację przesadnie niskim ukłonem i szerokim uśmiechem.

Stał się teraz jednym z nich. A może raczej należałoby powiedzieć: byli sobie równi.

Miguel nie szczędził wysiłków, by umocować linę jak najbezpieczniej. Chciał teraz wyrzucić wrażenie na swych towarzyszach. To również było dla niego całkiem nowe uczucie. Często zerkał na drugi brzeg rzeki, choć sam nie bardzo wiedział, dlaczego tak robi. Jakby chciał się upewnić, że wszyscy tam są. Że nikogo nie brakuje.

Oni zaś ze swej strony robili, co mogli, by jak najmocniej napiąć linę, tak aby za bardzo się nie zmoczyć przy przedostawaniu się na drugi brzeg.

W końcu Miguel dał znak Sissi, że może zaczynać. Już wcześniej zdążył zrozumieć, że dziewczyna jest niezwykle sprawna.

I że się nie boi.

Sissi oplótła linę rękami i nogami i zaczęła posuwać się naprzód, zawieszona nad szumiącymi głodnymi falami, które próbowały jej dosięgnąć i opryskać najbardziej jak mogły.

Miguel powitał ją, choć bardzo oszczędnie.

- Niezła jesteś.

- Dziękuję - odparła. - Kto teraz?

- Unni. Potrzebowałem twojej pomocy, żeby przyjąć ją i resztę słabeuszy. Dziękuję ci za ten twój krzyk strachu, ale nawet przez chwilę nie byłem w niebezpieczeństwie.

- Unni na ogół nie jest słaba.

- Wiem o tym, ale potrzebne jej miękkie lądowanie.

- Wiesz, że jest w ciąży?

- Tak. Ona i Jordi powiedzieli mi o tym. Chociaż nie rozplęwał się w słowach, ton jego głosu świadczył o dumie z okazanego mu zaufania.

Dał znak Unni, że ma się przygotować.

Udało jej się przedostać na drugą stronę względnie łatwo. Zmoczyła tylko pupę.

Na drugim brzegu odetchnęła z ulgą.

- Powiem, jak pewna dama cierpiąca na chorobę morską w drodze na Gotlandię statkiem jeszcze przed nastaniem epoki samolotów: „Bez względu na to, ile to będzie kosztować, do domu wracam łodem”. My chyba nie będziemy wracać tą samą drogą?

- Chyba mamy nadzieję, że tak właśnie będzie.

- No tak, oczywiście - przyznała Unni przygnębiona. Zaraz jednak jak zwykle się ożywiła. - Miguelu, wyglądasz jak przytopiony kot!



- Tak to już bywa, kiedy trzeba być człowiekiem. Skinął ręką na Juanę, która właściwie była gotowa do startu. Bracia Vargasowie zdążyli już zorientować się w zamysłach Miguela: najpierw Sissi, by mogła pomóc mu po drugiej stronie, a obaj bracia na samym końcu. Na każdym brzegu rzeki miały być po dwie silne osoby. Linę bowiem należało przez cały czas napinać, tak aby przejście sprawiało jak najmniej kłopotu, a to wymagało siły.

Dzień był pogodny, przejrzysty, niebo bezchmurne, przynajmniej na tyle, na ile mogli to stwierdzić pochłonięci wymagającym niezwyklej koncentracji zadaniem i poprzez zasłonę z drobin piany, unoszących się nad wodą. Zorientowali się, że wyżej zerwał się wiatr, w dolinie jednak panował względny spokój.

Unni obserwowała Miguela w czasie, gdy Juana przeprawiała się na drugą stronę. Brak doświadczenia i treningu w posuwaniu się na rękach to jedno, a kiedy na dodatek wisi się nad szalejącą rzeką, to może być za dużo jak na jeden raz. Juanie przeprawa sprawiała wiele trudu, widać to było wyraźnie po ostrożnym, powolnym tempie, w jakim posuwała się naprzód. Na twarzy Miguela malowało się napięcie i ogromna koncentracja, gdy razem z Sissi napinał linę.

I to ten, który twierdzi, że jest całkowicie pozbawiony jakichkolwiek uczuć dla innych, pomyślała Unni. Może rzeczywiście to dopiero stadium wstępne, ale doprawdy jest na dobrej drodze!

Chyba że to narzucona mu ludzka skóra przydaje mu większej elastyczności. I gdy zmieni skórę, na powrót stanie się brutalnym Tabrisem.

Juanie jedna noga zsunęła się z liny, na co wszyscy zareagowali okrzykiem przerażenia. Miguel wyglądał tak, jakby już chciał rzucić się jej na pomoc, na szczęście jednak dziewczyna odzyskała równowagę i wkrótce potem trzy pary pomocnych rąk wyciągnęły ją na właściwy brzeg.

Była tak przerażona swoim „wypadkiem”, że spontanicznie rzuciła się na szyję mokrusieńkiemu Miguelowi.

- Zmoczysz się - powiedział sztywno, odsuwając ją od siebie, lecz w jego ruchu nie było zwykłej dotychczas niechęci.

Na przeciwległym brzegu Morten, będąc świadkiem wypadku Juany, podjął decyzję.

- Zostaję tutaj! Nie ma sensu, żebyście ciągnęli mnie ze sobą dłużej. Tylko wam zawadzam.

Ale wtedy Antonio wpadł w złość.

- Nie mamy czasu na żadne bzdury! W pojedynkę tutaj nie dasz sobie rady, pod żadnym względem. Prześladowcy depczą nam po piętach, a poza tym sam nigdy w życiu nie zdołałbyś odnaleźć powrotnej drogi, gdybyśmy stamtąd nie wrócili.

Głos Jordiego brzmiał łagodniej, lecz i w jego słowach przebijała stanowczość:

- Czy to nie ty swego czasu byłeś taki dumny ze swoich silnych rąk? Jeśli nie zdołasz utrzymać nóg w górze, przedostaniesz się na drugą stronę, posuwając się na samych rękach.

Morten ze zgrozą patrzył, jak nisko nad wodą wisi lina, a w myślach czuł już, jak prąd ciągnie go za nogi, zmuszając, by się puścił „mostu”.

- Owszem, mam bardzo silne ręce - powiedział w nagłym przypływie odwagi. - Gdybyście tylko mi pomogli założyć nogi na linę i napięli ją mocno jak wszyscy diabli, to rzucę się do tej rzeki z pogardą dla śmierci.

- Właśnie tak trzeba myśleć, Mortenie! I staraj się po drodze odpychać od siebie wszelkie wątpliwości.

Wy nie wiecie, że płacz ściska mnie w gardle, pomyślał chłopak, łapiąc linę. Boże, jaka ona cienka i śliska! Przyjaciele pomogli mu skrzyżować nogi.

Wszystkie trzy dziewczyny dały sobie radę, pomyślał niemal z rozpaczą. Nawet Juana. Nie mogę teraz okazać się żalonym Mortenem, który robi w majtki przy każdej najdrobniejszej nawet okazji.

Lina nieprzyjaźnie się opuściła i do połowy znalazł się w wodzie. Woda wpadła mu do gardła! Nie wolno się puścić nogami, pomocy!

- Naprężcie linę! - krzyknął spanikowanym falsetem, ale ostatnia sylaba zniknęła w plusku pod wodą.

Przyjaciele robili co mogli, lecz dla Mortena przeprawa okazała się rzeczywiście niezwykle mokra. Już przy samym brzegu nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zawisł na samych tylko rękach. Sissi czekała w gotowości, by rzucić mu się na pomoc, lecz Miguel stwierdził: „Ja już i tak jestem mokry”, po czym wskoczył do wody, jedną ręką trzymając się liny, i chwycił Mortena za ramię. Chłopak unosił się już na wodzie porywany prądem, a teraz popełnił okropny błąd, bo puścił linę i zamiast niej złapał się Miguela. Gdyby dziewczęta nie przystąpiły do akcji i nie wyciągnęły ich obu na brzeg, i Morten, i Miguel odpłynęliby w nieznaną dal, niesieni wartkim prądem.

Jordi, silniejszy od młodszego brata Antonia, miał przeprowić się jako ostatni. Antonio, dosyć ciężki, również nie uniknął kąpieli. W końcu na drugim brzegu znalazł się i Jordi, przemoczony, lecz zdaniem Unni jeszcze przez to piękniejszy.

Przejrzeli bagaże. Najważniejsze rzeczy zapakowali w plastik, więc nic wielkiego się nie stało, zresztą z pewnymi stratami zawsze trzeba się liczyć.

- Powiedziałeś mi to samo, Jordi, kiedy ja miałam przechodzić na drugą stronę - śmiała się Unni. - Ale tym razem się udało.

- I bardzo dobrze - uśmiechnął się Jordi, obdarzając ją mokrym uściskiem.

- Nie odwiązałeś liny? - spytał zdziwiony Morten.

- Przecież mamy nadzieję, że będziemy tędy wracać - odparł cierpko Jordi.

- Ale to znaczy, że pomożemy wrogom!

- Staralem się jak mogłem, żeby ukryć linę po tamtej stronie. To samo zrobimy tutaj i opuścimy ją do wody. Jeśli mimo to ją zobaczą, trudno, nic na to nie poradzimy. No, ruszamy dalej! W stronę orła.

- Ale przecież jesteśmy kompletnie przemoczeni!

- Wyschniemy w marszu. Przestań już narzekać, Mortenie! Straszny z ciebie mieszcuch!

- Ze mnie?

- Mógłbyś przynajmniej narzekać konstruktywnie - wtrąciła się Unni. - Nie być tak negatywnie nastawiony do wszystkiego, żeby zabijać w nas wszelką żądzę przygody. Nie patrz na nieznane trudności, które się piętrzą przed nami, tylko na to, co już udało nam się osiągnąć. Na wszystkie te niezwykle przeszkody, które mamy już za sobą!

- Dziękuję bardzo! Za sobą mamy całe hordy wrogów!

- Ach, spadaj! - powiedziała Unni z rezygnacją, odchodząc od niego.

Nagle jednak się zatrzymała. Postanowiła sprowokować Mortena i zawołała do pozostałych:

- Naprawdę nie wiem, po co ciągniemy za sobą tego tchórzliwego bubka, który myśli wyłącznie o sobie i przez cały czas nie przestaje tęsknić za domem.

- Wcale nie! - ryknął Morten, trafiony w najczulszy punkt. - Jeszcze wam pokażę...

- Dobrze, dobrze, wiemy, że starasz się jak możesz - łagodził Antonio.

- Czy to ma być komplement? - zaczął już Morten, lecz przerwała mu Juana.

- Moim zdaniem jesteście niesprawiedliwi wobec Mortena - stwierdziła. - Kto jest odważniejszy niż osoba, która się boi, a mimo wszystko robi coś, przewyciężając ten strach?

- No, no, to dopiero grad komplementów! Ja miałbym się czegoś bać?

Nagle jednak usłyszał siebie tak, jak oni go słyszeli. Na sekundę zaniemówił, a w końcu zaczął się śmiać.

Nastrój natychmiast się poprawił i mogli wyruszyć dalej.

Dlaczego zawsze nazywamy Mortena chłopcem? zadawała sobie pytanie Unni. Przecież on zalicza się raczej do starszych w grupie. Bez wątpienia jednak jest bardzo dziecinny i ma też dziecinny wygląd przez to swoje naiwne błękitne spojrzenie i jasną grzywkę. Ale i tak go lubimy.

Tego rodzaju drobne utarczki słowne jak ta ostatnia były nieuniknione. Właściwie wszyscy mieli nerwy napięte do ostateczności, dokuczał im głód i zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Niemniej jednak powodem sprzeczek zawsze bywał Morten. Na szczęście to zauważył i postanowił, że musi coś z tym zrobić, bo przecież wcale tego nie chciał.

Ale czy wytrwa w swoim postanowieniu? Nic pewnego.

Być może właśnie Morten był najbardziej zwyczajny z nich wszystkich, bo przecież ludzie pełni są słabostek, które z mniejszym lub większym powodzeniem starają się ukryć przed światem. Morten natomiast nie robił nic, by je ukryć. Być może w tym objawiała się jego siła.

Unni podeszła do niego i w marszu objęła go za ramiona.

- To my rozpętałyśmy wszystko, pamiętasz? Oboje uczestniczymy w tej akcji od samego początku.

Morten wyraźnie się uradował.

- Rzeczywiście, bez nas...

- Bez nas nic by z tego nie wyszło - zapewniła go Unni Morten odwrócił się i popatrzył na rzekę.

- Udało nam się - powiedział z promiennym, choć pełnym zdziwienia uśmiechem. - Pomyśl, że się udało!

Tak naprawdę zamierzał powiedzieć „mnie się udało”, lecz w porę ugryzł się w język. Lepiej nie przeciągać struny.

## 8

Orzeł wskazał im drogę przez pasmo wzgórz, po którego obu stronach wznosiły się szczyty. Droga na samą górę nie wydawała się daleka ani trudna.

Po drodze jednak pojawiały się przed nimi coraz to nowe wzniesienia. Stawały się coraz wyższe i wyższe. Nagle w pewnej chwili Unni mocno uścisnęła Jordiego za rękę.

Wszyscy się zatrzymali. Wpatrywali się w kształt rysującego się w oddali wzgórza. Wyglądało jak przyczajony drapieźnik.

Najpierw stali w milczeniu, a w końcu pokonali ostatnie metry dzielące ich od krańca wąwozu.

Roztaczał się stąd widok na głęboką dolinę. Na jej środku wznosiła się owa niezwykła góra. Jeszcze dziwniejszy był las, porastający dno doliny wokół góry.

Unni zacytowała tekst odnalezioną przez nich starej baśni:

- *EL VALLE MAGICO Y ENCANTADO*. Czyli „Zaklęta dolina”. Był sobie kiedyś las. Wielki las, otoczony górami i sam otaczający góry. Dziwny był to las. Drzewa, niepodobne do innych drzew w okolicy, przywędrowały z dalekich krajów aż w te górskie okolice. Pośrodku lasu znajdowała się niezwykła góra. Wysoka, miała kształt skulonego zwierzęcia, lecz nie to było takie dziwne. Na górze siedział zły stwór. Pilnował skarbu. Skarbu ukrytego we wnętrzu góry. Ale to nie była prawda. Pewnego dnia mieli się tu zjawić dwaj bracia, lecz tylko jeden miał wrócić do domu. *AMOR ILIMITADO SOLAMENTE*. Na chwilę zapadła cisza.

- Cóż to, na miłość boską, za drzewa? - spytała Juana.

- Górską brzoza? - podsunął Antonio. - Jak, do pioruna, mogła tu trafić skandynawska górską brzoza, i to w miejscu, gdzie nie ma żadnych innych drzew?

- Pnie rzeczywiście przypominają brzozy - stwierdził Jordi po namyśle. - Ale to z pewnością nie jest ten sam gatunek. Górskie brzozy o tej porze roku dawno straciły już liście, a przynajmniej pożółkły. Tymczasem tam w dole listowie jest niezwykle gęste, a w dodatku ciemnozielone.

- Będziemy musieli przyjrzeć się temu z bliska - oświadczyła Unni beztrąsko. - Bez wątplenia trafiliśmy we właściwe miejsce. Ale czy to już ostateczny cel wędrówki? Czy baśń mówi o tym cokolwiek?

- Nie - odparł Antonio. - Pamiętacie naszą dyskusję z Pedrem? Doszliśmy wówczas do wniosku, że skarb nie spoczywa we wnętrzu góry, lecz w dolinie, w której stoi kościół. Ale to

nie była prawda, tak mówi baśń. Istotny jest kościół. A nie buduje się kościołów we wnętrzu góry, przynajmniej nie na co dzień.

- Uważasz więc, że to nie jest właściwa dolina?

- Wydaje mi się, że nie, że tak naprawdę to tylko drogowskaz.

Jordi przyglądał się okolicy zmrużonymi oczyma.

- Nie podoba mi się atmosfera, która tutaj panuje. Ma w sobie coś chorego... - Zawahał się.

- Atmosfera w dolinie? - dopytywała się Juana.

- Nie, to znaczy tak. Ale głównie chodzi mi o tę górę...

Unni zadrżała.

- Wydaje mi się, że powinniśmy jak najszybciej pokonać tę część drogi.

- Masz rację - przyznał Miguel. - Nie możemy stąd zobaczyć całego szczytu góry, ale jest tam coś, co nie wróży nic dobrego.

- Nie próbuj tylko powiedzieć, że na szczycie siedzi wstrętny stwór - prychnął Morten.

- Nie bądź tego taki pewien - odparł Jordi. Jego głos zabrzmiał złowroźnie. - W każdym razie musimy się starać unikać tej góry.

- Co się stało z doliną? - szepnęła Unni, właściwie do siebie, lecz i tak wszyscy ją usłyszeli.

Juana podeszła do Miguela. O dziwo, wziął ją za rękę, jakby na znak, że może poczuć się bezpieczna.

Przynajmniej na razie. Kiedy upora się już z tym wszystkim i na powrót stanie się Tabrisem, sytuacja całkiem się odmieni.

Zrobili sobie przystanek w miejscu osłoniętym od wiatru, słońce bowiem świeciło teraz mocniej i grzało, a wielu z nich potrzebowało wysuszyć się i przebrać. Głównym powodem tej przerwy była Juana, która nagle zaczęła kichać, a wiedzieli przecież, że nie mogą sobie teraz pozwolić na żadne przeziębienie. Należało ją jak najprędzej rozgrzać. Nie tylko zresztą ją.

Z miejsca, w którym się zatrzymali, nie widzieli porośniętej lasem doliny ani też owej dziwacznej góry i właściwie byli z tego powodu radzi. Mieli stąd natomiast widok na rzekę, przez którą z takim trudem się przeprawili, a tam, przynajmniej na razie, panował spokój. Nie widzieli żadnych prześladowców.

Juanę otulono pledem, wcześniej zaś bardzo zażenowana musiała rozebrać się niemal ze wszystkiego. Jordi zaczął rozcierać jej plecy, a Miguel, nie czekając, poszedł w jego ślady.

Ach, gdyby tylko miał lżejszą rękę, pomyślała Juana. Było jej okropnie zimno w nogi, ale nie śmiała się do tego przyznać. Przygnębiała ją myśl, że może ściągnąć chorobę na całą grupę, i z wdzięcznością przyjęła od Antonia tabletki, mające zapobiec przeziębieniu.

Jordi rozdzielił wśród przyjaciół trochę jedzenia. Unni zauważyła, że zarówno on, jak i Miguel zrezygnowali ze swoich porcji. Nie miała jednak siły na dyskusję z nimi. Obaj byli przecież niezwykli, być może potrafili dłużej sobie radzić bez jedzenia niż reszta.

Zorientowała się jednak, że Jordi bardzo się martwi brakiem zapasów. Powinni jak najszybciej odnaleźć wioskę w zapomnianej dolinie, a potem czym prędzej wracać w zamieszkane okolice.

Jej spojrzenie prześlizgnęło się od Jordiego, któremu pisane było pozostanie w tej dolinie na zawsze, na Miguela, który otrzymał rozkaz zabicia ich wszystkich i porwania Urraki. Nadzieja Unni mogła się uchwycić jedynie faktu, że te dwie przepowiednie były sprzeczne ze sobą.

Popatrzyła na Miguela i Juanę. Siedzieli zajęci spokojną rozmową. Miguel usiadł przy dziewczynie, żeby ją jak najmocniej rozgrzać. Unni wiele by dała, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają.

To Miguel zaczął wypytywać Juanę o jej życie na ziemi, a ona starała mu się tłumaczyć. Opowiadała o swojej samotności w Oviedo. Jej rodzice mieli gospodarstwo bardziej w środku kraju, nie opływali w bogactwa, lecz stać ich było na wysłanie uzdolnionej córki do dobrych szkół. Nauka jednak wiązała się z samotnością. Juana była nieśmiałą dziewczyną, wychowaną według surowych zasad, zawsze obawiającą się, czy aby nie przeszkadza i czy nie sprawia komuś kłopotu, skupiła się więc wyłącznie na swoich studiach. W krótkich słowach opowiedziała mu o swojej pracy doktorskiej na temat piętnastowiecznej Asturii i o tym, jak przypadkiem nawiązała kontakt z Jordim i z Unni, którzy przekazali jej opowieść rycerzy - dzięki niej jej rozprawa mogła nabrać zupełnie fantastycznego wymiaru - i jak przez to wplątała się w tę jakże skomplikowaną sprawę.

- Mogłaś się przecież wycofać.

- Nie, odkąd...

Odkąd poznałam ciebie, chciała powiedzieć, lecz prędko zmieniła to na „odkąd poznałam rycerzy”.

Ach, że może tak siedzieć obok Miguela i opowiadać mu historię swego nudnego życia! To było... wręcz niebiańskie. Wybacz mi to wyrażenie, Królowo Niebios, lecz naprawdę tak czuję.

- A ty? - spytała nieśmiało. - Jak się czujesz, będąc człowiekiem?

Miguel uśmiechnął się półgębkiem.

- To prawdziwy koszmar, ale musisz wiedzieć, że zacząłem odczuwać dla was, ludzi, podziw, a nigdy nie sądziłem, że to możliwe.

Ach, ten jego piękny profil! Gdyby tylko wolno jej było go dotknąć, pogłodzić po włosach. Wzięła się w garść.

- Podziw? O czym ty mówisz?

- Przecież wy nie macie żadnych możliwości, żeby dawać sobie radę. Tacy jesteście we wszystkim bezradni, a mimo to udało wam się przetrwać, i to przez setki tysięcy lat. Widzę przecież, że Morten jest wśród was najsłabszym ogniwem, lecz i tak trzymacie się razem, a on jakoś się stara.

- A... ja? - spytała Juana cicho.

- Pod względem słabości zajmujesz drugie miejsce z kolei, ale to dlatego, że jesteś delikatną kobietą. Poza tym uważam cię za silną.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Rzeczywiście, wydaje mi się, że mam sporo sił.

- Jesteś nadzwyczaj silna. Nie nabrałaś dystansu do mnie, kiedy... sama wiesz. Ty i... jeszcze parę osób.

- A jakże bym mogła? - spytała łagodnie. - Przecież uratowałeś mi życie. Poza tym uważam, że wyglądałeś wtedy fascynująco, mimo że budziłeś grozę. Och, przepraszam, nie powinnam chyba tak mówić.

Zrobiła gest wskazujący na to, że chce wstać i uciec od własnych słów, którymi się zdradziła. Miguel jednak złapał ją za nadgarstek i przytrzymał. Ach, te twarde jak żelazo ręce!

Na szczęście zaraz ją puścił. Popadł w jakieś przesycone smutkiem milczenie, nie patrzył już na nią, chociaż miał pełną świadomość, że ona tam siedzi i że on pragnie, by była blisko. Przeniósł wzrok na Mortena i Sissi, prowadzących jakąś drobną sprzeczkę.

Zdaniem Juany zapanował między nimi naprawdę miły nastrój. Nigdy wcześniej tak ze sobą nie rozmawiali. Tak długo, niewymuszenie, po koleżeńsku.

Nie śmiała się poruszyć. Czekala, aż on się odezwie, i rzeczywiście, nastąpiło to dość nagle i niespodziewanie.

Miguel wykrzyknął poruszony:

- Chciałbym... Nie!

- Powiedz, o co chodzi.

Spuścił głowę i wbił wzrok w ziemię pomiędzy kolanami. A potem zapłonęła w nim wściekłość, od której oczy mu pozieleniały. Jarzyły się, kiedy patrzył wprost na Juanę.



- Nienawidzę tego, że jestem człowiekiem. Pragnę znów być Tabrisem i żałuję, że nie jesteście żeńskimi demonami. Bo jako ludzi... nie mogę was tknąć!

Z tymi słowami podniósł się i agresywnym tonem spytał Juanę:

- Idziemy dalej?

Posłuchała go, bardzo wzburzona.

Siedząca w pobliżu Unni, przerażona brutalnością dźwięczącą w jego głosie, również zerwała się ze swego miejsca.

- Owszem, jeśli wszystkim już wyschły tyłki, to idziemy! A po cichu zwróciła się do Juany:

- Coś ty mu takiego powiedziała, że tak się wściekł a ciebie tak uradowało? Aż promieniejesz i błyszczysz jak wyszorowany miedziany kociołek. Cała twarz i oczy ci się świecą.

Juana uśmiechnęła się zakłopotana.

- To on sam powiedział coś, co go rozzłościło.

Unni popatrzyła na nią badawczo, ale tylko odpowiedziała uśmiechem, o nic więcej już nie pytała. Stwierdziła, że Juanie musi być wolno mieć jakieś tajemnice.

Młoda historyczka w duchu śmiała się cicho. Ciekawe, co by Unni powiedziała, gdyby Juana zrobiła teraz teatralny diabelski grymas i spytała: Czy potrafisz, Unni, wyobrazić mnie sobie jako żeńskiego demona?

Czuła jednak, że Unni przyjęłaby to we właściwy sposób. Dlaczego jednak on mówił o żeńskich demonach w liczbie mnogiej? Wystarczyłby przecież jeden!

Leon - Wamba podniósł się z wysiłkiem. W stawach zachrząściło mu jak w zardzewiałych zawiasach.

Czyżby dotarły do niego jakieś głosy? Czyżby nadszedł wreszcie właściwy czas i wkrótce zjawi się ktoś, kto wskaże mu drogę do ukrytego skarbu? Kto zniszczy moc zaklęć Urraki i odtąd skarb już na zawsze będzie znów jego własnością?

Znów? Wamba nigdy nie był jego właścicielem. A tym bardziej Leon.

Przeczuwał, że jacyś ludzie wędrują przez góry i zacierają do jego doliny, lecz czy możliwe, by naprawdę słyszał z oddali jakieś głosy? Może tylko sobie to wmawia? Musi ostrożnie wyjrzeć, tak aby go nie zauważyli.

Jeśli oczywiście w ogóle ktoś tam jest?

Uf, jak trudno się poruszać! Już od dłuższego czasu nigdzie nie chodził. Sapał i dyszał, przemieszczając się na krawędź swojego płaskowyżu. Ostrożnie, tylko ostrożnie!

Och, doprawdy, w dole, w tym płytkim wąwozie, porusza się kilka maleńkich kropek. Kierują się w stronę lasu.

Na twarzy Wamby pojawił się paskudny uśmiezek. Niech no tylko spróbują, czeka ich niezła niespodzianka!

Wzniósł przecież obronny mur, nikt się przez niego nie przedrze.

Mózg Leona - Wamby działał tak ospale, że potrafił się jedynie cieszyć ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, na jakie natkną się ci ludzie. Wcale nie myślał o tym, że powinien za wszelką cenę starać się utrzymać ich przy życiu, by odnaleźli dla niego ukrytą wioskę.

Ale dwie myśli naraz to było już zbyt wiele dla umysłu, który przez tyle lat pracował na jałowym biegu. Być może Leon powinien mieć bodaj przeczucie, że coś w jego sposobie myślenia się nie zgadza, ale w wielkim, odpychającym ciele, które, kołysząc się, wycofywało się od krawędzi, niewiele pozostało z Leona.

Las przy bliższym poznaniu okazał się straszny, wprost zatrważający. Żadne z nich nigdy wcześniej nie widziało takich drzew, wydawały się prastare, jak gdyby rosły tu od zawsze.

- Zaklęty las - mruknęła Sissi.

Gdy zatrzymali się w odległości dziesięciu, dwunastu metrów od najbliższego drzewa, Jordi powiedział cicho:

- W Ameryce Północnej jest las nazywany *the petrified forest*, skamieniały las. Przypomniał mi się teraz, chociaż wcale nie jest podobny. Bo w tamtym lesie pnie są szarobiałymi skamielinami, to drzewa, które naprawdę zmieniły się w kamień, gałęzie są nagie, jak ręce po amputacji wyciągają się do nieba. Tamte drzewa są bardziej rzeźbami, a ten las to coś zupełnie innego.

Niewątpliwie miał rację. Ten las był żywy, lecz w bardzo nieprzyjemny sposób. Białe pnie, które na pierwszy rzut oka wzięli za brzozy, były pokrzywione, powykręcane niczym w udreće. I miały miliardy wiecznie zielonych liści o ciemnej barwie, gładkich i jakby woskowanych, drobnych, lecz grubych.

Upłynęła dość długa chwila, nim zorientowali się, że nie są to wcale liście drzew, lecz jakichś dziwnych pnączy, porastających pnie jak pasożyty. Gałęzie drzew kończyły się ślepo, kompletnie pozbawione liści, były jakby obezwładnione, zaduszone.

- Widzieliśmy po drodze mnóstwo bluszczu - powiedziała w końcu Sissi oszołomiona widokiem. - Bluszcz żyje w symbiozie z drzewami i jakoś to funkcjonuje, ale to tutaj... ?

- Rośliny pasożytnicze najgorsze w swoim rodzaju - pokiwał głową Antonio. - Te drzewa nie mają żadnych szans.

- Wydaje się mimo wszystko, że nie są martwe - stwierdził Morten.

Stali, przyglądając się pnączom, które przez cały czas się poruszały, wspinały po pniach i gałęziach, wysuwały w powietrze, wibrując leciutko jak łby węży.

- Owszem, te drzewa żyją - zgodził się z nim Jordi; - Ale cierpią. Ach, Boże, jakże one cierpią!

Nagle Juana z krzykiem uskoczyła w bok. Zobaczyli, że długie pnącze pełźnie ku nim po ziemi.

- Jordi, czy ty przypadkiem nie masz dużego noża? - zawołał Miguel.

- Mam. Antonio też ma nóż.

- Dajcie mi ten większy - nakazał Miguel.

Z nożem Antonia podbiegł do najbliższego drzewa, starając się unikać pędów wijących się po ziemi i zwieszających z drzewa. Jordi pospieszył za nim. Miguel z ogromną precyzją ściał łodygę pnącza przy samym korzeniu. Opadło z sykiem, zwieszając zwiędłe liście przez gałąź drzewa.

- Cóż za prędką śmierć - zauważyła Unni.

Jordi był już przy następnym drzewie i ciał porastające je pnącze. Unni przestraszona zawołała: „Uważaj”, bo wijący się pęd zaatakował od góry, sięgając do szyi Jordiego, lecz na szczęście jemu udało się przedzej zadać cios. Również ta roślina zginęła z sykiem. Unni odetchnęła z ulgą.

- Doskonale się spisaliście, chłopcy, ale przecież mamy do czynienia z całym wielkim lasem. Macie zamiar ścinać go na akord?

Umilkła, bo z lasu dobiegł przenikliwy syk, jak gdyby zaszeleściły miliony liści.

Wydają takie dźwięki jak grzechotnik, pomyślała Unni. Dokładnie takie jak grzechotnik. A jeśli będą próbowały nas zaatakować?

Odruchowo się cofnęła.

- Musimy przejść przez ten las! - krzyknął Jordi z całych sił, bo szelest liści stał się teraz ogłuszający.

- Skąd wiesz?

- Widzisz ten wąski wąwóz po drugiej stronie? Unni musiała porządnie zadrzeć głowę, żeby zobaczyć, o czym mówi Jordi. Las zasłaniał widok, lecz ponad wierzchołkami drzew, tuż obok pojedynczej góry, ujrzała szczyty dwóch innych gór rozdzielonych wąską rozpadliną.

- Sądzisz, że to tam? - zawołała.

- A gdzieżby indziej?

Rzeczywiście, możliwości wyboru nie było zbyt wiele. Dolinę zamykały nagie górskie zbocza. Wprawdzie nie mogli zobaczyć wszystkiego, gdyż góra w znacznym stopniu przesłaniała im widok, wyglądało jednak na to, że innego wyjścia stąd nie ma.

- Spójrzcie! - zawołała Sissi. - Kolejne dwa drzewa są wolne, pnącza się poddają!

- One są ze sobą połączone - stwierdził Antonio z ulgą. - A jeśli cały ten las jest zaklęty i pnącza stanowią jedną wielką pajęczynę i teraz zginie każdy najmniejszy nawet pęd?

Sprawa jednak nie była aż tak prosta. Jeszcze cztery czy pięć drzew się oswobodziło, a potem nie działało się już nic.

- Musimy odnaleźć pierwotny korzeń - gorączkował się Jordi. - Ale jak do niego trafić?

- Czy nie możemy po prostu wyciąć drogi dla siebie? - zaproponował Morten.

- Nie mam ochoty zostawiać lasu, który cierpi - odparł Jordi.

Morten zacisnął zęby. Dlaczego zawsze innym przychodzą do głowy altruistyczne pomysły? To trochę tak jak z tymi dziećmi, które zobaczyły spadającą gwiazdę i postanowiły wypowiedzieć życzenie: „Czego sobie życzyłaś?” - spytał chłopiec. „Chciałabym dostać nową lalkę, konika i zostać królową balu, a ty?” „Zażyczyłem sobie, żeby był pokój na ziemi i żeby wszyscy ludzie żyli szczęśliwie” - odpowiedział chłopiec, na co rozgniewana dziewczynka zawołała: „Ty zawsze musisz wszystko zepsuć!”

Tak samo czuł się teraz Morten. Dlatego spytał nie bez złośliwości:

- A nie masz nawet odrobiny współczucia dla tych pnączy?

Jordi odparł spokojnie:

- One już przez wieśset lat pasożytowały na innych i dobrze im się żyło.

- Skąd o tym wiesz?

- Czuć mi tu czarami, Mortenie, i z całą pewnością nie jest to dzieło Urraki. Coś mi mówi, że musi się za tym kryć Wamba.

Rozmawiając, powoli zagłębiali się w las. Mężczyźni na przemian używali noży. Musieli przy tym zachowywać wielką ostrożność, ponieważ przez cały czas pędy i odrosty usiłowały ich dosięgnąć, owinąć się wokół czyjegoś ramienia albo szyi. Na wszelki wypadek więc pracowali dwójkami, by w razie niebezpieczeństwa druga osoba mogła uwolnić zaatakowaną.

Unni podeszła do jednego z uwolnionych drzew i pogładziła pień ręką.

- Bardzo chcielibyśmy ściągnąć z was wszystkie te zwiędłe pnącza, przewieszane przez wasze gałęzie - szepnęła. - Ale mamy tak mało czasu. Wybaczcie!

Wydało jej się, że w odpowiedzi czuje lekkie drżenie białego pnia. Zapewne jednak po prostu chciała je poczuć.

A wyżej ze swej groty we wnętrzu góry powoli wyłonił się Wamba i z wielkim wysiłkiem zaczął kołyszącym krokiem schodzić w dół zbocza. Chciał zobaczyć, jak jego las okrąża przekłętych intruzów.

Pomiędzy gęstymi ciemnozielonymi liśćmi na widniejącym przed nimi olbrzymim drzewie jaśniało coś czerwonego.

- Cóż to, na miłość boską, może być? - zdumiała się Juana.

Jordi ściął główną łądygę pnącza i na ziemię spadło całe mnóstwo pasożytniczych pędów. Prawdziwe drzewo ukazało się w całej swej okazałości.

- Owoce? - wykrzyknął Morten. - Naprawdę? A ja przecież jestem taki okropnie głodny!

- Stop! - rozległo się wołanie wielu głosów, gdy już chciał podbiec do drzewa. - Pamiętaj, że to zaklęty las i owoce mogą być trujące.

Morten zatrzymał się jak wryty.

- Kto spróbuje pierwszy? - spytał niepewnie.

- Dziękuję bardzo za propozycję, nie mam ochoty być twoim chłopcem do próbowania potraw - odparła ostro Unni. - Wiesz chyba, jaki był los przedstawicieli tej profesji w dawnych czasach? Ktoś taki musiał próbować wszystkich potraw, zanim zjadł je król czy też sułtan, i za każdym razem padał martwy!

- I cały czas był to jeden i ten sam człowiek? - próbował się z nią droczyć Antonio.

- Oczywiście. Ale mam lepszą propozycję - powiedziała Unni, zdejmując z szyi magicznego gryfa Asturii. - Jeśli wy, chłopcy, będziecie pilnować, żebym się nie potknęła i żeby nie zaatakowały mnie te złośliwe pełzające potwory, to mogę przetestować to jabłuszko czy co też to jest.

- Wygląda mi raczej na brzoskwinie.

- Doskonale. Tylko pamiętaj, Mortenie, jak się zje za dużo brzoskwiń, to można dostać niezłej biegunki.

Podeszła do drzewa osłaniana przez Jordiego, trzymającego w pogotowiu nóż. Podniosła gryfa do góry i przysunęła go do najbliższego wiszącego owocu. Czy była to brzoskwinia czy nie, nie wiedziała. Bacznie obserwowała amulet.

Nic się nie stało. Nie poczuła żadnego gorąca w dłoni, w której ścisnęła gryfa, jedynie spokój. Chłodny, bezpieczny spokój.

- Wszystko w porządku. Mortenie, możesz spróbować.

- Ty pierwsza.

- Tchórz! Dajcie mi owoc!

Pozostali też się zbliżyli i każdy sięgnął po swój owoc. Smakował naprawdę cudownie. Morten przez cały czas podejrzliwie obserwował innych i zdecydował się w końcu jako ostatni. Gdy tylko wbił zęby w miąższ, Unni odegrała przedstawienie. Złapała się za gardło i „umarła” w dramatyczny sposób. Morten wstrząśnięty wypuścił owoc, który trzymał w rękę, i prędko wypluł odgryziony kawałek.

- To smakuje mniej więcej jak persymona - stwierdziła Juana. - Nie jest to z pewnością ten sam owoc, ale bardzo smaczny.

Mortenowi zrobiło się okropnie nieprzyjemnie.

- Nie wolno ci tak robić, Unni - poskarżył się. - Za każdym razem doprowadzasz do tego, żebym się wygłupił.

- Sam potrafisz to doskonale. Unni pogłaskała drzewo.

- Dziękujemy ci, drzewo, twoje owoce to dla nas ocalenie od śmierci głodowej.

Wmówiła sobie, że usłyszała: „To ja wam dziękuję”, Unni bowiem nie brakowało fantazji.

- Możemy zerwać kilka owoców i zabrać je ze sobą? - spytała.

Zapewne uzyskali pozwolenie, gdyż drzewo nic nie powiedziało.

- To znacznie poprawiło naszą sytuację - stwierdził Antonio, gdy pakowali owoce do bagażu.

W tym czasie jednak pasożytnicze rośliny podpełzły bliżej. Wędrowcy mieli teraz tylko jedną drogę - powrotną.

- Cóż to za bestie? - westchnęła Sissi. - Gdybym również ja miała nóż, moglibyśmy posuwać się szybciej.

- My nie jesteśmy drzewami, durnie! - zawołała Unni do pełznących po ziemi, szukających ofiary pędów. - Nie jesteśmy pod żadnym względem smaczni, składamy się z samej skóry, kości i mnóstwa żółci. Psik! Uciekajcie! Uważajcie na Mortena, on dzisiaj nie mył nóg!

- Podobnie jak cała reszta - odparował Morten, uskakując z objęć drapieżnego pędu. - Chyba że w rzece. Pomocy! Zostawcie moje szlachetne odnóża!

Chociaż starał się żartować, w jego głosie dał się słyszeć strach.

Jordi zorientował się, że sytuacja staje się krytyczna.

- Te rośliny zaczynają rosnać coraz gęściej, jakby naprawdę się ocknęły. Musimy odnaleźć główny pień.

- Ale przecież się nie przedrzemy - stwierdziła wystraszona Juana. - Nie dotrzemy nawet do żadnego drzewa. Au! - uderzyła w pęd, który oplatał się wokół jej nogi. Miguel natychmiast znalazł się przy niej i obciął go, lecz nie na wiele się to zdało.

- Dziewczęta - powiedział Jordi. - Biegnijcie z powrotem do drzewa owocowego, tam raczej będziecie bezpieczne.

- A ja? - spytał Morten.

- Masz nóż?

- Nie. To znaczy tak, nożyk do masła.

- Wobec tego idź razem z dziewczętami, będziesz je bronić.

Antonio i Sissi mimo wszystko zostali z Jordim i Miguelem, by w razie potrzeby ich zastąpić, gdyby ręce zaczęły odmawiać im już posłuszeństwa. Rzucili się na gęstwiny, tnąc i siekąc na wszystkie strony.

- Czy ty masz jakiś pomysł, Miguelu? Sprawiasz wrażenie, jakbyś bardzo świadomie podążał do celu - powiedział Jordi.

- Góra - odparł Miguel. - Wygląda na to, że całe to paskudztwo rozprzestrzenia się właśnie od tej strony.

Jordi z początku się nie zorientował, lecz po pewnym czasie dostrzegł, w czym rzecz. Im bardziej zbliżali się do zbocza góry, tym gęściej rosły tu pasożytnicze rośliny. Za każdym razem, gdy udało im się oswobodzić jakieś drzewo, sytuacja przynajmniej na chwilę stawała się łatwiejsza, gdyż wówczas wędły również odnogi, pełzające po ziemi w pobliżu pnia. Nie obeszło się jednak bez ataków. Dobrze, że było ich czworo, bo dzięki temu mogli zmieniać się i ratować z uścisków szarżujących pędów.

Zauważyli w końcu, że chyba zbliżają się do jakiegoś ważnego miejsca. Łodygi czy też może raczej pnie pasożytniczych roślin grubością dorównywały pniom drzew i teraz bardzo trudno było się pomiędzy nimi przedrzeć.

Niestety, usłyszeli też krzyk Mortena wzywającego pomocy.

- Nie mamy na to czasu - stwierdził Antonio zgnębiony. Zlewał go pot i cały pokryty był zwiędłym liśćmi.

Ale Jordi zaniepokoił się o Unni.

- Weź nóż, Miguelu! Ja pobiegnę z powrotem. Zaraz tu do was wrócę.

Gdy jednak dotarł do drzewa owocowego, czekała go niespodzianka. Cała trójka, Morten, Unni i Juana, wspięli się na najniższe gałęzie i siedzieli tam teraz w spokoju, zajadając każde swój owoc.

Nie, wcale nie wołali! Owszem, słyszeli dochodzące z oddali głosy. Może i wołanie o pomoc, sądzili jednak, że to nawołuje się między sobą grupa Jordiego.

- To znaczy, że nie jesteśmy w tym lesie sami - powiedział Jordi w zamyśleniu. - Spróbujcie wdrapać się wyżej, tak żeby nikt was nie zauważył. Dotarliśmy już prawie do głównego korzenia.

- Ale przecież my im w ten sposób pomagamy - wtrącił się Morten. - Sprzątamy to zielsko i być może jeszcze zapewniamy jedzenie!



- Trudno, inaczej być nie może - odparł Jordi. - I tak już mamy dość kłopotu z próbami utrzymania się przy życiu.

Powiedziawszy to, puścił się biegiem.

Bardzo chciał zabrać ze sobą Unni, nie podobało mu się, że zostawia ją bez żadnej ochrony. Tam jednak, dokąd śam zmierzał, było jeszcze niebezpieczniej.

Musieli działać szybko, zanim ich prześladowcy odkryją drzewo o dziwnych owocach. I to w podwójnym rozumieniu tego określenia, bo wszak teraz na tym drzewie wisiały naprawdę niezwykle owoce.

Och, nie! Przypomniała mu się teraz jedna z najbardziej wstydliwych epok w dziejach ludzkości. Gorączka nienawiści rasowej w dziewiętnastym i dwudziestym wieku i gorzka pieśń „Strange fruits are hanging from the tree”\* [Strange fruits are hanging from the tree (ang.). - Dziwne owoce zwisają z drzewa (przyp. tłum. )]. Jordiego na wspomnienie zła tkwiącego w białym człowieku aż ścisnęło w żołądku.

A przecież miał dość problemów tu i teraz.

Miguel i Sissi cięli jak opętani, natomiast Antonio musiał zająć się własną zranioną ręką. Nie wyglądała najlepiej, to jeden z pędów niczym bat rozciął mu dłoń na całej szerokości.

Sissi nagle się zatrzymała.

- Zobacz, jaka ciemność przed nami - szepnęła do Miguela, który natychmiast przysunął się bliżej, żeby ją osłaniać.

Podniósł głowę. Nieco dalej w głąb wśród płataniny pasożytniczych roślin przy skalnej ścianie ujrzał olbrzymi gruby pień. Najprawdopodobniej nigdy nie zdołaliby go wyminąć.

- To on - oświadczył.

Wrócił Jordi i przekazał pozostałym, czego się dowiedział.

- Źle dla tych ludzi - stwierdził cierpko Antonio. - Jeśli rzeczywiście słyszeliśmy krzyk wzywający ratunku, to, doprawdy, mają z czym się zmagać. Ale co my zrobimy z tym? - spytał, wskazując na paskudztwo.

Rośliny atakowały teraz ze zdwojoną mocą. Sissi opędzała się od nich jak szalona, zadając ciosy na lewo i prawo.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł! - zawołała. - Masz tu chyba linę, Antonio, prawda?

- Nie, lina została nad rzeką.

- No tak, oczywiście, głupia jestem. Ale nietrudno o to w ogniu walki. Pomysł spalił na panewce. Ktoś ma jakiś inny?

Rozmawiając, nawet na chwilę nie przestawali ciąć.

- Gdybym tylko mógł stać się Tabrisem... - zaczął Miguel rozmarzonym tonem.

- Nie, już raczej wezwiemy Urracę - stwierdził Jordi. Oczy Miguela rozbłysły.

- O, tak, wezwijcie ją, wtedy na pewno stanę się Tabrisem!

- Och, nie, same niemądre pomysły! Szkoda, że nie mamy trochę dynamitu.

- Ależ mamy! - rozjaśniła się Sissi. - Hasse i Nisse stwierdzili, że ładunek wybuchowy może nam się przydać.

Przyjaciele ogromnie się przerazili.

- I ty wędrowałaś przez całą tę drogę z materiałem wybuchowym? Jeździłaś z nim samochodem?

- E tam, jest zabezpieczony. To specjalność Hassego. Mam go w plecaku.

Odpowiedzią na jej słowa było milczenie. Koniec końców jednak, w czasie gdy Miguel ciął i niszczył usiłujące ich zadusić rośliny, Sissi z największą oczywistością pod słońcem zamontowała niewielki ładunek wybuchowy wyjęty z prostokątnego pudełka, umieściła go w dziurze w ziemi, którą mężczyźni wykopali nożami pomiędzy korzeniami obrzydliwej rośliny, a potem wyjęła niewielkie urządzenie do zdalnego sterowania, na którego widok mężczyźni pobledli z przerażenia, uświadamiając sobie, że Sissi miała je przez cały czas przy sobie. A potem wszyscy rzucili się do ucieczki.

- Jak teraz nie wybuchnie, to będzie kompromitacja wszech czasów - stwierdził Antonio.

- Oczywiście - powiedziała Sissi. - Bo wtedy wrócimy tam, żeby się przekonać, dlaczego nie wybuchło, i dopiero wtedy łupnie.

Miguel nie odzywał się wcale. Tym razem nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

- Ale ten ładunek był maleńki - szepnął Jordi, jak gdyby coś nakazywało mu milczenie. - Pewnie tylko pstryknie.

- Hasę zna się na rzeczy. Jego ojciec jest inżynierem pirotechnikiem, a zainteresowanie Hassego tymi sprawami graniczy z piromanią. On chyba wie wszystko o materiałach wybuchowych... Och, nie, zabieraj te swoje wstrętne palce! Nie, nie, Miguelu, nie mówiłam do ciebie, tylko do tych obrzydliwych pnączy!

Chociaż powinni być na to przygotowani, to jednak mimo wszystko gwałtownie drgnęli, gdy Sissi uruchomiła zapalnik i ładunek wybuchł z ogłuszającym hukiem.

Stali odrobinę zbyt blisko i gwałtowny podmuch powietrza ich przewrócił. Leżąc, szeroko otwartymi oczyma patrzyli, jak olbrzymi korzeń unosi się nad ziemią, a potem, śmiertelnie zraniony, z powrotem opada. Więdące liście posypały się z góry na las i na ludzi niczym brudnobrunatny śnieg.

Sissi prędko odkopała się z zasy zwiędłych liści.

- Świetnie, prawda? - rozpromieniła się uszczęśliwiona.

- Fenomenalnie! - westchnął Antonio. - Nigdy nic podobnego nie widziałem.

W całym lesie, który w ciągu kilku sekund zmienił się z ciemnozielonego w brunatny i miejscami biały, tam gdzie ukazały się prawdziwe pnie, niósł się szelest.

Chwilę potem nadbiegła trójka przyjaciół.

- Co się stało? Jesteście ranni? - dopytywała się wystraszona Juana.

Miguel wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Ach, wy ludzie! Coraz to nowe niespodzianki. Doprawdy, ileż wy umiecie!

Był tak wzburzony, że nie zastanawiając się, porwał Sissi w objęcia, ale zaraz w poczuciu winy ją puścił.

- Cały zaszczyt za to, co się stało, przypada Sissi i jej przyjacielowi Hassemu - oznajmił Jordi. - Wybaczmy więc jej chyba, że przez tyle tygodni narażała nasze życie. No, ale teraz musimy się spieszyć. Nie jesteśmy sami w tym dotkniętym czarami lesie.

Jordi nie śmiał powiedzieć tego głośno, kiedy Miguel był w pobliżu, lecz zastanawiał się, czy przypadkiem Urraca nie przyłożyła ręki do cudownego pojawienia się owoców. Nie podejrzewał jej obecności w lesie, który zapewne z takiego czy innego powodu stanowił dla niej zagrożenie, lecz być może obserwowała rozwój wypadków z któregoś ze wzgórz otaczających dolinę i trzymała nad nimi swą magiczną opiekuńczą dłoń. Żadnej pewności jednak nie miał.

Jego chwila zadumy spowodowała zaledwie króciutką przerwę w rozmowie z przyjaciółmi.

- Czy ktoś ma pojęcie o kierunkach?

Morten z dumą wyciągnął mapę i kompas.

- Proszę, proszę - rzekł Antonio ze szczerym podziwem. - A więc każdy może się do czegoś przydać. Co byśmy poczęli bez ciebie, Mortenie?

- Byłoby wam cudownie - zachichotał chłopak.

- O, nie, bardzo by nam ciebie brakowało - zaprotestował z powagą Antonio, a wszyscy pozostali przychylni się do jego opinii.

Morten wyraźnie się wzruszył, bo nieswoim głosem zapytał:

- Idziemy?

Thore Andersen krzyczał:

- Ratunku! Niech ktoś nas stąd zabierze! To przecież czysty obłęd! Czyżby nikt nie miał przy sobie sekatora?

- Nie bądź idiotą! - syknął chudy mężczyzna, lecz i w jego głosie dała się słyszeć panika. - Co to może znaczyć? Te drzewa są przecież żywe!

- Nie - krzyknęła asystentka falsetem. - To wcale nie drzewa, to jakieś piekielne pnącza! Pomóżcie, uwolnijcie mnie!

Trójka nieznanomych weszła do lasu nieco bardziej z lewej strony niż ci, których ścigali. Nie zauważyli więc drogi utorowanej przez gęstwinę. Męczyli się okropnie, chociaż chudy miał nóż. Thore Andersen trzymał rewolwer, lecz do czego mógł strzelać? Tego rodzaju broń w tej sytuacji była do niczego niezdatna. Asystentka posługiwała się jedynie

własną wściekłością i rwała zdradzieckie pędy, lecz tak czy owak cała trójka była przestraszona do obłędu. Przeczuwali, że może się to skończyć tylko w jeden sposób, ale przecież do tego nie mogli dopuścić.

Nagle usłyszeli głuchy odgłos eksplozji, dochodzący gdzieś ze środka doliny. Niczego nie mogli pojąć.

Na pół przyduszeni z całych sił walczyli o życie i nagle... Koszmar zelżał.

Wtedy jednak oni leżeli już nieprzytomni na ziemi.

Emma, Alonzo, Kenny i Tommy, przepawiwszy się przez rzekę płynącą w dolinie, wspinali się na pasmo wzgórz, przemoczeni do suchej nitki i żli. Przepawa przez rzekę poszła im łatwo, no, stosunkowo łatwo, ponieważ ci, którzy podążali przed nimi, odkryli linę w wodzie i za jej pomocą przeszli na drugi brzeg.

Wprawdzie lina nie była napięta i przez to przepawie towarzyszyły okrzyki szalonego strachu, a ich palce zaciskały się na prowizorycznym moście, prawie drętwiejąc. Tamci jednak nic nie wiedzieli o Emmie i jej bandzie, niemalże deptającej im po piętach, pozostawili więc linę widoczną na obu brzegach.

Alonzo brawurowo rozpoczął przejście na drugą stronę rzeki, nie miał bowiem pojęcia, jak bardzo silny jest tu prąd. Woda zerwała mu spodnie i buty, on sam jednak zdołał się utrzymać i w końcu znalazł się po drugiej stronie. Reszta po jego doświadczeniach zachowała większą ostrożność i wspólnymi siłami zdołali naprężyć nieco linę. Przepawili się na drugi brzeg kompletnie przemoczeni. Emma na swoje szczęście nie mogła zobaczyć, jak wygląda. Jasne włosy zwieszały jej się w strąkach jak płaska zasłona, wyraźnie też było widać, że dawno już powinna była przeprowadzić kurację rozjaśniającą włosy, miała bowiem trzycentymetrowe czarne odrosty. Po ładnie zarysowanych kościach policzkowych spływał tusz do rzęs, malując na policzkach równoległe smugi.

Stanęli w końcu na szczycie, Alonzo w stanowczo zbyt krótkich zapasowych spodniach Tommy'ego, i zobaczyli rozpościerający się w dole piękny ciemnozielony las.

- No proszę, czeka nas miła chwila odpoczynku w zielonym gaju - stwierdziła Emma.  
- Wszystko jakoś się nam dobrze układa.

Gdy usłyszeli wybuch, niczego nie mogli pojąć. Z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami patrzyli tylko, co się dzieje z pięknym lasem.

Leon - Wamba wciąż jeszcze znajdował się wysoko na szczycie swojej góry, gdy ziemia pod nim się zatrzęsała i rozległ się potężny huk, który na moment go ogłuszył.

Przerażony usiadł tak jak stał, a wokół niego w powietrzu uniosła się ziemia, liście i kawałki drewna.

Co się wydarzyło w jego lesie? Czyżby bogowie się rozgniewali? Wamba nigdy wcześniej nie doświadczył żadnej eksplozji, lecz to, co pozostało w nim z Leona, wspominało coś podobnego. Wamba jednak nie potrafił się w tym wszystkim połapać.

Nagle otworzył oczy na tyle, na ile dało się to zrobić. Były one bowiem ledwie szparkami. Co się stało z jego lasem? Z jego twierdzą? Z jego czarodziejskim tworem? Od głównego pnia pnączy, który kiedyś tu umieścił, wśród ciemnej zieleni rozchodziły się coraz dalej i dalej, niczym kręgi na wodzie obszary więdnących liści. Piękne gładkie liście znikwały na jego oczach, fale zarazy zataczały coraz szersze kręgi, odsłaniając stare, pierwotnie rosnące w tym miejscu drzewa.

W piersi Wamby wezbrał niezłomny gniew, któremu stary czarnoksiężnik dał ujście w postaci potwornego wrzasku. Kto mógł mu to zrobić? Czyżby te siedem ludzkich robaków, których nadejście obserwował?

A może to przez tych trzech, którzy pojawili się później? Wiedział też, że do lasu zmierza jeszcze jedna czteroosobowa grupa. A przecież to las miał ich wszystkich pojmać, pochwyć i opleść dławiącymi pędami.

Kto ośmielił się mu sprzeciwić? Kto zniszczył tę część dzieła jego życia?

Urraca?

O, nie, z pewnością wyczułby jej obecność. Zresztą Urraca nie żyła już od wieluset lat.

Nie przyszło mu do głowy, że jego sytuacja przedstawia się podobnie. Wamba nie zdawał sobie sprawy, że żyje jakby za pośrednictwem Leona, że przeniknął w ciało i duszę tego łotra. Leon był w zasadzie jedynie skorupą, osłoną, a właściwie ostatnio nawet o tym trudno już było mówić, gdyż z każdym dniem coraz bardziej zmieniał się w Wambę. Z Leona pozostały właściwie jedynie pojawiające się od czasu do czasu wspomnienia, odzywający się momentami głos rozsądku i pewna znajomość współczesnych czasów. Nic poza tym.

Wamba był teraz wściekły. Ogarnął go również strach. Nie mógł pojąć, co się dzieje. Patrzył tylko, jak stare drzewa wyciągają się jakby w górę i oddychają z ulgą. Drzewa, które sadziła tu Urraca, by służyły pomocą przejeżdżającym tędy ludziom rycerzy. Wamba jednak przeżył ich wszystkich i wznosił tu swoją twierdzę, grootę, wysoko na szczycie góry i zniszczył las Urraki swymi wyrafinowanymi pasożytniczymi pnączami. To one stanowiły jego ochronę, a on mógł tylko siedzieć i czekać, aż nadejdzie ktoś, kto wskaże mu, gdzie jest ukryty wielki skarb. Miejsce to bowiem Urraca zaczarowała, zaklęciami ukryła prowadzącą do niego drogę.

Teraz coś zaczęło się dziać i nie było to wcale przyjemne. Jak to możliwe, że ktoś zdołał zniszczyć jego bastion i przywrócić do życia te przeklęte stare drzewa? Wamba ze złością i przerażeniem obserwował sytuację.

Nie widział natomiast, że po drodze, którą podążał Antonio z przyjaciółmi, drzewa nachylały się nad nimi, proponując owoce rozmaitego rodzaju, ludzie zaś dziękowali im za to i uzupełniali zapasy.

Na obranym przez nich szlaku drzewa i krzewy ustępowały im, odsuwały się na boki.

Dobrze, że tak było, zaczynało się już bowiem ściemniać. Upłynął cały dzień, trudny dzień dla wszystkich. Musieli przecież przebyć wąwóz, równinę, przeprowić się przez spienioną rzekę i pokonać las, który pragnął udusić całą siódemkę.

„Całą ósemkę” - poprawiła Unni, a przyjaciele po chwili zastanowienia przyznali jej rację. Rzeczywiście było ich ośmioro, chociaż ósmy uczestnik wyprawy miał zaledwie centymetr długości.

Syci, zadowoleni i pełni nowej otuchy szybkim krokiem podążali ścieżką, która się przed nimi otwierała.

Natomiast przed dwiema pozostałymi grupami drzewa ukrywały swoje owoce, nie wskazywały im też żadnej ścieżki.

To jak w baśni, rozmyślała Unni podczas marszu ku temu, co, ich zdaniem, powinno być właściwym wężem. „Dobrzy” pomagają komuś, kto znalazł się w potrzebie i w ramach wdzięczności również mogą liczyć na czyjąś pomoc. „Źli” natomiast napotykały przeszkody.

To prastary motyw. Najstarszy wariant tej baśni to chyba opowieść o niewolniku Androklesie, który wyciągnął lwu cierń z łapy, a gdy rzucono go na pożarcie dzikim zwierzętom w cyrku w Rzymie, lew go rozpoznał. Cesarz tak wzruszył się na widok obopólnej radości z powtórnego spotkania człowieka i zwierzęcia, że i jednemu, i drugiemu darował wolność. Inny bardzo znany przykład to norweska baśń o córce żony i drugiej córce.

Unni był zbyt przejęta tym, co się działo, żeby móc sobie przypomnieć tytuł baśni.

Ale to oczywiste, że gdy ma się do czynienia z czarami, to jest się częścią baśni, pomyślała.

Baśnie jednak na ogół dobrze się kończą. Na tę myśl ciężko zrobiło jej się na sercu, bo ich baśń nie mogła mieć szczęśliwego zakończenia.

Tymczasem pomimo tej świadomości nie przestają przeć naprzód, zamiast od razu się wycofać i jak najszybciej wrócić do domu.

Ale wtedy już na pewno zakończyłyby się to tragedią: Jordi i Morten umarliby jako pierwsi, potem Sissi, a na koniec Unni. Pozostawiliby przy tym dwoje niewinnych nienarodzonych jeszcze dzieci potwornemu losowi, skazując je na śmierć w dwudziestym piątym roku życia, a jeśli nie dwoje, to przynajmniej jedno z nich.

Rycerze zaś musieliby przez całą wieczność pędzić na swych zmęczonych wierzchowcach, ścigani przez czterech katów inkwizycji. Urracę i królewskie dzieci czekałby podobny los.

Ogarnięta przygnębieniem dreptała za przyjaciółmi. Czowała się już bardzo zmęczona. Nawet dowcipne uwagi zdawały się w niczym nie pomagać.

Zresztą nawet one chyba się już wyczerpały.

Na swoim posłaniu w ciemności leżała Zarena. Miała akurat chwilę przerwy w bardzo rozległych reperacjach.

Mistrz stał przy niej i przyglądał jej się uważnie, aż Zarena zaczęła się wic z pożądania.



- O, nie! - ryknął. - Nie zadowolisz mnie teraz! Twoje ciało przypomina lustro rozbite na tysiąc części. Dopiero jak je poskładasz z powrotem, to pobłogosławię cię swoją wspaniałością.

Zarena obróciła górną połowę ciała i wsparła się na rękach jak spragniona łupu, choć być może nieco wyczerpana tygrysyca.

- Pozwól mi więc wrócić na ziemię i zemścić się na tym zdrajcy Tabrisie!

- Na ziemi nie udało cię niczego osiągnąć. On postarał się znacznie lepiej. Jest już blisko celu.

- Ale przecież ukarałeś go, Mistrzu. Uczyniłeś z niego człowieka.

- Tylko na pewien czas. On się do nich nie przywiąże, zabije ich wszystkich, gdy już zdobędzie dla mnie Urracę.

- Po cóż ci Urraca, skoro masz mnie?

- Ciebie? Ty jesteś przecież jedynie zabawką, nic nie potrafisz. Jesteś warta mniej niż jej mały palec.

Wielki Mistrz odszedł. Fakt, iż całkiem ją zignorował, wprawił Zarenę w olbrzymią wściekłość.

- Tabris cię zdradzi, panie! - zawyła, próbując przywołać go z powrotem. - Już zdradził, przyłączając się do tych nędzników.

- Wróci - odparł spokojnie Mistrz. Zarena mogła tylko wzdychać z bezsilności.

Wamba siedział wciąż oszołomiony na zboczach, przyglądając się zniszczeniom, jakie poczyniono w jego lesie. Właściwie był to las Urraki, lecz on tak go nie nazywał.

W głowie mu się kręciło. Ocieężałymi ramionami opędzał się od owadów, które okazały się całkiem spore. To czterej kaci postanowili go odwiedzić.

Usiedli przed nim, a on patrzył na nich spode łba.

- Wspaniały, wielki, zły czarnoksiężniku - przypochebiali się. - My wiemy, kto zniszczył twój piękny las.

Wamba wiedział, że tych tutaj widział już wcześniej. To oni obudzili go do życia, a potem napuścili na niego jakiegoś szaleńca z mieczem.

- Czego chcecie? - mruknął niewyraźnie.

- Wielki, wspaniały, przebiegły czarnoksiężniku, twój czas już nadszedł. Ci głupcy, którzy mają odszukać twój szlachetny skarb, znajdują się teraz w lesie. Ześlij na nich grzmot i błyskawicę, o ty, niezwycięzony! My zaś będziemy cię wspierać, jeśli tylko zechciałbyś nam wyświadczyć małą przysługę.

Przekrzywili łyse głowy, patrząc na niego pochlebny wzrokiem.

- Uff - sapnął Wamba.

Potraktowali to jako zachętę. Ten, który przemawiał w ich imieniu, stwierdził błyskawicznie:

- Wystarczy jeden ruch twojej ręki, a przywrócisz nam naszych dziewięciu nieszczęsnych braci. To dla ciebie drobnostka.

Wamba wstał. Czterej mnisi odskoczyli.

- Gdzie są ci, którzy mają znaleźć dla mnie skarb? - ryknął i zaczął schodzić w dół.

- To bagatelka. Już mówiliśmy. Obiecaj nam powrót naszych braci, a wskażemy ci tych łotrów.

Wamba machnął potężnym ramieniem. Kaci uznali, że lepiej zniknąć.

Troje nieznanym nie spało już od dwóch dni. Leżeli teraz wycieńczeni atakiem pasożytniczych pędów i nie mogli dojść do siebie nawet na tyle, żeby usiąść. Stan nieprzytomności bez żadnych przeszkód nieuchronnie przeszedł w sen.

Na szczycie pasma wzgórz Emmę i jej trzech kawalerów tak wystraszył widok zmieniającego się lasu, iż czym prędzej biegiem wrócili na szczyt, postanawiając, że tam rozbiją obóz na noc. Wybrali dokładnie to samo miejsce, w którym jeszcze kilka godzin wcześniej odpoczywała ścigana przez nich grupa.

Pogoń więc na pewien czas ustała. O tym jednak nie wiedział ani Jordi, ani żaden z jego towarzyszy, wędrujących dalej.

- Antonio! - zawołała Unni, kiedy starali się odnaleźć drogę w zapadającym zmierzchu. - Przeoczyliśmy wejście do wąwozu!

Antonio się zatrzymał.

- Wiem, ale ścieżka prowadzi nas dalej.

- Dokąd? Przecież nie ma żadnego innego przejścia.

- Wydaje mi się, że powinniśmy słuchać wskazówek drzew - wtrącił Jordi.

Miguel oświadczył:

- Pobiegnę pod górę, przyjrę się temu wąwózowi.

- Dobrze.

Z niecierpliwością czekali na jego powrót. Nieobecność Miguela się przedłużała.

Jordi tonem lekkiej desperacji powiedział:

- Wiecie, zastanawiałem się nad tym, że chyba nie ma drugiej osoby do tego stopnia skazanej na śmierć co ja.

- O co ci chodzi? - spytał Morten. Jordi zaczął obliczać na palcach:

- To mnie pisane jest pozostanie w dolinie. Tabris planuje zabicie nas wszystkich, włącznie ze mną. A na dodatek mogę już za kilka tygodni umrzeć jako trzydziestolatek. W jaki sposób miałbym zdążyć dokonać tego wszystkiego? Zwłaszcza że już jestem uważany za bardziej umarłego niż żywego!

Chociaż mówił o sprawach bardzo poważnych, to jednak nikt nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Jordi także.

- Zatoszczymy się o to, żebyś mógł obchodzić trzydzieste urodziny, a potem następne - oświadczyła z mocą Sissi.

- Na nas też możesz liczyć - zawtórowali wszyscy inni. Oni również byli skazani na śmierć, chociaż nie w tak zadziwiającym stopniu jak Jordi. Miguel wreszcie wrócił.

- Musiałem iść dalej, niż liczyłem, żeby móc porządnie się rozejrzeć - wyjaśnił. - Wąwóz prowadzi donikąd. Jest ślepy.

- *Dead end* - stwierdziła Unni.

- Mówisz, że musiałeś iść daleko? - spytał Antonio.

- Tak, biegłem.

A z doświadczenie wiedzieli, że Miguel potrafi biegać niewiarygodnie szybko.

- Biegłeś wąwozem?

- Tak, daleko w głąb, kilka razy zakręcał.

- No cóż - wzruszył ramionami Jordi. - Drzewa wiedzą, co robią. Będziemy więc dalej iść ścieżką, którą nam wytyczają. Lecz jeśli ten wąwóz zakręca... to może w najlepszym razie oznaczać, że nasi prześladowcy dadzą się złapać w pułapkę i będą szukać tam.

- Miejmy nadzieję, że tak właśnie się stanie.

- No, cudowne dzieci inkwizycji z pewnością doniosą o wszystkim Emmie - przypomniała Sissi.

- Śmierć cudownym dzieciom - syknęła Unni przez zęby.

- A więc zdecydowane - oświadczył Antonio. - Idźmy dalej, zanim zrobi się całkiem ciemno.

- Czy nie zauważyliście czegoś dziwnego? - spytała w pewnej chwili Sissi. - Ścieżka się za nami zamyka.

Obejrzeliby się w tył.

- Doskonale - ucieszył się Antonio.

Unni zwróciła się do Jordiego szeptem, by Miguel jej przypadkiem nie usłyszał:

- Myślisz, że jest tu Urraca?

- Na pewno nie ma jej w pobliżu, ale z pewnością gdzieś tu krąży - odparł Jordi.

Przystanął, żeby poczekać na Miguela. Unni również się zatrzymała, lecz Jordi najwyraźniej nie chciał, by była świadkiem tej rozmowy, bo podszedł do Miguela. Unni, widząc to, ruszyła naprzód, lecz nie starała się dogonić przyjaciół.

- Mam do ciebie prośbę, Miguelu - powiedział Jordi. - Wiem, że twoim obowiązkiem jest zabić nas, gdy będzie już po wszystkim. Ale chciałbym cię prosić, żebyś oszczędził Unni.

Miguel nie odpowiedział.

Jordi mówił dalej, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Mój czas pod każdym względem dobiega końca. Ale ty otrzymałeś rozkaz zabicia tylko sześciu osób. Dziecko, którego spodziewa się Unni i z którym wiążemy tak wielkie nadzieje, nie podlega twojej umowie z Ciemnością. Pozwól Unni żyć tak, by dziecko mogło zobaczyć świat.

- Wciągasz mnie teraz w jakieś niezwykle skomplikowane konstelacje. Jak miałbym sobie z tym poradzić?

Jordi uniknął odpowiedzi, ponieważ przywołał go Antonio, i teraz Unni czekała na Miguela. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego, jakby pełnego wahania, szedł, ciągnąc nogę za nogą, jakby nie miał już dłużej ochoty być z nimi.

- Co się stało, Miguelu? Zerknął na nią z ukosa.

- Wiele różnych rzeczy - odparł krótko.

Unni czekała. Szli obok siebie, w pewnym oddaleniu od reszty.

- Unni, ty jesteś taka mądra...

Doprawdy, pomyślała. Postanowiła jednak mimo wszystko wystrzegać się jakichkolwiek głupich uwag.

- Co mam zrobić z Juana? - spytał.

- Czy ona ci dokucza?

- Nie, wcale nie, raczej wprost przeciwnie. I właśnie przez to jestem taki niespokojny.

Ach, przyjacielu, masz przed sobą daleką drogę!

- Nie chcę wcale jej zasmucać, ale tak jak jest, jest źle. Wszystko jest źle.

- Rzeczywiście można tak powiedzieć - odparła Unni, ale teraz ich słowa się mijały.

Mówili o zupełnie różnych rzeczach.

- Jordi nas wzywa! - zauważył nagle Miguel. - Najwyraźniej coś znaleźli.

Znaleźli? Tu, w tej dolinie, nie zapowiadało to niczego dobrego.

Wyglądało jednak na to, że obawy były nieuzasadnione. Ich towarzysze zatrzymali się przy gęstych krzakach, rosnących przy górskim zboczu, zamykającym dolinę.

- Tutaj ścieżka się kończy - oznajmił ucieszony Morten.

- Sissi wczołgała się pod krzaki i znalazła jaskinię. Możemy w niej spędzić noc.

- Świetnie! - powiedziała Unni. - Nikt nas nie zobaczy.

Miguel przenosił wzrok z Sissi na Mortena. Najwyraźniej uważał, że chłopak sam mógł sięczołgać, zamiast pozostawiać wszystko przyjaciółce. Mruknął jednak tylko:

- Kolejna jaskinia?

- Czyżbyś i ty nabawił się grotofobii? - zażartowała Unni.

- Nie, wprost przeciwnie - odparł Miguel. - Okazuje się, że ten kraj posiada niezwykle bogactwo systemów grot, z czego możemy się tylko cieszyć. To prawdziwe błogosławieństwo.

- To dzięki wapieniowi - zauważył rzeczowo Antonio. Ucieszeni ze znalezionej kryjówki, jedno po drugim pełzli na czworakach między krzakami, które zaraz się za nimi zamykały. Byli bezpieczni.

- Dziękujemy ci, lesie! - zawołała Unni. - Albo tobie, Urraco - dodała już ciszej.

Wejście do jaskini było o wiele wyższe, niż się tego spodziewali. A w samej grocie mogli poruszać się wyprostowani. Ale Unni nagle zatrzymała się jak wryta i usiłowała zawrócić.

- To nie jest dobre miejsce - oświadczyła prędko. Zatrzymał ją jednak Miguel, idący tuż za nią.

- Masz rację, ale dla nas nie jest niebezpieczne. Jordi, który już był w środku, odwrócił się i wyciągnął rękę.

- Chodź, Unni. Jakoś to wytrzymamy. Pozostała czwórka niczego nie zauważyła.

- Cóż za wspaniała jaskinia! - powiedział Morten z podziwem.

Grota była rzeczywiście wysoka i rozległa. W świetle kieszonkowej latarki dostrzegli ślady ludzi, którzy kiedyś już musieli tu nocować. Tu i ówdzie posadzka była pobrudzona sadzą, w kącie na stosiku odpadków leżały szczątki kości, taki śmietnik z epoki kamiennej.

Antonio podniósł z ziemi niedużą kostkę i przyjrzał się jej uważnie.

- W dolinie były kiedyś zwierzęta - skonstatował. - Lecz było to z pewnością, zanim Wamba zaczął dławić dolinę.

Unni szczykała zębami. Rzeczywiście w grocie panował chłód, lecz raczej nie dlatego skuliła się i ciaśniej owinęła kurtką. Trzymała się blisko Jordiego i nie chciała patrzeć na ściany. Tego jednak trudno było uniknąć, przecież otaczały ją ze wszystkich stron.

- Mogło się tu ukrywać wielu ludzi, i to z koźmi - stwierdził Antonio. - Ale nie będziemy rozpalać dziś wieczorem ogniska. Lepiej nie ściągać na siebie niczyjej uwagi.

Mieli kilka latarek i zapasowe baterie, ale postanowili używać tylko jednej, żeby oszczędzać światło. Nie wiedzieli przecież, co jeszcze ich czeka, i jak długo będą musieli pozostawać na pustkowiu.

- Wygląda na to, że nasi prześladowcy udali się na spoczynek - powiedziała Sissi.

- No cóż - zamyślił się Jordi, który umościł posłanie dla siebie i dla Unni pod jedną ze ścian na wolnym miejscu, za co dziewczyna była mu bardzo wdzięczna. Cieszyła się, że Jordi widzi to samo co ona. - Nie jestem tego wcale taki pewien, z zewnątrz dobiegają jakieś dźwięki.

- Co za dźwięki? - spytała wystraszona Juana.

- Nie wiem. Jakiś odległy ryk, powarkiwanie i jęki. Nasłuchiwali. Z początku panowała zupełna cisza, potem jednak rozległo się coś, co z powodu dużej odległości pozostało tylko nieartykułowanym dźwiękiem, lecz z tonu głosu można było wnioskować, że jest to chyba nieprzyjemne przekleństwo.

- Wydaje mi się, że odgłosy dochodzą z tej wysokiej góry, która wznosi się pośrodku doliny - stwierdził Miguel, obdarzony wyjątkowo dobrym słuchem.

- Czyżby Alonzo uwierzył w historie o skarbie ukrytym we wnętrzu góry i próbował się na nią wdrapać? - uśmiechnął się Jordi kącikiem ust.

- Nie - zaprotestował Miguel. - Ten głos jest zbyt mocny, niesie za daleko. Z pewnością nie należy do ludzkiej istoty.

- Masz na myśli trolla? - spytał Morten słabym głosem.

- Już raczej tak.

- Och, nie strasz nas!

- „Stwór może zabić”.

Wszystkim po plecach przeszedł dreszcz. Ile z tej baśni było prawdą?

- Jutro postaramy się to zbadać - zdecydował Antonio. - I spróbujemy się zorientować, gdzie może być wejście do ukrytej doliny. Czy wszyscy znaleźli już sobie miejsce do spania?

Owszem, lecz tak naprawdę tylko Antonio powoli zapadał w sen.

Unni kurczowo ścisnęła Jordiego za rękę, on więc nie miał najmniejszych szans na spanie. Przesunął w końcu ramię tak, by Unni mogła się do niego przytulić, a głowę oprzeć na

jego barku. Dopiero gdy poczuła oddech ukochanego na piersi i pulsowanie jego żyły na szyi na własnych wargach, trochę się uspokoiła.

- Dlaczego oni tu leżą, Jordi? - szepnęła nieszczęśliwa. - I tak strasznie dużo krwi!

- Przyjrzałem im się bliżej - odszepnął. Kiedy mówił, lekkie drgania jego skóry przenosiły się na jej twarz i Unni nareszcie mogła przymknąć oczy, ogarnięta szczęściem, że Jordi istnieje i żyje.

Tylu tu było umarłych.

- Jest ich ośmiu - powiedział Jordi cicho.

- Wiem o tym.

- Schronili się tu, chcieli się ukryć i poderżnięto im gardła we śnie.

- Ale nie pozostały po nich żadne szczątki.

- Prawdopodobnie zwłoki wyniesiono stąd i gdzieś ukryto. Ale zamordowano ich dokładnie tutaj.

- Są ubrani w proste stroje z piętnastego wieku. Chłopi albo rzemieślnicy, tak mi się przynajmniej wydaje. Naiwni, lojalni...

- O tym nic nam nie wiadomo.

- Ależ tak! Patrzą prosto na nas, Jordi! Po ich oczach można poznać, że niczego nie rozumieją. Nie mam siły dłużej tu być.

- Ciemno już. Nie pali się żadna latarka, w której blasku byłoby ich widać.

- Czy ciemność jest bezpieczniejsza?

Jordi przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie.

- Przestałam już lubić naszych przodków rycerzy - szepnęła Unni.

- Nie wiemy przecież, czy to oni. W każdym razie nie zrobili tego własnoręcznie.

- Marna pociecha. Miguel też ich widzi. Mam na myśli tych umarłych.

- Wiem. Zdolność jasnowidzenia to przekleństwo, Unni - Oczywiście, chociaż czasem potrafi być i błogosławieństwem.

- Ale nieczęsto. Postaraj się teraz zasnąć.

- To będzie trudne. Słyszysz? Jeszcze ktoś szepcze.

- Tak, ale na szczęście nie możemy się słyszeć.

- Sissi i Morten leżą na jednym z tych zabitych.

- Zauważyłem, ale nie chciałem nic mówić.

- Ja też. Jordi, bez względu na to, co się dalej stanie, to kocham cię.

- Twoje uczucie jest odwzajemnione, wiesz o tym.

- Dziękuję. Powiedz mi, co jest z tym Miguelem?

- Och, całe mnóstwo. To chodząca zagadka. Spij już, kochana Unni.

- Tak, ale w ostatnich dniach był jakiś bardzo poirytowany. A jednocześnie odnosił się do Juany z wielką życzliwością.

- Czy nie tego właśnie chciałaś?

- Nie wiem. Mam przeczucie, że coś tu jest nie tak. Ale dobrze, nie będę już więcej mówić. Dobranoc - Dobranoc, kochana.

Jordi, obejmując ją mocno, nasłuchiwał okropnych wrzasków, dobiegających spoza grotty. Teraz rozlegały się jeszcze bliżej.

Również inni nie mogli zasnąć.

Juana i Miguel, leżący w pewnym oddaleniu od siebie, kiedy latarka zgasła, a Antonio tuż obok zasnął, usie dli w końcu i szeptem prowadzili rozmowę. Sissi i Mor ten ułożyli się pod przeciwległą ścianą wielkiej grotty.

- Jak to jest? - spytał szeptem Miguel. - Czy ludzie, którzy połączyli się w pary, pozostają razem na całe życie?

- Nie, niestety, nie. Dawniej zdarzało się to znacznie częściej, lecz przede wszystkim dlatego, że kościół i prawo stanowiły, że tak ma być. Obecnie małżeństwo trwające do końca życia staje się coraz większą rzadkością.

- Dlaczego?

- Ludzie nudzą się sobie i ich drogi się rozchodzą w różne strony. Wielu zakochuje się w nowych osobach - Ale Unni i Jordi się nie rozstają?

- No właśnie. I powinni mieć szansę na przeżycie małżeństwa, które trwałoby całe życie.

- Powinni dostać szansę?

- Niestety, długie życie nie będzie im dane.

- No tak, to prawda.

Miguel przez chwilę milczał, najwyraźniej o czymś rozmyślał.

- A Sissi i Morten?

- Oni? Wydaje mi się, że nie mają nawet romansu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie spiąją ze sobą. Nie kochają się. Są po prostu przyjaciółmi. Przynajmniej na razie. Ale może tylko tak mi się wydaje.

- Myślisz, że coś między nimi będzie?

- Nic o tym nie wiem. Sądzę, że nie za bardzo do siebie pasują.

- A ty też nie znalazłaś sobie jeszcze mężczyzny. Unni tak powiedziała.



- Rzeczywiście. A dlaczego o to pytasz?

- Próbuję pojąć, jak to jest być człowiekiem.

- Rozumiem. Rzeczywiście musisz zaczynać od zera. Jesteś jak pierwszy neandertalczyk. Albo *picanthropus erectus* czy człowiek z Jawy. Nie wiem, co mówią najnowsze badania o tym, który z nich był pierwszy. Tak czy owak, wszystko jest dla ciebie nowe.

Juana zdawała sobie sprawę, że mówi bardzo prędko, ale tak bardzo się bała, że Miguel zechce przerwać tę rozmowę, a ona mogła przecież być przełomowa. Nie wolno jej przerywać.

- Tak - powiedział zamyślony. - A najtrudniejsze jest to, że nie mam żadnych środków do pomocy, że wszystkiego muszę dowiadywać się sam. Uważam, że wy, ludzie, naprawdę doskonale sobie radzicie.

- To trochę trwało, nim osiągnęliśmy ten stan. Miguel prychnął.

- Cóż znaczy kilka milionów lat?

- Jesteś starszy?

Po jego głosie poznawała, że siedzi ze spuszczoną głową.

- Nawet nie pytaj.

Ojej! Teraz sama coś przerwała. Bardzo niemądre z jej strony, że zadała takie pytanie. Gorączkowo usiłowała nawiązać wątek i w końcu pozwoliła sobie na zbytnią śmiałość:

- Ale teraz jesteś taki jak my. Nie widzisz, Miguelu, że ty i ja jesteśmy do siebie podobni?

- Nie. Ja nie jestem człowiekiem.

- Ależ tak, teraz nim jesteś. Bardzo bym chciała lepiej cię poznać, Miguelu. Pozostał nam do spędzenia ze sobą bardzo krótki czas. Przez całe swoje życie robiłam tak, jak kazali mi rodzice. Teraz chcę być wolna!

Nie odpowiedział.

A Juana w jeszcze większym podnieceniu ciągnęła:

- Nie mogę powiedzieć ci tego wyraźniej. Nie mogę. Miguel niespodziewanie się podniósł.

- Stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji, Juano. Odszedł i położył się w pewnym oddaleniu. Juana jednak uznała to za zwycięstwo. „Stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji”. On jest wspaniały, szlachetny! To prawdziwy dżentelmen. Nie mógł dłużej być blisko niej, jeśli miał ją chronić.

Szczęśliwa, z mocno bijącym sercem, ułożyła się do snu. „El amor brujo”. Miłość to czarodziejska moc.

Jakiż on wspaniały, ten jej Miguel!

Pod przeciwległą ścianą Morten, leżący za plecami Sissi, objął ją ramieniem. Dziewczyna życzliwie, lecz zdecydowanie je odsunęła.

- Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi - powiedział Morten odrobinę urażony.

- Właśnie dlatego, Mortenie - odparła Sissi, obracając się na plecy. - Jesteśmy przyjaciółmi i nigdy nie będziemy nikim więcej.

- Co ty znów opowiadasz? Wiem dobrze, że starasz się unikać takich intymnych sytuacji, ale sądziłem, iż to dlatego, że nie masz w tym względzie żadnego doświadczenia.

- Do diabła, dawno już tak nie jest! Ale dla nas dwojga to i tak bez znaczenia. Nigdzie nie znajdziemy.

- Myślałem, że jesteś we mnie zakochana. Sissi westchnęła.

- Rzeczywiście na początku mnie zafascynowałeś. Byłeś kimś nowym, kimś z miasta i kimś naprawdę zabawnym.

Nie przyznała się, że bardzo prędko się przekonała, iż jego opowieści o własnych dokonaniach są bardzo przesadzone. I że gdy spotkała braci Vargasów, to cała pożąta Mortena z niego opadła. Zamiast tego powiedziała:

- Wiesz, Mortenie, bardzo cię lubię i wiele bym dała, abyś pozostał moim przyjacielem, ale, ja się przy tobie nie rozpałam. A ty przy mnie, jak sądzę.

Morten na chwilę zaniemówił.

- Ja... Rzeczywiście, nie jesteś ani trochę w moim typie - powiedział prędko, wyraźnie urażony. W końcu jednak się uspokoił. Usiadł, śmiejąc się z pewnym zakłopotaniem. - Oczywiście, że pozostaniemy przyjaciółmi. Masz zupełną rację. Próbowaliśmy z wielkim wysiłkiem udawać miłość. Lepiej, że wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Sissi w duchu westchnęła z ulgą.

- Tak, to dobrze, Mortenie. Nagle zaburczało mu w brzuchu.

- Muszę wyjść.

- To rzeczywiście gwałtowna reakcja - odparła Sissi cierpko, podnosząc się i opierając na łokciu. - Ale ja cię ostrzegałam. Mówiłam, żebyś nie jadł tyłu owoców naraz.

- Przecież były takie pyszne. A ja czułem okropny głód. Zaraz wracam.

Nie spieszy się, pomyślała Sissi, kładąc się z powrotem. Leżała, wpatrując się w ciemność, dopóki nie usłyszała dochodzącego z doliny niezwykłego ryku.

Morten w pośpiechu wrócił do grotty.

- Do diabła, teraz to już było blisko!

- Co?

- Troll, oczywiście.

Sissi znów westchnęła. Cicho, z rezygnacją, nie bez współczucia. Biedny Morten. Ta wyprawa to nie dla niego.

Miguel naprawdę próbował spać i może nawet zdrzemnął się na chwilę. Nie mógłby przysiąc, że tak nie było.

Zdawał sobie jednak sprawę, że przechodzi poważny kryzys, i to nawet kryzys podwójny. Tymczasem nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać, nikt by go i tak nie zrozumiał. Nawet ta bystra, obdarzona jasnością widzenia Unni nie pojęłaby, z czym się zmagał.

Gorąco pragnął oderwać się od tej grupy, przez którą czuł się rozdarty na strzępy. Tęsknił za domem, chociaż wiedział, że nie ma domu i że nigdy go nie miał. Nigdy jeszcze nie zbliżył się do nikogo tak bardzo jak teraz, a ci, do których się zbliżył, byli tylko ludźmi. Jak więc mógł mieć z nimi coś wspólnego?

„Duch wolnej woli”. Przecież sam nie wiedział, czego tak naprawdę chce. Jak więc miałby próbować tak wpłynąć na innych, by robili to, czego pragnął?

Miguel znów usiadł. Gęste krzaki przesłaniające wejście do jaskini nie pozwalały mu się zorientować, jaka to może być pora nocy. Postanowił jednak trzymać straż, w dolinie bowiem coś krążyło. Coś albo ktoś, kto również nie mógł zaznać spokoju.

Ten ktoś czy to coś znajdowało się już teraz bardzo blisko nich. Miguel wychwytywał odgłosy węszenia, mogące świadczyć o tym, że wokół nich krąży zwierzę. To „zwierzę” jednak potrafiło formułować słowa, chociaż niezrozumiałe. Nieznana istota przez chwilę stała przy krzakach, potem usiłowała się przez nie przedrzeć i wpadła we wściekłość, ponieważ jej się to nie udało. Była bardzo niezgrabna, niezdarna, poruszała się wolno i z wysiłkiem. Miguel zastygł w bezruchu i miał jedynie gorącą nadzieję, że nikt z jego towarzyszy nie obudzi się nagle ani nie poruszy. Gdyby był Tabrisem, bez wahania wyszedłby, żeby się zmierzyć z tym potworem. No tak, to musiał być potwór. Nic innego nie wchodziło w grę.

Lecz Miguel nie był już Tabrisem. Jakie to przykre! Jakie gorzkie!

I znów poczuł wewnętrzne rozdarcie. Pragnął na powrót stać się Tabrisem, lecz nie chciał wracać do Ciemności. Zetknął się z czymś, czego nie zaznał nigdy wcześniej, z przyjaźnią. Z akceptacją swojej skomplikowanej natury. Ale przyjaźń z ludźmi? Przecież ich nie znosił!

Był jeszcze jeden problem, o którym nie chciał ani nie mógł dyskutować z nikim innym, nawet z Unni czy też z tymi życzliwie usposobionymi braćmi o silnym charakterze. A już z całą pewnością nie z Juana.

To oczywiste, że nie zrozumieliby tej walki, którą toczył na wielu frontach. Sam przecież jej nie rozumiał.

Podniósł głowę. Grota wydała mu się nagle jakaś nowa, jak gdyby w pewnym sensie oczyszczona, lecz nie potrafił powiedzieć, co tak naprawdę się zmieniło.

Na chwilę zapanowała cisza. Potworna istota jakby przynajmniej na jakiś czas się poddała. Może zasnęła?

Miguel nie widział teraz swoich towarzyszy, wiedział jednak, gdzie leżą.

Jordi to szczęściarz, że ma Unni. Szkoda, że dziewczyna nie jest wolna, lecz dla tego akurat Miguel miał wiele szacunku. Nie wolno tknąć cudzej kobiety. Nauczył się tego od Antonia.

O czym on myśli? Przecież nie mógłby tknąć żadnej z tych kobiet ludzkiego rodu.

Zresztą wcale tego nie chciał. Skąd się biorą te niemądre uczucia, których ani trochę nie może pojąć?

Jego myśli stale krążyły wokół tego samego. Miguel zasłonił uszy rękami, jak gdyby to mogło pomóc. Na twarzy pojawił mu się wyraz rozpacz. Zacisnął zęby.

Dlaczego nie mógł na powrót stać się Tabrisem? Tabris zabiłby ich wszystkich.

Daleko, w drugim krańcu doliny, troje nieznajomych spało ciężkim snem. Nie wiedzieli nic o Wambie, on bowiem tkwił przy tych, których upatrywał sobie jako przewodników, mających doprowadzić go do skarbu.

Nie miał jednak na tyle świetnego węchu, by odnaleźć ich samodzielnie. To kaci złożyli mu ponowną wizytę i donieśli, dokąd skierowała się ta duża grupa. Potem jednak grupa zniknęła i mnisi, chociaż szukali jej ze wszystkich sił, nie mogli nikogo odnaleźć.

Jak to można tłumaczyć? Nie mieli pojęcia. Nie domyślali się nawet, że grupa otrzymała nieoczekiwaną pomoc. Nie wiedzieli, że Unni nie mogła spać i że kiedy wszyscy już zasnęli, po cichutku wstała, a potem z sercem w gardle stanęła na środku pogrążonej w ciemności groty, pełna obaw, żeby przypadkiem na nikogo nie nastąpić, i wyciągnęła amulet Urraki, magicznego gryfa Asturii. Wydawał się bardzo lekki w ręku, Unni wiedziała jednak, że posiada on olbrzymią moc. Zostało to udowodnione już przy niejednej okazji.

„Urraco - prosiła - rozumiem już, dlaczego właśnie gryf Asturii otrzymał magiczną moc. Przecież właśnie tutaj, w tym starym dumnym królestwie, ukryte zostało samo sedno. I prawdopodobnie właśnie tutaj potrzebna nam będzie magia...”

Zaczekała chwilę, musiała znaleźć właściwe słowa. Gryf w jej ręce zaczynał się rozgrzewać. Ledwie odrobinę, lecz wyczuwała już różnicę pomiędzy jego temperaturą a temperaturą własnego ciała.

„Kochana Urraco, spraw, aby twój święty gryf pomógł tym ośmiu mężczyznom, którzy są tutaj i nie mogą zaznać spokoju. Spraw, by go odnaleźli”.

A wtedy ja będę mogła zasnąć, dodała w duchu z nadzieją, że Urraca nie odczyta jej myśli.

Gryf, czy też władająca nim Urraca, spełnił jej prośbę. Rozżarzył się tak, że Unni miała kłopoty z utrzymaniem go w dłoni, i zrobił swoje. Zamordowani odnaleźli spokój, ich zjawy na zawsze zniknęły. Nim jednak odeszły, Unni poczuła ich bliskość w postaci zimnego, lecz przyjaznego tchnienia wiatru. W podzięcie zapewniły jeszcze bezpieczeństwo ludziom, przebywającym w grocie, należącej dotychczas do nich. Ztroszczyły się o to, by kaci inkwizycji nie mogli tu wytropić swej zdobyczy.

Dlatego właśnie mnisi zdeorientowani krążyli po dolinie, nie mogąc znaleźć swoich ofiar. Dlatego właśnie Miguel wyczuł później, że grotą została w pewnym sensie oczyszczona.

Unni zasnęła. Spała, nie wypuszczając z ręki magicznego gryfa. Przyśniły jej się dziwaczne sny, z których większość zapomniała.

Jeden sen natomiast wrył jej się w pamięć. Sen o pięknej kobiecie ubranej w czerń i złoto, która nagle stanęła przed nią i zaczęła mówić coś w jakimś prastarym języku, niezrozumiałym dla Unni.

Urraca jednak, gdyż z pewnością była to ona, również na coś wskazała. Wyciągnęła rękę w prawą stronę, nieco za siebie, przenikliwie wpatrując się w Unni, która mogła jedynie skinąć głową na znak, że rozumie, choć absolutnie nie było to zgodne z prawdą.

Zaraz potem obraz senny się rozwiął, a Unni spała dalej.

Miguel stał nad Antoniem.

- Najwyższy czas się obudzić. Poranne światło robi co może, żeby się tu wdrzeć. Musimy iść dalej.

W ciągu kilku sekund obudzili się wszyscy. Akurat w tym nabrali już pewnej rutyny.

- Aritonio, wczoraj wieczorem powiedziałeś coś inteligentnego? O co chodziło? - pytała Unni. - Mieliśmy dzisiaj rano zająć się dwiema rzeczami, powtórzysz to mojemu ociężałemu mózgowi? Nie jestem w stanie myśleć przed umyciem zębów.

Antonio, który zwijał swoje koce, uśmiechnął się. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo zorientował się, że Jordiego i Miguela coś ogromnie zdziwiło.

- Co się stało, chłopcy?

- Co? Co? - odparł Jordi zmieszany. - Nie, nic, nie możemy wam o tym powiedzieć. Ale wygląda mi na to, że dokonał się tu jakiś cud.

- To prawda - powiedział Miguel. - Jak to się mogło stać?

- No, teraz to już musicie się wytłumaczyć - oświadczyła Sissi.

- Dobrze, niech wam będzie. I tak mamy zamiar opuścić zaraz tę grootę, więc chyba nie zaszkodzi, jeśli się wam do czegoś przyznamy - powiedział Jordi. - Mieliśmy tu towarzystwo wczoraj wieczorem i również w nocy, jak przypuszczam. Towarzystwo ośmiu zabitych ludzi z czasów rycerzy. Unni, Miguel i ja widzieliśmy ich.

- Co takiego? - wybałuszył oczy Morten. - I nic nam nie powiedzieliście?

- Przecież musieliśmy tutaj nocować. Jaskinia była dla nas ratunkiem.

- I wszędzie pełno było krwi - dodała Unni sadystycznie, patrząc na Mortena.

- Gdzie oni leżeli? - dopytywał się chłopak, udając że jej nie słyszy.

- Trochę tu, trochę tam - odparł Jordi wymijająco. - Ale teraz już ich nie ma. Zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Unni, masz taką tajemniczą minę, czyżbyś coś wiedziała?

Unni opowiedziała o gryfie i o swojej prośbie skierowanej do Urraki, a także o tym, jak owych ośmiu mężczyzn postanowiło w ramach wdzięczności za oswobodzenie zatroszczyć się, by mnisi nie mogli odnaleźć grupy.

- Cudownie! - rozjaśniła się Juana. - Jak to miło z ich strony!

- No tak, to prawda - zgodził się Antonio. - Ale teraz musimy ruszać dalej. Posilcie się trochę owocami...

- O, nie, dziękuję! - natychmiast zaprotestował Morten. - A poza wszystkim chciałem wam oznajmić, że Sissi i ja nie jesteśmy już parą. Ona mnie rzuciła.

Sissi poczerwieniała na twarzy.

- Parą nigdy nie byliśmy. I nie mów o żadnym rzuceniu. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi na świecie i nigdy nie byliśmy niczym więcej.

Ależ owszem, matką i sprawiającym kłopoty synem, pomyślała Unni.

- Ja tylko żartowałem - próbował łagodzić Morten.

- Kiepski żart - zauważyła Unni. - Ale od dawna już na niego czekaliśmy. Absolutnie nie jesteście w swoim typie.

Morten przyjął to na swój własny sposób.

- No właśnie. Nigdy nie zwracam uwagi na takie dziewczyny jak Sissi.

- Nigdy dotychczas nie spotkałeś nikogo takiego jak Sissi - cierpko zauważył Antonio.

- Bo Sissi jest tylko jedna.

Miguel bacznie ich obserwował. Przenosił wzrok od Sissi do Antonia. Oto kolejny raz był świadkiem wybuchu uczuć, z którego nic nie mógł pojąć.

Juana stała z tyłu i nie przestawała się dziwić. Nie mogła pojąć, jak Sissi mogła odejść od Mortena. Przecież on jest taki miły i bardzo przystojny. Właściwie trochę go szkoda. Wszyscy na niego naskakiwali, przede wszystkim Antonio okazywał mu swoje zniecierpliwienie. Unni się z nim droczyła, lecz akurat jej Morten potrafił się odciąć, co sprawiało mu wyraźną przyjemność.

Sissi oczywiście jest silniejsza od Mortena, stąd więc widać ten brak równowagi, pomyślała Juana. Sissi jest śliczna, silna i odważna, czasami może nawet nieco przytłaczająca. I wcale nie zareagowała na pojawienie się Tabrisa, ani trochę się go nie przestraszyła!

Juana, chociaż bardzo lubiła Sissi i obie odnosiły się do siebie bardzo przyjaźnie, stwierdziła teraz, że powinna chyba przeprowadzić poważną rozmowę z młodą Szwedką.

Przecież takim zachowaniem nie zdobędzie się serca żadnego mężczyzny. Mężczyzny nigdy nie wolno w niczym przewyższać, a tak właśnie się stało w relacjach Sissi z Mortenem. Nic dziwnego, że czasami chodził z kwaśną miną i pokazywał kolce. Najwyraźniej cierpi na kompleks niższości. Chyba muszę coś zrobić, żeby przywrócić mu odrobinę męskiej dumy, mówiła do siebie w duchu Juana.

Trzeba jednak być ostrożną, tak żeby Miguel się w niczym nie zorientował. Może wszystko źle zrozumieć i jeszcze będzie mu przykro.



Posłała Mortenowi życzliwy, wyrozumiały uśmiech, lecz chłopak odczytał go jako drwinę. Kolejny ciepły uśmiech posłała Miguelowi, ten jednak był zbyt zajęty rozmową z Antoniem i Jordim, jego spojrzenie tylko ją omiotło, jak gdyby jej twarz była nieciekawą stroną w gazecie. Najwidoczniej jednak nie chciał z niczym się zdradzić przy tamtych dwóch.

- No, musimy ruszać dalej - stwierdził Antonio. - Miguelu, zechcesz sprawdzić, czy droga wolna?

To wyrażenie musiał wytłumaczyć mu dokładniej. W końcu jednak Miguel stwierdził, że rozumie, i spełnił prośbę. Noc, a przynajmniej jej początek, była przecież bardzo niespokojna, z zewnątrz dobiegało dziwne burczenie i sapanie. Ktoś bez powodzenia usiłował przedrzeć się przez krzaki i strasznie się zdenerwował, że nie jest w stanie tego zrobić.

W dodatku nikt nie wiedział, jak daleko zdołały zawędrować dwie pozostałe grupy. Od dawna już nie mieli żadnych wieści od bandy Emmy ani też od trojga nieznajomych. Ci ludzie mogli być wszędzie.

Miguel jak wąż prześlizgnął się przez zarośla. Prędko powrócił, kompletnie zdezorientowany.

- Nie mam pojęcia, co to za potwór, ale on tam ciągle jest. Jordi, pójdziesz ze mną, żeby go zobaczyć? Tylko musisz być ostrożny!

- Nikt tak nie potrafi wtopić się w otoczenie jak Jordi - powiedziała Unni.

- Czy to był ten troll? - dopytywał się Morten. Miguel odwrócił się w wejściu do jaskini.

- Chyba rzeczywiście można tak powiedzieć.

- Ratunku! - westchnął Morten.

Reakcja Jordiego była podobna, kiedy wyrzwał spoza gałęzi, prześlizgnąwszy się na brzuchu przez zarośla.

- Ach, nie! - mruknął bliski rozpaczy.

Potworna istota siedziała oparta o kamień przed grotą, pogrążona w półśnie, bo ciężka, wstrętna głowa opadła jej na piersi. Potwór ubrany był w szczeciniastą, na pół zjedzoną przez robactwo skórę i chociaż Jordi nie miał pojęcia, czym mógł się odżywiać ten stwór, to był on równie ciężki i gruby jak ostatnio.

Zachowując wszelką ostrożność, wycofali się i powrócili do groty. Czekali tu na nich pytające spojrzenia.

- Wamba - oznajmił krótko Jordi.

- Ale czy ty mu nie odrąbałaś głowy? - zdziwiła się Juana.

- Wcielił się w Leona. Przejął jego ciało. Po Leonie nie zostało już ani śladu.

- Jak długo on tam zamierza siedzieć? - spytał Morten.

- Może siedzieć do sądnego dnia. Ja nie mam zamiaru wychodzić i znów z nim walczyć. Nigdy w życiu!

To akurat wszyscy rozumieli doskonale.

- Czy nie dałoby rady przekraść się jakoś bokiem i go wyminąć? - spytała Sissi.

- Nie ma na to szans. Siedzi za blisko. Unni w geście bezradności rozłożyła ręce.

- No to jak, na miłość boską, mamy wyjść stąd i iść dalej w prawo?

- A ty skąd wiesz, że mamy iść w prawo? - zdziwił się Antonio.

- Przecież Urraca tak powiedziała.

- Urraca? Rozmawiałaś z Urracą?

- Ojej, nie, rzeczywiście, to był tylko sen. Zapomnijcie o tym.

Jordi jednak zdecydowanie chwycił Unni za kołnierzyk kurtki.

- Co powiedziała Urraca? To ważne. Chyba rozumiesz.

- No tak - odparła Unni onieśmielona. - Pojawiła się dlatego, że we śnie trzymałam w ręku gryfa Asturii. A prawdę mówiąc, to nie rozumiałam, co ona mówiła, bo posługiwała się jakimś nieznanym mi językiem.

- Starohiszpańskim. Poza tym Urraca pochodziła właśnie stąd, z północy Hiszpanii, a tu jest wiele różnych języków i dialektów. Może przypomnisz sobie jakieś słowa?

- Wiem, że coś mi pokazywała. Na prawo. Wyciągnęła rękę i pokazała, przez cały czas intensywnie się we mnie wpatrując.

Jordi puścił jej kołnierzyk Chyba sam nie zauważył, jak mocno go ścisnął.

- Czy w tym śnie znajdowałyście się gdzieś poza grota?

Unni zmieszła się.

- Tego... nie... wiem.

Zaraz jednak oprzytomniała.

- Nie, byliśmy tu, w środku. Widziałam skalne ściany.

- A słowa, Unni, jak one brzmiały? Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie pamiętam. Coś jak „lota”, „kalfatar”. Ale nie, to chyba nie to.

- Gdzie ona stała? Pokaż dokładnie.

Unni czuła się nieszczęśliwa. Wszyscy się na nią patrzyli, oczekując inteligentnej odpowiedzi dotyczącej snu! Zamknęła oczy i spróbowała się skupić.

- Widziałam wejście do groty. Tak, tak właśnie było. Kątem lewego oka. A Urraca stała dokładnie naprzeciwko mnie.

- To znaczy, że wskazywała na wyjście z groty?

- Och, nie, wcale nie! Zaczekajcie! Może mogłabym to jakoś odtworzyć.

Unni zaczęła chodzić w kółko po wielkiej jaskini. W końcu stanęła mniej więcej pośrodku.

- Stałam tutaj. Sissi, czy mogłabyś być Urracą? Jesteś wprawdzie bardzo jasną blondynką, ale... O tak, właśnie tak! Odsuń się kawalek! A teraz wyciągnij prawą rękę, bardziej do tyłu. Teraz!

Jordi natychmiast wychwycił kierunek.

- Ona nie wskazywała na wyjście z jaskini. Ale to może oznaczać jakieś miejsce głębiej w dolinie.

Juana wyraźnie się nad czymś zastanawiała.

- Unni, czy słowo „lota” może mieć jakiś związek z kamienną płytą? *Losa*?

- Możliwe, we śnie przecież tak marnie słychać. I było jeszcze „kalfatar”.

- Czy to mogło być *apartar*? „Odsuwać w bok”? Unni zastanowiła się.

- Bardzo możliwe.

Jordi już obmacywał ściany. Przyłączył się do niego Miguel.

- Spójrz tutaj! - powiedział nagle. - Tuż nad podłogą. Tam jest jakaś szczelina. A pod nią jakieś drobne kamienie.

Jordi obmacał brzegi.

- Część ściany to płyta i być może da się ją przesunąć po tych kamieniach, jeśli...  
Chodźcie, chłopcy!

Sissi najwyraźniej sama się do nich zaliczała. Unni nie chciała się zanadto wysilać z uwagi na dziecko, za to Juana dość niezdarnie stanęła przy Miguelu. Stwierdziła jednak, że tylko przeszkadza, i w końcu się poddała.

Gdy wreszcie udało im się ustalić, w którą stronę należy pchać płytę, rozległ się zgrzytliwy głuchy odgłos, a przed nimi z wolna otworzył się korytarz. Dostatecznie wysoki, by do środka dało się wprowadzić konie.

- Juano, jesteś genialna!

- Wiem, wiem - roześmiała się. - Ale moim zdaniem wszyscy mamy w tym swój udział.

- Oczywiście - przytaknęła jej Unni. - A najmilej ze wszystkiego jest to, że nie musimy wychodzić do trolla!

Stali w oślepiającej ciemności.

Zrobili, co mogli, żeby popchnąć kamienną płytę z powrotem na miejsce, by uniknąć prześladowców, lecz od środka nie było to łatwe, więc mieli pewne obawy, czy im się to udało.

Teraz trzeba było zapalić kilka latarek naraz. Ich światło rozjaśniło zdumiewający naturalny korytarz, wyłobiony przez wodę w wapiennej skale przed milionami lat. Nigdzie nie dostrzegli nic, co mogłoby stanowić przeszkodę dla koni, najwyraźniej przez cały czas można było iść w pozycji wyprostowanej, przynajmniej tak daleko, jak teraz widzieli.

- Unni - rzekł Antonio z powagą. - Jak to właściwie było z tymi twoimi wizjami, gdy towarzyszyłaś rycerzom i Urrace w ich dramatycznej podróży, kiedy wieźli swych najdroższych do ukrytej wioski? Nie wspominałaś wtedy o żadnych korytarzach w skale, a przecież tutaj musieliśmy pokonać wiele, i to długich!

- „Drogą rycerzy nie można podążać” - przypomniał Jordi, który zawsze i wszędzie gotów był bronić Unni. - Być może oni jechali inną drogą niż ci, którzy wieźli skarb.

Unni usiłowała przypomnieć sobie tamte koszmarne wizje.

- Nie, wtedy chodziło o długą podróż rycerzy z miasta Leon. To tamtą drogą nie można podążać. Nie, nie pamiętam żadnych korytarzy w skale. Przypomina mi się jedynie, że księżyc od czasu do czasu znikał, wtedy robiło się ciemno, a odgłos kopyt uderzających o podłoże brzmiał jakoś głucho. Nie wiązałam tego z żadnymi grotami, ale tak musiało być, zwłaszcza pod koniec.

- Aha. W każdym razie znów jesteśmy w grocie. Miejmy nadzieję, że nie jest to jedna z tych wypełnionych wodą jaskiń, na których punkcie szaleją spragnieni przygód grotolazi.

- Nie, nie, my nie mamy czasu na żadne szaleństwa. Nie przypuszczam jednak, żeby zmuszali konie do brnięcia przez wodę.

- Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak iść dalej i przekonać się, dokąd prowadzi ten korytarz. Wygląda przynajmniej na to, że wiedzie w górę.

Ruszyli. W miarę upływu czasu marsz pod górę stał się bardzo męczący i tu, w tym zamkniętym skalnym korytarzu, zaczęło brakować im tchu. Kiedy więc Juana oznajmiła: „Kamień wpadł mi do buta”, Jordi zaproponował chwilę odpoczynku. Usiedli pod ścianą, a Jordi rozdzielił po kawałku chleba. Spożywanie samych owoców przynajmniej dla niektórych stało się zbyt jednostajne.

- Miejmy nadzieję, że woda płynęła tędy dawno temu - powiedział Morten. - Pomyślcie tylko, co by było, gdyby teraz nastąpił potop?

- Rzeczywiście - roześmiał się Antonio. - Gdyby nadciągnęła wielka woda, porwałaby nas i zaniósła z powrotem do tej kamiennej płyty.

- Rozwaliłaby ją i cisnęła do jaskini - dokończyła Unni. - A tak w ogóle to zgaście latarki. Jeść możemy przecież po ciemku.

Otoczyła ich atramentowa ciemność. Unni przysunęła się do Jordiego. Nigdy przecież nie wiadomo, jakie zbłąkane dusze mogą się pojawić w tych dotkniętych nieszczęściem korytarzach.

- A propos prawdziwego potopu - odezwała się Sissi. - Podobno w związku z nim dokonano nowych, bardzo interesujących odkryć. Ale o tym możemy porozmawiać kiedy indziej.

- Nie, nie - powiedział Jordi. - Od całych tygodni i miesięcy koncentrujemy się na tej jednej jedynej sprawie. Przyda nam się krótka chwila wytchnienia, niech nasze mózgi choć na trochę zajmą się czymś innym. Opowiadaj, Sissi!

- Wiecie chyba, że w różnych religiach istnieje mit o wielkim potopie, który zalał całą ziemię, to znaczy tę część ziemi, która znana była danemu ludowi. W Biblii jest mowa o Noem i jego arce, w babilońskim eposie o Gilgameszu występuje Utnapisztim, odpowiednik Noego, tyle że w imieniu ma więcej liter i pojawia się już na tysiące lat przed Chrystusem. W mitologiach i religiach innych ludów są podobne opowieści. W każdym razie naukowcom udało się znaleźć ostatnio coś bardzo interesującego. Basen Morza Śródziemnego był kiedyś zupełnie suchy, to jeszcze dawniejsze dzieje. W końcu jednak Atlantyk przedarł się przez Gibraltar, który oczywiście był wtedy połączony z Afryką. Powstał największy w historii świata wodospad, o wiele, wiele wyższy i szerszy niż Niagara. Woda płynęła nim przez około pięć tysięcy lat, aż w końcu utworzyło się Morze Śródziemne. Morze Czarne było w tamtych czasach zaledwie małym jeziorkiem wielkości zwyczajnego stawu, w końcu jednak Morze Śródziemne przelało się z kolei przez Bosfor i w przerażająco krótkim czasie zalany został cały olbrzymi obszar, będący dzisiaj Morzem Czarnym.

- Jak im się to udało stwierdzić? - spytał Jordi, gdy Sissi zakończyła swoją opowieść i na chwilę zapanowało milczenie. Było to jednak przyjemne milczenie. Dawało się w nim wychwycić więzy, które ich łączyły. Stanowiło chwilę wytchnienia po wszystkich ciężkich próbach, przez które musieli przejść wspólnie. Sissi odpowiedziała:

- Do odkrycia przyczyniła się nowoczesna technika, sondy głębinowe. Słynny kapitan Ballard, ten, któremu wśród innych licznych dokonań udało się zlokalizować „Titanica”, brał

udział w tych poszukiwaniach. Stwierdzono, że na dnie Morza Śródziemnego leży kilometrowej grubości warstwa soli i dlatego woda w nim jest taka słona. A potem spuszczone się do Morza Czarnego w okolicach jego południowych wybrzeży na głębokość czterystu metrów.

- Jak tam zeszli? - spytała Juana.

- Najpierw zastosowali magnetograf czy sonar magnetyczny, nie pamiętam, jak to się nazywa, potem echosondę. Następnie posłali na dół miniaturowe łodzie podwodne z kamerami wideo. Na dnie tego morza wewnątrz ładu znaleziono ślady osadnictwa wzdłuż całego wybrzeża i sięgające daleko w głąb morza. Nie zbadano jeszcze całego Morza Czarnego, ono jest przecież wielkie. Ma taką powierzchnię jak prawie cała Finlandia. I właśnie to przelanie się Morza Śródziemnego przez Bosfor, w wyniku czego powstało Morze Czarne, było biblijnym potopem. Nikt nie zdążył przed nim uciec.

- Prawdziwa kara za grzechy - stwierdził Morten.

- Tak. Zginął cały lud, zalane zostały bardzo żyzne ziemie. Zresztą góra Ararat leży całkiem niedaleko stamtąd. A w Biblii przecież nie jest powiedziane, skąd pochodził Noe.

- Mój ty świecie! - westchnęła Juana. - To dopiero historia!

- Skąd ty to wszystko wiesz, Sissi? - dopytywał się Miguel.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego trochę niepewnie.

- Widziałam w telewizji, w domu, na którymś z kanałów przyrodniczych. Discovery, National Geografie czy jakiś Travel. Nie pamiętam już, na którym.

W głosie Unni zabrzmiała nostalgia.

- W domu... telewizor... Jak to strasznie daleko! Zapadła cisza. Nagle poczuli, jak bardzo oddalili się od współczesności.

Unni westchnęła drżąco. Oczy jej błyszczały.

- Tak bardzo was wszystkich lubię - powiedziała nieswoim głosem. - Nigdy nie miałam lepszych przyjaciół od was.

- Tak samo jak ja - zawtórowała jej Juana. - Wydaje mi się, że to taka przyjaźń, która przetrwa całe życie.

- Z całą pewnością - syknął Antonio przez zęby. - Zwłaszcza jeśli to Tabris będzie o tym decydował.

Po chwili milczącego napięcia odezwał się Jordi.

- Na razie jednak dobrze jest nam razem. Sissi, jak to możliwe, żeby takie stare ślady osadnictwa się zachowały?

- Tak samo jak w Morzu Bałtyckim. Nie dochodzi tam tlen.

- Teraz ja muszę coś powiedzieć - oświadczył Morten. - Czytałem niedawno, że Arka Przymierza, mam na myśli nie tę menażerię Noego, tylko arkę, w której przechowywane są Mojżeszowe tablice z przykazaniami, wciąż istnieje.

- Naprawdę? - zdziwiła się Unni. - To dlaczego jeszcze jej nie pokazali?

- Bo nikt nie może się do niej zbliżyć. Arka znajduje się w Aksum, w niewielkiej wiosce w Etiopii. Wiecie, królowa Saby, która, jak się przypuszcza, pochodziła z Etiopii, przybyła w dziesiątym wieku przed Chrystusem do króla Salomona do Jerozolimy. Po powrocie do domu urodziła syna, Menelika. Pierwszego z rodu, który władał Etiopią przez trzy tysiące lat. Menelik jako nastolatek został wysłany na dwór swego ojca, króla Salomona. Ale nie ułożyło mu się tam najlepiej. W grę wchodziła zazdrość i podobne rzeczy. Odesłano go więc z powrotem do domu wraz z wielkim orszakiem kapłanów. Nie pamiętam dokładnie dlaczego, ale właśnie ci kapłani potajemnie skradli ze świątyni Salomona Arkę Przymierza.

- Paskudnie zrobili - powiedziała Sissi.

- Pewnie, że tak Ale Menelik wznosił dla arki świątynię w Aksum. Uważał bowiem, że skoro przepiękna arka pozwoliła się skraść, to znaczy, że Bóg chciał, aby tak się stało. I od tej pory arka znajduje się właśnie tam. Strzeże jej jeden człowiek przez całe swoje życie i tylko jemu wolno ją oglądać. Obecnie jest to mężczyzna nazywany Aba Teklu, ale ma już ponad siedemdziesiąt lat i na swojego spadkobiercę wyznaczył dziesięcioletniego chłopca, któremu nigdy nie wolno opuszczać świątyni ani też stykać się z innymi ludźmi. Chłopiec zna tajemnice arki i nigdy nikomu ich nie zdradzi. Tak jest od trzech tysięcy lat. Dziennikarze próbowali się tam dostać, lecz oczywiście ich nie wpuszczono. Gdy ktoś pyta, czy arka naprawdę znajduje się w tej świątyni, Aba Teklu odpowiada z życzliwym uśmiechem, lecz bardzo zdecydowanie: „Nie wątpicie w to, ona jest tutaj!”

- To ogromnie ciekawe - stwierdziła Unni. - I naprawdę miło choć na chwilę się oderwać od naszych problemów.

- To prawda - przyznał Antonio. - Ale pora chyba iść dalej i przekonać się, dokąd zaprowadzi nas ten korytarz.

Ruszyli. Unni wyczuwała za plecami obecność Miguela, to znaczy wyczuwała Tabrisa, gdyż jego demonie cechy stawały się teraz coraz wyraźniejsze, pomimo że z wyglądu wciąż był Miguelem.

Unni zadrżała. To przecież oznaczało, że znajdowali się już bardzo blisko zapomnianej wioski. Ach, Tabrisie, Tabrisie, czy naprawdę musisz to zrobić? Czy musisz nas zabić?

Unni czekała moment, tak by mogli iść obok siebie. Wiedziała, że Miguel zmaga się ze swym wewnętrznym chaosem.

Z pewnym wahaniem powiedziała:

- Wydaje mi się, że zaczęłam rozumieć jeden z twoich problemów.

Miguel z początku nie odpowiedział. W końcu jednak rozległo się jego ciche, jakby zachęcające:

- Tak?

- Zrozumiałam twój stosunek do Juany.

Jej stwierdzenie wyraźnie go poruszyło, wyczuła to, lecz przyjęła jego milczenie za zachętę do dalszej rozmowy.

- Sam mówiłeś, że demon nie ma żadnych uczuć dla innych.

- To prawda.

Gdyby nie chciał jej słuchać, to chyba by odszedł, on jednak nie odsuwał się od niej nawet odrobinę.

Echo ich kroków miękko odbijało się od ścian. Przyjaciele byli już dość daleko z przodu.

- Tymczasem Juana stała się dla ciebie wielkim problemem. Zaczęło się od tego, że mimowolnie wywołała w tobie coś, do czego nie chciałeś się przyznać. Troskliwość.

- Nie masz racji, to się wcale tak nie zaczęło.

- To opowiedz!

- Owszem, możesz to usłyszeć - powiedział cierpko, z pewną pogardą. - Moja nienawiść do Zareny nie ma granic. Kiedyś szukała mnie, a Juana jak zwykle deptała mi po piętach. I wtedy ja, nie chcąc, żeby Zarena odniosła sukces i miała łatwość w dopadnięciu swej ofiary, zmieniłem się w Tabrisa i ukryłem Juanę pod swoimi skrzydłami, uprzednio wprawiając ją w trans. Ale byłem wtedy demonem i rozpałała mnie bliskość Juany. To nastąpiło odruchowo, nie było w tym żadnych uczuć. Wydaje mi się, że Juana zaczęła się później domyślać, co się stało.

- Stało?

- Nic poza tym, że się rozpałem. Wszystko inne byłoby nie do pomyślenia.

- No tak, o tym rzeczywiście nie wiedziałam. Ale od tamtej pory między tobą a Juana zaczęło się dziać coś dziwnego, prawda? Coś poszło nie tak. Wiem, że przez pewien czas okazywałaś jej nieprzychylność, nawet wrogość, ale potem pożałowałaś tego i zaczęłaś traktować ją lepiej, bo ona przecież jest miła, dobra i bardzo samotna. Ale kiedy przeszła ci złość, ona cię źle zrozumiała i zaczęła sądzić, że się w niej zakochałeś, ponieważ bardzo



chciała w to wierzyć. Prawda natomiast jest taka, że ty nigdy nie kochałeś się w Juanie. Mam rację?

- Jesteś mądrą kobietą. Mówiłem to już wcześniej.

- Natomiast Juana przez te wasze zawikłane relacje sprawiła, że chyba zaczęłaś odczuwać coś do innych. Pojawiła się w tobie ludzka strona, do której nie chcesz się przyznać.

- Mów dalej! - powiedział tonem, w którym zabrzmiała niemal groźba.

- Wszystko szło dobrze aż do dzisiaj.

- Skąd o tym wiesz? - wykrzyknął gwałtownie. - Przecież niczego nie dałem po sobie poznać!

- No tak, ale ja i tak to zauważyłam. *El amor brujo*. Czarodziejska siła miłości. Wiesz, Miguelu, wydaje mi się, że jesteś wspaniałym, dobrym człowiekiem.

- Człowiekiem? Dość już tego, nie chcę więcej niczego słuchać!

- I ja nic więcej nie powiem. Tylko to, że zaczęłaś liczyć się z innymi i że to naprawdę niezwykle jak na demona, o ile wolno mi się tak wyrazić. Ale wiesz, że po jutrzejszym dniu nie będziesz już musiał się z nikim liczyć - to przecież taki nudny ludzki wymysł. I właśnie stąd bierze się twój dylemat.

- Owszem, będę musiał się z kimś liczyć, ale w innym wymiarze.

- Oczywiście. To będzie niezwykle, delikatne i bolesne. Nagle jakby cały bunt i opór wyparowały z niego.

- Co ja mam zrobić, Unni? Prędzej czy później znów stanę się Tabrisem i wtedy wszystko będzie już naprawdę niemożliwe.

- Wykorzystaj więc szansę teraz - uśmiechnęła się Unni. - Tylko daj jej trochę czasu, sprawdź, jak wszystko naprawdę wygląda. Niewiele wiesz o jej stosunku do... erotycznego związku. Z tym drugim postaram ci się pomóc.

- Dziękuję ci, Unni. Jordi to prawdziwy szczęściarz, że ma ciebie.

- A ja jego. Miguel westchnął ciężko.

- Cudownie będzie na powrót stać się Tabrisem, oderwać się od wszystkiego tego, czego nie znam.

- Owszem, ale od drobnych smutków nigdy się nie wyzwolisz.

Miguel nic na to nie powiedział. Unni zerknęła na niego z boku. Nagle Miguel zaczął wyglądać na bardzo zmęczonego i poważnego.

Unni zobaczyła też coś jeszcze...

- Dogonimy resztę? - zaproponowała z nadzieją, że nie usłyszał strachu dźwięczącego w jej głosie.

Unni wiedziała, że trzeba się spieszyć. Stwierdziła to, patrząc na Miguela. Niedaleko już było do doliny, w której jego zadanie miało się dopełnić. Poznawała to po jego oczach, lecz przede wszystkim dostrzegła podczas trwającej zaledwie sekundy wizji, kiedy to ujrzała jego ręce przypominające szpony, ostre kły i coś, co mogło przypominać rogi. Natychmiast znów zmienił się w Miguela, lecz to, co się stało, wzbudziło jej słuszne obawy. Unni wiedziała, że musi działać szybko.

Szybko, lecz tak, by nikogo nie zranić.

Trzeba działać, nim będzie za późno. Musi się teraz zmienić w intrygantkę jakich mało. *El amor brujo* albo *bruja*, czarodziejka miłości. Od czego zacząć? Naprawdę trzeba się spieszyć!

Los jej sprzyjał. Doszli do miejsca, w którym korytarz się zawalił. Nie został całkiem zasypany, lecz musieli usunąć kilka kamiennych bloków, by móc przejść dalej. Dzięki temu miała odrobinę czasu.

- Chodź - powiedziała do Juany. - Niech duzi i silni sobie z tym radzą. Czasami rola słabej bezbronnej kobiety jest naprawdę przyjemna.

Patrzyła, jak mężczyźni podchodzą do zawaliska. Miguel podał rękę Sissi. Zawsze zaliczał ją do silnych.

Unni odciągnęła Juanę na taką odległość, żeby nikt inny ich nie słyszał. Usiadły oparte plecami o skały.

- Jak twoja stopa?

- Stopa?

- No tak, przecież kamień wpadł ci do buta.

- Ach, to? - zaśmiała się Juana zawstydzona. - Próbowалам wtedy tylko ściągnąć na siebie uwagę Miguela, ale równie dobrze mogłam sobie tego oszczędzić. To była nieudana próba.

- Cóż, chyba rzeczywiście związek z nim należy uznać za uśmiercony w zarodku - rzuciła Unni lekko. - Zwłaszcza że ostatnio coraz bardziej zaczyna przypominać Tabrisa, im bliżej jesteśmy doliny. Bardziej niepokoi mnie Morten.

- Morten? A to dlaczego?

- Dobrze go znam i chociaż nie pokazuje tego po sobie, to jednak bardzo ciężko przyjął zerwanie z Sissi. Kolejny raz ktoś go odrzucił. Wprawdzie to nie miało dla niego tak

wielkiego znaczenia - zastrzegła się Unni - lecz mimo wszystko znów wpadł w kolejną ze swoich najzupełniej zrozumiałych depresji. Wydaje mu się, że nikt go nie lubi.

- Ależ przecież ja go lubię! - oświadczyła zdumiona Juana, mimowolnie zerkając na zwałowisko głazów, gdzie Morten „dyrygował” całą operacją, nie robiąc nic konkretnego. - Wszyscy go przecież lubimy.

- Owszem, lecz czy mu to okazujemy? Przecież głównie odnosimy się do niego z sarkazmem. Tymczasem trzeba go zrozumieć, jego matka umarła, kiedy był mały. Przez to przekleństwo rycerzy, wiesz. A ojciec niezbyt się nim interesował. W szkole się z niego naśmiewano, jedynym stałym punktem w jego życiu była przez kilka lat Gudrun, ale w końcu Morten nie chciał już dłużej mieszkać w zapadłej dziurze nad morzem, jak wszyscy młodzi tęsknił do wielkiego miasta. Z dziewczynami nie układało mu się najlepiej, jakoś nie potrafił sobie z tym radzić, a potem Leon potrafił go samochodem i Emma porwała go w swoje szpony. Głęboko zraniła jego i tak marne poczucie własnej wartości. Cóż, Morten zawsze wybierał niewłaściwe dziewczęta, ale możesz mi wierzyć, że nigdy tak naprawdę nie był w żadnej z nich zakochany.

Zawsze był powierzchowny i kierował się wyłącznie wyglądem, pomyślała Unni, lecz na głos tego nie powiedziała.

- I często musiał przeżywać klęskę, tak jak teraz przy tym, co go spotkało w związku z Sissi. Doprawdy, jego poczucie własnej wartości jest teraz mniejsze niż zero.

Juana popatrzyła na Mortena stojącego w głębi naturalnego tunelu, w którym jedynie migotliwe błyski kieszonkowych latarek oświetlały jasnoszare ściany.

- Biedaczysko! Muszę ci powiedzieć, że ja również wiele myślałam o tym, żeby podreperować to jego nadszarpięte poczucie własnej wartości, bo przecież on na to zasługuje. Tak naprawdę jest przecież bardzo miły, prawda?

- Rzeczywiście, bardzo. I ma też poczucie humoru, wiesz. Nieraz mu już ono pomogło. No i wiesz, przynajmniej wydaje mi się, że powoli rezygnuje z tendencji do przeskakiwania przez płot w miejscu, gdzie jest on najniższy. Bo wiesz, zawsze szedł po linii najmniejszego oporu.

Unni zorientowała się, że najwyraźniej nabrała pewnego przykrego zwyczaju językowego. Powiedziała „wiesz” stanowczo zbyt wiele razy w ciągu krótkiego czasu. Dokładnie tak jak inni, którzy używają „jakby” albo „więc” czy też innych zupełnie zbędnych słów i umieszczają je niemalże w każdym zdaniu. Stwierdziła, że musi nad tym zapanować.

- Tak, tak, Mortenowi potrzeba łagodnej, dobrej i kulturalnej dziewczyny, którą po części mógłby chronić, ale przede wszystkim na której mógłby polegać na dobre i na złe.

Monika, jego poprzednia dziewczyna, przez bardzo zresztą krótki czas, była zbyt prosta. To taka zwyczajna dziewczyna z dobrej rodziny, która...

Ojej, musi uważniej dobrać słowa! Przecież Juana również była dziewczyną z dobrej rodziny, chociaż może wcale nie taką zwyczajną.

Dokończyła:

- ... która nie dorównywała mu pod względem intelektualnym.

Doskonale to powiedziała, choć co prawda Unni nigdy nie uważała, by Morten jakoś specjalnie błyszczał intelektem.

Wstała. Zasiała już to, co miała zasiać, teraz mogła jedynie czekać, żeby się przekonać, co z tego wyrośnie.

- No, może trochę poudajemy, że w czymś pomagamy? Juana również wstała, lecz ujęła Unni za rękę. Dalej nie ruszały się z miejsca.

- Unni... czy ty również zauważyłaś jakąś zmianę w Miguelu?

- Tak - odparła Unni z powagą. - On się powoli zmienia w Tabrisa. Wprawdzie przeobrażenie następuje wolno, lecz staje się widoczne.

Juana tęsknie popatrzyła na Miguela. Jej wargi się poruszyły. Unni gotowa była przysiąc, że dziewczyna szepnęła: „A więc jednak się spóźniłam”. ‘

Ale w wyrazie twarzy młodej Hiszpanki nie było widać szczególnego żalu i zaraz, jakby na próbę, zerknęła na Mortena.

Pierwszy etap chyba już za nami, pomyślała Unni. Teraz pewnie będzie trudniej, bo muszę spróbować obrócić zło w dobro, nim rzeczywiście będzie za późno.

Nad Mortenem postanowiła wcale nie pracować.

Wiedziała, że bez trudu ulegnie kilku miłym słowom i parze ciemnych południowych oczu, jeśli tylko okażą mu zainteresowanie. Co z tego wyniknie później, to już mniej interesujące. Liczy się tu i teraz.

Mieli tak straszliwie mało czasu. Miguel wkrótce będzie już historią, a kiedy zamiast niego pojawi się Tabris, wszystko przepadnie.

Udało jej się zamienić kilka słów z Miguelem, kiedy nikt nie mógł ich usłyszeć. Odbierała od niego kamienie, które zdejmował z usypiska. Poczula wtedy, że jego ręce są bardziej szponami niż ludzkimi dłońmi.

- Załatwiłam tę delikatną sprawę - powiedziała cicho. - Jesteś wolny, obyło się bez smutku.

Miguel skinął jej głową.

- Dziękuję.

Ukończyli pracę. Korytarz był dostępny. Unni musiała działać dalej. Otrzeptała pył z dłoni i oświadczyła Sissi:

- Miguel przygląda ci się z wielkim podziwem. Szeroki, biały uśmiech Sissi aż zajaśniał w ciemności.

- Naprawdę? Może i tak, jeśli jest z tych, co lubią mięśnie.

- Chyba nie chodzi jedynie o mięśnie... Czy ty się nigdy go nie boisz?

- Miguela? A dlaczego miałabym się go bać? Przecież doskonale nam się ze sobą współpracuje.

- A Tabrisa się nie przestraszyłaś?

- Uważam, że wyglądał wspaniale. Chciałabym go znów zobaczyć.

To się może stać prędzej, niż byś tego chciała, pomyślała Unni.

- Powiedz więc o tym Miguelowi.

- Już mu mówiłam.

- I co on na to?

- Powiedział: „Phi, trzymaj się tego głupka Mortena”, a potem odszedł. Wydaje mi się, że sprawiał wrażenie trochę... Nie. Nic.

- Trochę zazdrosnego?

- Nie wiem. Nie chcę stawać na drodze Juanie. Teraz Unni mogła szczerze się uśmiechnąć.

- Coś mi się wydaje, że Juana jest bardziej zajęta pocieszaniem Mortena.

- Naprawdę? Ach, zobacz, czy to nie światło widać tam w oddali?

- Och, rzeczywiście!

Unni czuła się wyczerpana tą swoją zakulisową polityką, ale była z siebie bardzo zadowolona. Uczyniła, co w jej mocy, żeby zapobiec katastrofie.

Nic więcej chwilowo zrobić nie mogła, a co z tego wyniknie... ?

Wkrótce wszyscy siedmioro stali w milczeniu, spoglądając w maleńką dolinę, z pozoru wydającą się dziewiczą nietkniętą puszcza, lecz...

Nie wiadomo skąd nadleciał wiatr i zawirował niczym gromada duchów zmarłych. Lodowatym podmuchem omiół ich włosy i ubrania, szarpnął dębami porośniętymi bluszczem i przekwitłymi orchideami rosnącymi u ich stóp, jak gdyby chciał wyrwać kwiaty z ziemi.

Jordi zacytował na głos:

- „Istnieje droga skryta w lesie tak dokładnie, że dęby milczą, zaś orchidee porastające ziemię odwracają się, gdy je spytać. Jedynie ten, kto zna ucieczkę orłów, może odnaleźć ścieżkę, która już nie istnieje, kiedy bracia nadejdą z miejsca, gdzie orły są małe. Pięciu

rycerzy to ostatni ludzie, którzy szli tą ścieżką. Śladem ich podążała *la bruja*. Ona to posiada teraz wiedzę o tym, którądy wiedzie ścieżka. Bracia mogą ją odnaleźć, a potomkowie trzej dopomóc. Stwór może zabić”.

Tą właśnie ścieżką przeszli. Dotarli do celu. Do ukrytej, zapomnianej doliny.

**CZEŚĆ TRZECIA**  
**„WIDZĄ TO, CZEGO NIE MA, LECZ**  
**NIE WIDZĄ TEGO, CO JEST”.**



Wysoki, chudy mężczyzna zerwał się gwałtownie z ochrypłym krzykiem. Złapał się za szyję, lecz nie znalazł na niej dławiących pędów pnączy.

Pozostałych dwoje obudził jego głos. Na próżno próbował się tłumaczyć i udawać, że wcale się nie przestraszył, uważał bowiem, że mu to nie przystoi, lecz jego towarzysze byli równie przerażeni jak on.

- Co się stało? Gdzie jesteśmy? - jęknęła asystentka.

- Coś nas omal nie podusiło na śmierć - szepnął Thore Andersen. - A potem, nagle... wydaje mi się, że usłyszałem jakiś głuchy huk, ale nie miałem sił...

- To było straszne - powiedziała asystentka. - Nic z tego nie pojmuję. Te rośliny pełzły jak węże, wiły się po ziemi i zwisały z drzew.

Z największą ostrożnością i zachowaniem wszelkiej czujności wstali. Z przerażeniem rozejrzeli się dokoła, lecz jednak wyglądało na to, że wszędzie panuje spokój.

Chudy wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

- Jesteśmy na samym skraju tego potwornego lasu. Czy możemy założyć, że ci, których ścigamy, musieli znaleźć się gdzieś pośrodku?

- Z całą pewnością - stwierdził otyły Thore. - I że dotarła do nas eksplozja.

Asystentka uśmiechnęła się paskudnie.

- Chcesz powiedzieć, że oni bardziej ucierpieli od tego wybuchu?

- Właśnie - powiedział chudy, a na jego ustach wykwitł złośliwy uśmiezek.

- Możemy więc spokojnie zapuścić się dalej w głąb i podjąć ich wyprawę tam, gdzie się ona skończyła. Doskonały pomysł!

Nieznajomi rozpoczęli dzień z nowymi siłami.

- To wcale tak nie wyglądało, kiedy przyszlismy do tej dziwnej doliny - stwierdził chudy. - Liście były wtedy świeże i zielone.

- I krwiożercze - przypomniał Thore Andersen. - Do pioruna, nigdy w życiu się tak nie bałem!

Asystentka rozejrzała się dokoła. Otrzepała z ubrania zwiędłe liście.

- Teraz wszystko jest szarobrunatne i wyłoniły się białe pnie drzew. Co tu się dzieje?

- Czary - podsumował Thore Andersen. - Z pewnością dzisiejszej nocy działały się tu jakieś czary.

- Bez względu na to, co to było, uratowało nas - powiedział chudy. - Czy został nam jeszcze jakiś prowiant?

Dla nich bowiem nie było żadnych owoców, drzewa ukrywały wszystko, co jadalne.

- Mamy kilka herbatników witaminowych.

- Zjedzmy więc to świństwo. Wino pewnie się już skończyło.

- Została jeszcze butelka na oblewanie zwycięstwa.

Chudy wyraźnie toczył walkę ze sobą. Przyzwyczajony był do przyjemnego życia, w którym do codziennych zwyczajów należało picie wina.

- Zachowajmy je więc. Napijemy się wody ze źródła. Po spożyciu skromnego śniadania chudy powiedział:

- Nie ma wątpliwości, że nasza zwierzyna weszła do tej doliny. Świadczyła o tym lina zanurzona w rzece i te rozmaite ślady, na które natykaliśmy się od czasu do czasu. Zgubiliśmy ich jednak. Powalił nas też ten szok i brak snu. Teraz odzyskaliśmy siły. Którędy oni poszli?

- Pytasz o to, gdzie znajdziemy ich zwłoki? - zachichotał Thore Andersen.

- Tak byłoby najlepiej. Pokazali nam już drogę i więcej do niczego już nie są nam potrzebni. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, dokąd skierowali ostatnie kroki. Dalej droga będzie już przed nami otwarta.

- I tylko my nią pójdziemy - uśmiechnęła się asystentka triumfalnie. - Tylko my! No, dokąd oni się skierowali?

- Nie mam pojęcia - stwierdził Thore Andersen. - To jakiś zły, nieustępliwy, zaczarowany las. Wyraźnie nie ma ochoty nas wpuścić.

Asystentka powiedziała ostro:

- Pamiętaj, że my posiadamy wszelką wiedzę o ukrytej wiosce. Jedyne my tam trafimy. A jesteśmy już bardzo, bardzo blisko.

- Ale nie wiedzieliśmy przecież, jak do niej dotrzeć?

- To prawda, ale za to ci niczego nieświadomi plebejusze doprowadzili nas aż tutaj. Muszą pokierować nas jeszcze przez ostatni odcinek drogi. Nie możemy teraz stracić śladu.

- Tam jest wąwóz - wskazał chudy. - I z tego, co rozumiem, to jedyna droga, jaką możemy się stąd wydostać. Idziemy tam!

Zagłębili się w beznadziejny jar, który Miguel dużo wcześniej zbadał i którym sprzymierzeńcy rycerzy nie poszli.

Thorego oblewał pot. Nienawidził tego ciągłego marszu, tej konieczności rezygnowania z wszystkich przyjemności. Jego towarzysze jednak, znacznie od niego

szczuplejsi, byli tak diabelnie fanatyczni w swoich dążeniach. Nie bali się trudów wspinaczki, głodu ani braku snu.

Na brak snu przynajmniej dało się im zaradzić ostatniej nocy, chociaż Thore miał paskudne wspomnienia, że coś ryczało niedaleko i nie wiadomo skąd dobiegał odgłos ciężkich kroków. Pewnie mu się to wszystko przyśniło.

Ta przeklęta wspinaczka wśród olbrzymich głazów, stale pod górę, czy to się nigdy nie skończy?

W tym czasie powoli budziła się też banda Emmy.

Oni także byli wycieńczeni. Noc, którą spędzali w wąskiej rozpadlinie, przyniosła chłód, a oni przecież wszyscy byli przemoczeni po przymusowej kąpieli w rzece.

Nie mieli też już nic do jedzenia.

- No, no - powiedziała Emma do Kenny'ego. - Widzę te głodne spojrzenia, jakie ślesz moim poślakom. I wcale nie myślisz przy tym o seksie.

- Odważymy się zejść w tę dolinę? Mnie się ona wydaje złowieszczą.

- Nie bądź głupi! - ofuknęła go Emma. - Dobrze, dobrze, wiem, że słyszeliśmy huk jak nie z tego świata, a potem dookoła nas posypały się liście, korzenie i ziemia, lecz to z pewnością nasi tak zwani przyjaciele, Unni i Morten z resztą kompanii, spowodowali jakiś wybuch, może próbując utorować sobie wejście. Musimy iść tym śladem. Prawda bowiem jest taka, że ten skarb przez pokolenia przeszedł właśnie na mnie. Jestem spadkobierczynią Emilii i Emile, potomków człowieka, który zdradził plany rycerzy. Pojmał jednego z tych, którzy transportowali skarb, z zemsty za to, że nie pozwolono mu dołączyć do ich grona... Twierdzili, że nie można na nim polegać. Phi! To było daleko w Nawarze, właśnie stamtąd się wywodzimy. Co prawda mój przodek Emile pochodził z francuskiej strony Pirenejów, mam więc w żyłach zarówno krew francuską i hiszpańską, jak i norweską. Doskonała mieszanka, prawda?

- Przestań tyle gadać, mów do rzeczy! - ostro odpowiedział jej Kenny. - Chcemy słuchać o skarbie, a nie o jakichś bękartach!

Emma trzepnęła go w rękę.

- O czym to ja mówiłam, zanim mi przerwałeś? Aha, już wiem! Tamten uwięziony człowiek oczywiście nie chciał niczego zdradzić, ale mój przodek - jego imię na zawsze cieszyłoby się szacunkiem, gdybym tylko je znała - dobrze wiedział, że ci, którzy wiozą skarb, mają odpowiednie instrukcje. Zabił więc tamtego gada i zabrał mu wszystkie papiery, jakie przy nim znalazł. Niewiele tego było, ale ujawniały mnóstwo szczegółów dotyczących

planowanego przez rycerzy buntu przeciwko sługom inkwizycji. Ale dzięki temu wiemy teraz, że to gdzieś tutaj musieli ukryć skarb. Musiało tak być, bo na jednym z tych prostych dokumentów, które wpadły w ręce mego przodka, narysowane były orły, a przecież właśnie je widzieliśmy.

- A Leon? - dopytywał się Alonzo z kwaśną miną. - W jaki sposób on się w to wszystko wplątał?

- Leon pochodzi od jednego z mnichów, którzy...

- O rany, pochodzi od mnicha? - zdumiał się Tommy.

- A co, myślałeś, że ludzie w tamtych czasach byli święci? Poza tym to nie byli prawdziwi mnisi, ci tam, raczej wchodzili w skład plutonu egzekucyjnego, mówiąc współczesnym językiem. To byli kaci inkwizycji.

- Rzeczywiście są potworni - mruknął Kenny.

- Ciesz się, że stoją po twojej stronie - ostro powiedziała Emma. - Ale nasze rody, mój i Leona, przez stulecia zbierały wszelkie informacje. Wiemy, że ci, którzy są przed nami, ci przekłeci bracia Vargasowie, ta głupia Unni i jeszcze głupszy Morten, i cała reszta tych idiotów zaprowadzą nas prosto do skarbu. Do bogactw, które wystarczą na całe życie i jeszcze dłużej.

- O, nie! - zaprotestował Kenny. - Wystarczy ich akurat na całe moje życie. Już ja się zatroszczę o to, żeby nic z nich nie zostało. Ach, ale będą szeleścić pieniądze! Nareszcie będę mógł żyć w takim luksusie, na jaki od dawna zasługuję.

- Ja też - zawtórował mu Tommy ze śmiechem. - Na co komu żona i dzieciaki? *Leben Und leben lassen.* \* [Leben und leben lassen (niem.) - Żyj i pozwól żyć (przyp. tłum.)]

- To chyba niewłaściwy cytat akurat w tej sytuacji - zauważyła chłodno Emma. - Ale rozumiem, o co ci chodzi. Wykorzystamy ten skarb najlepiej, jak potrafimy, każdą jego najdrobniejszą okruszynę. A to, moi drodzy, na pewno nie będą małe pieniądze. Tyle mogę wam obiecać.

Wszyscy troje roześmiali się uradowani.

Alonzo natomiast wciąż czuł się bardzo nieswojo i nie mógł się wyrwać z zamyślenia. Jego spojrzenie nerwowo błąkało się po tych częściach doliny, które dało się dostrzec, i po tym niezwykłym lesie. Przesunęło się w stronę szczytu wznoszącej się pośrodku góry o kształcie zwierzęcia. W samej skale jakby tkwiło coś, co przyciągało jego wzrok, coś złego, prastarego. Miał nadzieję, że nie tam właśnie trzeba będzie szukać cudownych pieniędzy, których i on ogromnie potrzebował. Temu akurat nie mógł zaprzeczyć.

Atmosfera jednak nie była tu ani trochę przyjemna, Ogarnęło go uczucie paniki, które czasami potrafi najść człowieka ni stąd, ni zowąd. „Nigdy się stąd nie wydostanę, nigdy nie wrócę do domu”, powtarzał w myślach.

Gnębiony złymi przeczuciami powiedział.

- Ta dolina zwiędłych liści przeraża mnie do szaleństwa. Czai się w niej coś złowróżbnego, uwierzcie mi. Wspomnicie jeszcze moje słowa!

- Przestań! - fuknęła Emma. - Może nawet uda nam się znaleźć tam coś do jedzenia.

- Tak by było najlepiej - groźnym tonem rzekł Tommy. - Bo inaczej zacznę obgryzać drzewa... albo upiekę sobie coś, co mogłoby przypominać prosiaka.

- Zamknij pysk! - burknęła Emma, mocniej otulając się kurtką.

Thore Andersen i jego zwierzchnicy wkrótce zorientowali się, że zabrnęli w ślepa uliczkę. Wściekli zawrócili do niezwykłej doliny, przysypanej warstwą zwiędłych liści.

Nigdzie nie natrafili na żaden ślad ściganej grupy.

Posuwali się dalej wzdłuż stromego zbocza, sfrustrowani, nie wiedząc, co dalej robić, nie rozumiejąc, którądy mogli iść ich przeciwnicy.

I nagle zatrzymali się jak wryci.

Przed niesłychaną płataniną zarośli, kłębiących się pod skalną ścianą, kołysząc się przy każdym ruchu, wędrowała tam i z powrotem jakaś wstrętna olbrzymia postać.

Wiedzeni najbardziej prymitywnymi instynktami czym prędzej ukryli się za kamieniami. Trzy serca waliły jak oszalałe. Doprawdy, wiele przeżyli podczas tej odysei, lecz to przekraczało już wszelkie granice.

Thore Andersen poczuł, że robi mu się słabo, i przypomniał mu się lekarz, dawno już ostrzegający go przed nadciśnieniem.

Potworna istota wydawała z siebie ciche warknięcia, od czasu do czasu zatrzymywała się przed splątanymi zaroślami i wymierzała im kopniaki, ogarnięta bezsilną wściekłością.

Wszyscy troje patrzyli na siebie ze zdumieniem. Czyżby to mogło być właśnie tu?

Nagle potwór jakby coś zwietrył. Ruszył pochylony w przód, lecz nie kierował się prosto w ich stronę, tylko nieco bardziej w głąb lasu, ale bez wątpienia zbliżał się do nich.

- Mój Boże, co to za bestia! Aż niedobrze się robi, gdy się na nią patrzy.

Wszyscy troje mieli największą ochotę zawrócić, nie śmieli jednak tego zrobić. Musieli się przekonać, jak postąpi potwór.

To nie mogła być żadna żywa naturalna istota, lecz coś z zaświatów, powstałe z grobu. Ach, nie, to już za wiele, nie da się dłużej tego znosić!

A potem bestia znów się odwróciła. Tym razem kierowała się prosto na nich.

- Strzelaj, Thore! Strzelaj! - syknęło pozostałych dwoje.

Thore Andersen, który miał wyraźne kłopoty ze złapaniem oddechu i któremu pot zalewał twarz, sięgnął po broń. Trudno będzie wycelować z takiej pozycji, pomyślał.

Bestia wreszcie ich dojrzała i wydała z siebie potworny ryk. Przyspieszyła nieco kroku.

Wreszcie padł strzał. Potwór złapał się za ramię, powarkując, i z wyraźnym trudem schował się z powrotem w lesie.

Usłyszeli hałas, kiedy upadł.

Wamba nigdy nie uległby kuli z pistoletu, Leon jednakże wciąż potrafił czuć ból, jego ciało reagowało. Olbrzym przewrócił się na ziemię i nie mógł wstać.

Troje nieznajomych nie czekało.

- Krzaki - oznajmiła asystentka, a pozostali już wcześniej się zorientowali.

Pobiegli ku nim, jakby śmierć deptała im po piętach. Nie wiedzieli przecież, do jakiego stopnia unieszkodliwiony został potwór.

- Tuż nad ziemią - pouczył chudy. - Tam się da przeleźć, schowamy się w tych zaroślach.

- Przypuszczam, że tam może być coś więcej niż tylko kryjówka - stwierdziła asystentka.

- Tak - przyznał Thore w podnieceniu. - Widać tu ślady, że ktoś inny już tędy pełził, i to całkiem niedawno!

- Wydawało im się, że się wywiną - burknął z zadowoleniem chudy. - Teraz już ich mamy! Trzymajcie broń w pogotowiu, towarzysze! Zabawa się skończyła.

Bliżej brzegu zakłętego lasu niczego nie przeczuwająca Emma prawila kazanie czterem katom inkwizycji. O ile, rzecz jasna, można w ogóle mówić tu o kazaniu.

- Co wy, u diabła, chcecie powiedzieć przez to, że ich nie widzicie? Przecież właśnie po to jesteście! Macie być moimi szpiegami, zaraz idźcie ich szukać!

- Nasza łaskawa, cudownie piękna bogini, oni zniknęli! Przepadli dzisiejszej nocy, gdzieś tu w pobliżu. Nie pojmujemy, co się z nimi mogło stać.

- Nie tłumaczcie się, tak czy owak na zawsze pozostaniecie skostniałymi, zasuszonymi niezdarami!

Jeden z mnichów zatarł kościste białe dłonie i powiedział przypoehlebnie:

- Wiemy za to co innego, nasza uwielbiana pani.

- To gadajcie!

Emma była tak zła, że aż prychała z gniewu. Bardzo już tęskniła za gorącą kąpielą i ekskluzywnym obiadem w cywilizowanej restauracji, zamiast stać tu na tym pustkowiu wraz ze wszystkimi tymi nie nadającymi się do niczego amatorami, którzy nie potrafili docenić światowej damy. I żeby w dodatku nie mieć nic do jedzenia! Nic dziwnego, że traci się humor.

Przeszedł ją dreszcz. Teraz wszyscy, zarówno Emma, Alonzo, Tommy, jak i Kenny, dostrzegali już wyraźną zmianę, jaka zaszła w wyglądzie mnichów. Stali się jakby bardziej cieleśni, ich złe czarne oczy jarzyły się w oczodołach diabelskim blaskiem, a twarze, przypominające upiorne maski, nabrały życia. Cóż za straszna odmiana!

- Co się stało? - spytała agresywnym tonem. Ta agresja była wyrazem strachu.

Alonzo, niepoprawny tchórz, zaczął się cofać, Emma więc złapała go za rękę i przytrzymała, nawet na moment nie spuszczać wzroku z katów inkwizycji. Kiedy Kenny zrobił minę, że też chce odejść, wbiła mu obcas w stopę, aż jęknął.

- A więc? - zwróciła się władczy tonem do czterech upiorów.

- Jesteśmy już blisko - szepnęli groźnie mnisi. Mówili teraz jeden przez drugiego i Emma z trudem mogła uchwycić sens wypowiedzi.

- Mówcie pojedynczo! - przykazała surowo. Nie mogła sobie pozwolić na utratę kontroli nad nimi.

- Jesteśmy blisko celu. Wyczuwamy to. I dlatego, o piękna, nasza siła i moc się zwiększa, osiąga niemal ten sam poziom, jaki mieliśmy u siebie, w Santiago de Compostela.

- Doskonale, ale gdzie jest ten cel, do pioruna...

- Cicho, cicho, najmilsza! Jeszcze tego nie wiemy. Nie naszą sprawą jest szukanie tego miejsca, to zadanie innych!

- Ach, idźcie do diabła! - syknęła Emma.

Było to niezwykle trafne wyrażenie. Machnięciem ręki odprawiła cztery strachy na wróble i poprowadziła swoich trzech żywych kawalerów dalej przez czarodziejski las.

Zatrzymali się właśnie, żeby odpowiedzieć na pytanie, czy powinni zagłębiać się w jedyny widniejący na horyzoncie wąwóz, gdy coś się wydarzyło. Tommy wprowadził już raz wcześniej upierał się, że zauważył coś, co mogło przypominać tylną część ciała człowieka, ukrywającego się w krzakach, rosnących nieco dalej, ale pozostali go wyśmiali, stwierdzając, że dość już mają jego wymysłów.

Teraz jednak Emma straszliwie pobladła, a jej kompani znieruchomieli, stali jak wryci.

Nieopodal z lasu obiegł głuchy, upiorny szept.

- Eeeeemmmmmmmmmmaaaaa!

- O, nie! - oświadczyła krótko, jak gdyby sądziła, że jednym słowem uda jej się odepchnąć całe to zdarzenie. Tak się jednak nie stało.

- Eeeeemmmmmmmmmmaaaaa!

- Wydaje mi się, że poznaję ten głos - powiedział Alonzo pobieławy na twarzy.

- Nie poznajesz, nie możesz go poznawać! - zawołała Emma, rzucając się na niego z pięściami. - Chodźcie, uciekamy!

Było już jednak za późno. Z lasu wyłonił się niewiarygodny potwór. Krocząc ciężko, kierował się w stronę dziewczyny.

- Emmo, czekałem na ciebie - rozległ się ochryply głos, przypominający głos jej dawnego kochanka, zaginionego Leona. - Emmo, boli mnie, strzelali do mnie!

- Rzeczywiście, słyszeliśmy strzał - przyznał Tommy, ze strachu dławiąc się słowami, i schował się za Kenny'ego.

- Alonzo, ochraniaj mnie! - wrzasnęła Emma. - A ty, Leon, uciekaj! Już cię tu nie ma! Alonzo i ja jesteśmy...

- Milcz! - wrzasnął zrozpaczony Alonzo. - Ja nie mam z tobą nic wspólnego! Zresztą jak możesz twierdzić, że ta bestia to Leon!?

- Skarb! Skarb należy do mnie - warknął przerażający potwór ochryplym głosem. - *El tesoro. Mio.* Skarb. Mój. Czekalem. Czekalem tak dlugo. Urraca go ukryla. Oddajcie mi go!



Emma na próżno starała się uwolnić. Wamba złapał ją za długie jasne włosy i trzymał je teraz obrzydliwymi brudnymi rękami. Oczy, małe i z przekrwionymi białkami, nie chciały się od niej oderwać, ledwie widoczne spod płataniny ohydnych włosów, w których aż kłębiło się od rozmaitych żyłatek. Tommy w końcu się poddał. Na czworakach, zmuszając się do wymiotów, usiłował pozbyć się strachu, lecz ponieważ tego dnia prawie nic nie jedli, nawet to mu się nie powiodło.

Alonzo stał, a na spodniach tworzyła mu się coraz większa ciemna plama. Kenny natomiast przynajmniej usiłował coś zrobić. Sięgnął po nóż i obciął włosy Emmy. Dziewczyna, nieprzygotowana na to, upadła na ziemię, a Wamba zamachnął się na Kenny'ego. Ruchy miał wprawdzie powolne, lecz posiadał olbrzymią siłę. Usłyszeli trzask, Kenny krzyknął z bólu. Miał rękę złamaną w barku. Zwisła mu bezwładnie, gdy osuwał się na ziemię.

Lecz gniew Leona - Wamby był tak naprawdę skierowany przeciwko Alonzowi, który ośmielił się skraść kobietę Leona.

- Uciekajmy! - histerycznie krzyknęła Emma. - Tommy, czy jesteś pewien, że ktoś zniknął w tych krzakach?

Nie czekając na odpowiedź, już się tam kierowała, pozostawiając mężczyznom zajęcie się Kennym. Wamba, który nie zdołał uderzyć Alonza, spieszył za nimi, aż ziemia dudniła.

Tommy pomimo strachu zaśmiał się głośno. Miał przed sobą Emmę, która najszybciej jak tylko potrafiła pełzła przez krzaki. Myślał o tym, że Kenny z pewnością nieźle oberwie za to, że zrobił jej taką fryzurę, jeśli oczywiście ujdą z tego z życiem.

- Ratunku, ach, Boże, ratunku!

Kenny chwiał się na nogach i nie pozwalał nawet dotknąć się do ręki, ogromnie trudno więc było mu pomóc. Alonzo wreszcie się ruszył i pędem rzucił się ku krzakom, lecz nie schylił się dostatecznie nisko. Ojej, to musiało zabolec, pomyślał Tommy. Został teraz z Kennym sam, a z tyłu już zbliżała się bestia. Tommy poczuł nieodpartą ochotę, by wpełznąć w krzaki jako pierwszy, Kenny jednak podjął decyzję za niego: położył się na brzuchu, zagradzając mu drogę, i półprzytomny usiłował się posuwać, pomagając sobie jedną tylko ręką. Tommy dostrzegł olbrzymią stopę tuż koło siebie i w panicznym lęku bezwzględnie pchnął wyjącego z bólu Kenny'ego w krzaki. Poczuł, że wstrętne łapa chwyta go za kurtkę, czym prędzej więc ją zrzucił. W końcu i on znalazł się wśród chroniących go zarośli - bez kurtki, nękany mdłościami, lecz stosunkowo bezpieczny.

Dla Wamby bowiem było zbyt ciasno w przejściu pod krzakami. Parskając jak rozwścieczony byk, zaczął wyrywać zarośla z korzeniami.

Czwórka ludzi ze współczesnych czasów z ogromnym zdumieniem stwierdziła, że znajdują się w wielkiej jaskini rozpościerającej się za krzakami.

- Do stu diabłów, to dopiero! - powiedziała Emma wolno. - A więc to tutaj oni zniknęli.

- Tommy, twierdziłeś, że wpełza tu jakaś osoba. Gdzie ona mogła się podziać?

Emma, podobnie jak inni, sądziła, że Tommy zauważył kogoś z grupy Jordiego.

Już wkrótce mieli się przekonać, że jest inaczej.

Siedmioro przyjaciół zauroczonych widokiem dawno zapomnianej doliny stało przy skalnych wrotach, przez które przeszli. Niejedno z nich odczuło ściskanie w gardle na myśl o ludziach, którzy kiedyś, przed wieloma stuleciami, tu mieszkali. Później dolina odeszła w niepamięć. Zatarła się w ludzkiej świadomości.

Było tak, jak powiedziała Unni. Istniało inne wyjście, prawdopodobnie prawdziwa droga prowadząca z tej maleńkiej doliny na pustkowiu do zamieszkanym traktów. Dostrzegli zawalisko, które ją zamknęło.

Zastanawiali się, jak by to mogło wyglądać z samolotu. Czy wyglądało jak odizolowana dolina, w której nigdy nie stała żadna ludzka osada, czy jak gęsta plama lasu wśród gór? Czy to możliwe, by tamto wzniesienie było kościołem, całkowicie porośniętym bluszczem? Rzeczywiście wszystko zdawał się porastać bluszcz i inne pnącza, innego rodzaju jednak niż tamte złe rośliny, królujące w sąsiedniej dolinie. To były najzwyczajniejsze rośliny.

I jeżeli nawet w wysokim, pokrytym gęstym listowiem wzniesieniu pośrodku doliny naprawdę krył się kościół, to nie istniały żadne ślady innych domostw. A jeśli kiedyś wiodła droga lub ścieżka ku dolinie z miejsca, w którym teraz stali, przy wyjściu z tunelu skalnego, to w tej chwili była całkowicie zarośnięta. Zdawali sobie sprawę, że sami będą musieli ją wytyczyć, jeśli postanowią zejść w dolinę.

A to właśnie musieli zrobić.

Wahali się jednak. Wahali się, ponieważ wśród nich znajdował się ten, który pokazał, że ma również drugą stronę.

Miguel.

Bali się jego świecących na zielono oczu. Bali się wyrazu jego twarzy, zdradzającego coś, czego dotychczas w niej nie było... Jak to nazwać? Pełną wyczekiwania żądzą niszczenia?

To doprawdy straszne odkrycie.

Sissi, zrób, co w twojej mocy. To Unni próbowała przesłać dziewczynie myślą ten nakaz. Zrób coś, żeby miał do ciebie jeszcze większą słabość. Mnie on także w pewnym sensie lubi, i ja też będę się bardzo starać. Juana natomiast może go niepotrzebnie zirytować, niech się lepiej trzyma Mortena.

Juana najwyraźniej się z nią zgadzała, bo przykleiła się do Mortena jak znaczek, a chłopakowi bardzo się to spodobało. Czyżby zrozumiała taktykę? Unni raczej w to wątpiła, o

kobięcych intrygach ta zajmująca się pracą naukową dziewczyna wiedziała naprawdę bardzo niewiele.

Sissi jednak sprawiała wrażenie osoby rozumiejącej powagę sytuacji. Najwyraźniej zdawała sobie sprawę, że balansują teraz na krawędzi przepaści, a w związku z tym dozwolone są wszelkie środki.

Unni postanowiła rozładować napiętą atmosferę.

- Czy my musimy ciągnąć ze sobą cały ten sprzęt? - spytała beztrąsko. - Nie możemy tego gdzieś tu po prostu rzucić?

Antonio zastanowił się.

- Rzeczywiście, mamy ciężki bagaż. Spakujcie to, co absolutnie konieczne, upchnijcie po kieszeniach albo w lekkich plecakach. Zabierzcie latarki, noże i lekarstwa... I oczywiście wszystko to, co ma jakikolwiek związek z zagadką. Na przykład notatki. Same, waszym zdaniem, najpotrzebniejsze rzeczy. Czy wszyscy mają gryfy? Świetnie! Wobec tego całą resztę, owoce i pozostałe jedzenie, zostawiamy, łącznie ze zbędnym ubraniem, zapasowymi butami i kocami. Czy komuś nie podoba się ten pomysł?

Wprost przeciwnie, wszyscy z ulgą przyjęli możliwość pozbycia się ciężaru.

No bo przecież będą wracać. Zresztą zawsze mogą tu przyjść i zabrać to, co nagle okaże się niezbędne.

Unni zauważyła, że Sissi jak wiele razy wcześniej doskonale współdziałała z Miguelem. Pomagali sobie nawzajem w sortowaniu i oddzielaniu rzeczy istotnych od nieistotnych, rozmawiając przy tym i śmiejąc się. Jeśli nawet Sissi zauważyła zmianę, jaka zaszła w Miguele, to najwyraźniej ani trochę się nią nie przejęła.

Tak, tak, Sissi doskonale rozumiała swoją rolę.

Podobnie zresztą jak Juana. Została pocieszycielką Mortena, a jej poświęcenie, nawet jeśli rzeczywiście było prawdziwym poświęceniem, zostało dobrze przyjęte.

- Czy wszyscy są gotowi? - spytał Jordi, który wcześniej zajmował się bagażem Unni.

- Kto pójdzie pierwszy i wskaże drogę?

- Ja pójdę - zapalił się Morten. - Ostatnio bardzo rzadko do czegoś się przydawałem.

Unni miała wrażenie, że chłopak chce się przed kimś popisać. I rzeczywiście, Juana spoglądała na niego z wielkim podziwem.

- Dobrze, możesz być pionierem - zgodził się Jordi. Unni schodziła w dół pomiędzy braćmi Vargasami.

- A więc to tutaj mamy rozwiązać zagadkę rycerzy, przez co uwolnimy i ich, i siebie od przekleństwa. Tyle tylko, że nie pojmuję, w jaki sposób mamy to zrobić. Antonio odwrócił się i rozejrzał na wszystkie strony.

- Rzeczywiście, trudno to zrozumieć, ale gotów jestem duszę dać za to, że jesteśmy we właściwym miejscu.

- Tutaj uważaj na swoją duszę - ostrzegła Unni. - Ale zgadzam się z tobą. Rzeczywiście właśnie tę dolinę widziałam. Dotarliśmy do celu. Tylko że ona wygląda tak zwyczajnie. Jedyne tam, na górze, poczułam, że ma jednak niezwykłą atmosferę. Daje się w niej jakby wyczuć tchnienie duchów zmarłych. A teraz po prostu wędrujemy przez całkiem zwyczajny las.

Zadarła głowę i zawołała do kruka, który nagle zaniósł się ochryłym krzykiem wśród chmur:

- Przestań wykrzykiwać te swoje złowróżbne proroctwa! - A zaraz potem powiedziała: - O czym to ja mówiłam? Aha, że właśnie teraz mamy udowodnić swoją inteligencję. - Odetchnęła głęboko. - Czuję się wprost przytłoczona tak wielką odpowiedzialnością.

- To prawda - przyznał Jordi, naginając jakieś młode drzewko, żeby Unni mogła przejść. - Właściwie to dziwne, że tak wysoko w górach jest taka bogata roślinność.

- Nie jesteśmy już wcale tak wysoko - stwierdził Antonio. - A dolina jest osłonięta. Na pewno kiedyś panowały tu dobre warunki do życia, było dużo pastwisk, ale teraz oczywiście wszystko zarosło.

- To prawda, w mojej wizji las nie rósł aż tak gęsto - przyznała Unni. - Lecz dolina była opuszczona. Po domach, o ile zdołałam się zorientować, zostały jedynie resztki, fundamenty. Ale jak to możliwe, żebyśmy byli nisko? Nie pojmuję. Przecież ten ostatni tunel wyraźnie się wznosił.

- Owszem, ale teraz gwałtownie spuszcza się w dół. Zastanów się też, jak było wcześniej. Bezustannie wspinaliśmy się na wzgórza i schodziliśmy w doliny. Lecz gdybyśmy wszystko podsumowali, okazałoby się, że jednak powoli przemieszczamy się coraz niżej.

- Może i tak. Uf, straszna tu gęstwina! W takich zaroślach łatwo stracić orientację. Przyznam się, że ja już nie wiem, gdzie jesteśmy.

- Miejmy nadzieję, że Morten wie - mruknął Jordi. - Bo jeszcze wyprowadzi nas na bezdroża.

- Znając jego zdolność do popełniania głupstw, możemy liczyć na najgorsze - powiedział Antonio z ponurą miną.

Miguel i Sissi zawrócili nagle i przyłączyli się do nich.

- Gdzie Morten? - spytał zaraz Jordi.

- Nie mam pojęcia - odparła Sissi. - Pognał przodem razem z Juana, ale my musieliśmy zawrócić, bo coś się stało.

W mrocznym lesie na Miguela ledwie dało się patrzeć. Niewiele człowieczeństwa pozostało w jarzących się oczach i ściągniętej twarzy.

- Zarena mnie wzywa - oświadczył, a wtedy okazało się, że jego głos również nabrał owego głuchego podźwięku, jaki zapamiętali z chwili, gdy był Tabrisem. - Za nic w świecie nie chcę jej tu ściągać. Co robimy?

- Nie możemy prosić o radę Urraki - stwierdziła Unni krótko - bo wtedy ty ją pochwycisz. A rycerze nie mogą nam już więcej pomagać.

Gorączkowo usiłowali znaleźć jakieś rozwiązanie. Pomysł! Skąd wziąć jakiś dobry pomysł?

Zarena, żeński demon, nareszcie była już po wszystkich „reperacjach”. Niestety nie odzyskała poprzedniej mocy, gdyż w Ciemności, w klinice zmaltretowanych, zniszczonych demonów musieli, przytrzymując za nogi i głowę, rozciągać ją jak harmonię, a potem łączyć ze sobą właściwe kawałki kości, co, niestety, nie bardzo się udało.

Twarz jednak i inne istotne części zostały jako tako naprawione.

Zarena nie posiadała się ze złości na Tabrisa, który winien był jej upokorzenia, a poza tym udaremnił możliwość przybycia do Mistrza jako pierwszej z informacją, czego tak naprawdę szukają ci przemądrzali ludzie. Bardzo potrzebna jej była teraz noc spędzona z Mistrzem, a potrzebę tę odczuwała już od dawna. Podczas jej nieobecności i choroby zaspokajał na pewno jej nędzne rywalki, chociaż w porównaniu z nią nie były nic warte. Może powinna złożyć mu wizytę, skusić go swoimi wdziękami? Najwyższy na to czas, zbyt długo już czeka.

Mistrz jednak zajęty był innymi sprawami, przyjął ją, siedząc przy przesadnie wielkim biurku. Nigdy nie przy nim nie pisał, widział jednak, jak to wygląda w świecie ludzi i postanowił ich naśladować.

W pokoju czuć było żądzę. Kobiecą. Zarena wykrzywiła się ze wstrętem. Ogromnie jej to było nie w smak.

- Tabris odzyskuje swą demonią postać - oznajmił jej Mistrz podniecony. - Wyczuwam znów jego istnienie. Wkrótce dotrze do celu. Już niedługo Urraca będzie moja!

- Pluj na Urracę! - odparła Zarena wulgarnie. - Nie widzisz, że znów jestem piękna? Nie chcesz, żebym dała ci taką noc, bez jakiej dawno już musiałeś się obchodzić?

Mistrz jednak całkiem niedawno zaspokoił swoje żądze z innymi demonami i warknął niezadowolony, gdy Zarena w całej swej okazałości, naga, odsunęła jego krzesło od biurka i stanęła przed nim na szeroko rozstawionych nogach.

- Wracaj na ziemię i pilnuj Tabrisa! - nakazał jej Mistrz z kwaśną miną. - Twierdziłaś przecież, że nie wolno mu ufać. Mówiłaś, że zaprzyjaźnia się z tymi ludźmi. Nie wolno ci do tego dopuścić. A jeśli to ty wrócisz do domu z Urracą, to awansuję cię na swoją... - zastanowił się i po namyśle zmienił zdanie: - Po prostu cię awansuję.

- Sprowadzę dla ciebie tę wiedźmę w jednej chwili - obiecała Zarena. - Pozwól mi tylko na jedną małą...

- To wcale nie mała - warknął.

- Miałam na myśli jedną krótką chwilę.

- No to chodź - burknął, Zarena natychmiast się ustawiła, pochyliła w przód na biurko, czule zarzucając mu ogon na szyję, i czekała na chwilę przyjemności.

Nic jednak się nie stało.

- Bierz się do roboty! - ryknął władca Ciemności, uwalniając się z uścisków uwodzicielskiego ogona. - Nie mamy czasu do stracenia. To moja jedyna możliwość na pochwylenie Urraki. Sprowadź mi ją, jeśli Tabris nie da rady. Tak czy owak wygra ten, kto przyprowadzi ją pierwszy.

No tak, to się samo przez się rozumiało, lecz co wygrają, o tym księżę Ciemności nie wspomniał.

Zarena, ciężko obrażona, niezadowolona i pałająca żądzą zemsty wobec Tabrisa, opuściła w końcu Ciemność i przystąpiła do poszukiwań. Zaczęła krążyć ponad wyżynami Asturii i Kantabrii niczym wściekły, nadmiernie wyrośnięty szerszeń, badawczo, czujnie węsząc.

Gdzie oni ostatnio byli? Dwie grupy zmierzające jedna do drugiej. Musieli się spotkać gdzieś pośrodku.

Pośrodku czego? Jakie drogi wybrali? Że też ci ludzie są tak niezdarni i muszą podążać drogami! Nie mają skrzydeł. Używają wprawdzie tych wspaniałych, szybkich powozów, raz ku swej radości miała okazję prowadzić taką maszynę. Nie korzystała wprawdzie z kierownicy ani z pedałów i silnika, nie przestrzegła też żadnych zasad ruchu drogowego, bezrozumnie pędziła tylko naprzód, bardzo ją to jednak rozbawiło. Postanowiła, że musi to kiedyś jeszcze powtórzyć.

Najzabawniejsze ze wszystkiego były trzaski i huki, jakie się rozlegały przy tej jeździe, no i widok innych powozów, wywróconych i zmiażdżonych. Na samo wspomnienie roześmiała się do siebie.

Tak, teraz już sobie przypomniała, chociaż bardzo chciała o tym zapomnieć. Obie grupy się spotkały i poszły w góry. Tam znenawidzeni ludzie zatrzymali się na krawędzi urwiska, ona zaś od tych upiornych mnichów czy też raczej od ich zleceniodawczyni, tej nudnej, paskudnej Emmy, otrzymała rozkaz, żeby...

O czym to ona myślała? Jej myśli krążyły, wstawiały nawiasy w nawiasach. Aha, miała zepchnąć w przepaść tę niebezpieczną Unni. Zrobiła to, popełniła jednak ten błąd, że osobą, na którą się zamierzyła, nie była wcale Unni, lecz ktoś zupełnie inny. A Tabris, łajdak, ocalił tę wstrętną dziewczynę za pomocą swych nieznośnie pięknych skrzydeł. Dlaczego ona nie ma takich skrzydeł?



Znów odeszła od głównego tematu, a wszystko przez to, że nie chciała pamiętać dalszego ciągu. Że złożyła raport - doniosła, jak twierdził Tabris - Mistrzowi o tym, że Tabris bliski jest przejścia na stronę wroga, bo przecież pomagał tym nędznym ludziom.

Ach, jakże triumfowała, gdy mogła oznajmić Tabrisowi o wyznaczonej mu karze: miał pozostać człowiekiem aż do czasu...

Potworne oblicze Zareny pociemniało. Któż mógłby przypuszczać, że Tabris wpadnie w tak bezlitosny gniew i ze złości połamie jej skrzydła, a potem zrzuci ją z potwornej wysokości?

Ale teraz nadszedł czas zemsty.

Ze świstem uderzała skrzydłami, krążąc nad górami. Oto przepaść, w którą zepchnęła tę dziewczynę. Stąd musieli iść... Tak, teraz już to pamiętała.

Obszar nie był zbyt duży, otaczały go wysokie góry, przez które przeprowić się nie mogli. Ale tam widać las, pośrodku którego wznosi się góra, na której zobaczyła tego stwora przypominającego trolla. On jednak nie był w stanie zaspokoić jej żądz, więc przestała się nim interesować. Teraz zresztą gdzieś zniknął i, doprawdy, ten piękny zielony las jakoś dziwnie się zmienił. Co tu się mogło stać?

Postanowiła przyjrzeć się mu z bliska.

W pewnym oddaleniu dostrzegła jeszcze inną dolinę, nie mającą z żadnej strony połączenia ze światem. Mogła ją sobie zostawić na później, nie wyglądała na w żaden sposób ważną.

Ważniejszy jest ten zwiędły las.

Co najmniej po raz pięćdziesiąty przesłała sygnały Tabrisowi, ale on znów nie odpowiedział.

Naprawdę nie słyszał jej wezwań? Czy też po prostu nie chciał ich słyszeć?

Gdzie on, u czarta, się podziewał? Czekaj, Tabrisie, czekaj, tym razem zemsta będzie okrutna!

Cztery olbrzymie, bijące skrzydłami wrony pojawiły się wśród błękitu czy też raczej wśród szarej niebieskości.

- Wstrzymaj się na chwilę, o piękna! Pamiętasz nas? To my sprowadziliśmy cię na ziemię po raz pierwszy.

Ach, te przebrzydłe stwory! Zarena zatrzymała się w powietrzu.

- Nie było was kiedyś więcej?

- O, tak, lecz nie mówmy o tym. Piękna kobieto - demonie, czy możesz nam pomóc? Odebrano nam naszą zdolność widzenia, nie możemy odnaleźć tych, których ścigamy. Czy nigdzie w pobliżu nie zauważyłaś siedmiu ludzkich gadów?

Siedmiu, pomyślała Zarena. To oznacza, że Tabris wciąż jeszcze jest z nimi. Oby utonął w całej mierzwie Ciemności!

- Nie - odpowiedziała. - Nie, na razie jeszcze nie. Wiem jednak, że są gdzieś w pobliżu. Gdzie widzieliście ich ostatnio?

Mnisi wytłumaczyli.

- Mogę więc zgadywać - stwierdziła Zarena. - Musi gdzieś istnieć jakiś potajemny korytarz... Lećcie za mną! Mamy wspólny cel.

Przyspieszyła.

- Zaczekaj, o najpiękniejsza na niebie, ziemi i... Bardzo prędko fruniesz!

- Uczepcie się więc mojego ogona! Mnisi usłuchali.

Na szczęście wszyscy byli niewidzialni.

- Zarena jest w pobliżu? - spytała cicho Sissi.

Stali w ukrytej dolinie, wśród drzew obrosniętych wiecznie zielonym bluszczem.

Miguel patrzył na Sissi swymi nowymi jarzącymi się oczami. Dziewczyna nawet o cal nie odwróciła wzroku. Otrzymała wskazówki od Unni, choć zawoalowane, rozumiała powagę sytuacji i konieczność właściwego zachowania.

Miguel wciąż z oczami wbitymi w Sissi odpowiedział:

- Jeszcze jej tu nie ma, ale krąży niedaleko. Odwrócił się do Jordiego.

- Mogę się ukryć. Was również, wiecie już, jak. Ale do tego muszę stać się Tabrisem, i to w pełni.

- Jesteś w stanie to zrobić?

- Owszem, w tym miejscu już tak. Ale wtedy będę bezlitosny. Już się nim staję, choć się przed tym opieram.

- Wiemy o tym i jesteśmy ci za to szczerze wdzięczni.

- Najważniejsze teraz jest chyba złapanie naszych „przewodników” - powiedziała Unni. - Trzeba ich dogonić i osłaniać.

- Masz rację - przyznał Antonio. - Spróbujmy ich zawołać, wszyscy razem.

Z rękami przyłożonymi do ust jak megafon zawołali:

- Morten! Juana! Opuścili ręce.

- Pst! Słyszeliście? - spytał Miguel, obdarzony chyba najlepszym spośród nich słuchem.

- Co takiego? - spytała Unni.

- Ja też słyszałam - powiedziała Sissi z ożywieniem. - Takie słabe echo, jakby odbite od metalu.

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

- Kościelny dzwon? - spytał Antonio z niedowierzaniem. - Czyżby przetrwał? To znaczy, czy wciąż jeszcze ma w sobie dźwięk? Sądziłem, że będzie raczej spoczywał do połowy zakopany w ziemi.

- On jest gdzieś tuż koło nas - skonstatował Miguel. - Ale gdzie? Z której strony?

Rozejrzeli się w koło. Drzewa stały w milczeniu, oplataną bluszczem roślinność wydawała się jeszcze gęściej szać.

- Krzykniemy jeszcze raz? - spytał Antonio.

- To w niczym nie pomoże - odparła Unni.

- Nigdy nie wolno się poddawać - oświadczył Antonio pouczającym tonem. - Należy próbować, próbować i jeszcze raz próbować.

- Chyba że się gra w rosyjską ruletkę - stwierdziła cierpko Unni.

Jordi wybuchnął nagłym śmiechem, który właściwie był całkiem nie na miejscu w tej ponurej sytuacji. Pozostali mu zawtórowali.

Gdy wreszcie się uspokoił, Miguel powiedział:

- Nie powinniśmy więcej wołać. Zarena może nas usłyszeć. Chodźcie, idziemy na poszukiwania. Będziemy wypatrywać kościoła, a jednocześnie naszych znakomitych przewodników.

Zaczęli się przedzierać przez coraz gęściejszy las liściastych drzew, których gatunku, choć nie miały one w sobie nic szczególnie niezwykłego, nie potrafili określić.

Okazało się to jednak trudne, ponieważ drzewa pozbawione były liści, a pnie wielu gatunków są przecież do siebie podobne. Poza tym w większości porastał je bluszcz. W końcu już zmęczeni trudną wędrówką zatrzymali się na chwilę.

- Czyżbyśmy zabłądzili? - zaniepokoiła się Unni.

- Nie, przecież widać góry dookoła. Tam wysoko znajduje się wejście do naszego skalnego korytarza, którym przyszliśmy.

- No tak, oczywiście. Czy możemy na chwilę tu usiąść? Okropnie rozbolały mnie nogi, zgłodniałam i... No tak, oczywiście, jedzenie zostało na górze.

- Pobiegnę po nie - zaproponowała Sissi. - To prosta droga, musieliśmy krążyć w koło.

- Nie, lepiej ja pójde - powiedział Miguel.

- Ty się nie powinieneś pokazywać. Najlepiej pójde ja - postanowił Jordi. - Zaczekacie tutaj?

Przysiedli na kamieniu, jakby specjalnie dla nich przygotowanym. Antonio wyjął telefon komórkowy i wykręcił numer Mortena.

Sygnal najwyraźniej dotarł, lecz nikt nie odbierał. Potem połączenie zostało nagle przerwane.

Antonio, jakby chcąc się pocieszyć, powiedział:

- To właściwie bardzo dziwne, ale być może oni odkryli coś i nie chcieli, żeby dźwięk komórki cokolwiek zakłócał. Pewnie wkrótce dadzą nam znać.

Wszyscy czworo jednak siedzieli z ponurymi minami, zatopieni w myślach. Sytuacja była ze wszech miar niejasna.

- Spróbuj jeszcze raz - poprosiła Sissi.

Antonio ponownie zadzwonił. Tym razem odezwał się kobiecy głos, który oznajmił, że „abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem”.

- Bardzo dziękujemy - odpowiedział Antonio. - Słaba to dla nas pociecha.

Robiło się coraz straszniej. W dolinie, doskonale skrywającej swoje tajemnice, panowała niezwykle cisza.

Sissi siedząca przy Miguelu wyjątkowo czuła się żałośnie przygnębiona. Od Miguela biło coś, co niczym skondensowaną falą przepływało w jej ciało i oddziaływało na nią w sposób, którego chciała, a zarazem nie chciała.

Skończyła z Mortenem. Tak naprawdę stało się to już dawno. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że właściwie nie żywiła dla niego żadnych gorętszych uczuć, chociaż z początku ją oczarował. Później jednak nawet ta mała iskierka powoli zaczęła przygasać.

Z Miguelem było inaczej. Wiedziała dobrze, że między nimi nigdy do niczego nie może dojść. Nie przeszkadzało to jednak w tym, by ją fascynował, zarówno jako Miguel, jak i Tabris. Ponieważ jednak był wielką miłością Juany, Sissi myślała o nim jedynie jak o przyjacielu i nikim więcej. Lojalność nie pozwalała się posunąć dalej nawet w myślach.

Teraz jednak wszystko się odmieniło. Unni twierdziła, że Miguel wcale nie ma słabości do Juany, lecz właśnie do niej, do Sissi. Zdaniem Unni Sissi nie powinna mieć żadnych wyrzutów sumienia w stosunku do Juany. Zresztą Sissi sama zauważyła, jak łatwo młoda Hiszpanka przelała swoje uczucia na Mortena, bo „tak bardzo było go jej żal”. On również natychmiast uległ jej podziwowi. Juanie przydałaby się mała przygoda z Mortenem, a gdyby rozwinęła się w coś więcej, również nie byłoby źle, pod warunkiem, że Morten zachowałby się jak mężczyzna i nie uciekł z pierwszą napotkaną blondynką.

Mój Boże, ona tu siedzi i rozmyśla o przyszłości, której przecież wcale nie mają przed sobą. Bo jeśli nawet uda im się rozwiązać zagadkę rycerzy, Tabris i tak wszystkich zabije.

Sissi przeniknął dreszcz, gdy uświadomiła sobie w pełni, jaki ciężar Unni złożyła na jej barki. Nagle zdała sobie sprawę, że słabością Miguela jest właśnie ona. Przypomniała sobie, jak wziął ją za rękę i wyciągnął na ląd, gdy przeprawiali się przez rzekę. „Niezła jesteś” - powiedział. Niby zwyczajne słowa, ale ten wyraz jego oczu... ?

I inne wspomnienia, jeszcze dawniejsze. Uśmiech świadczący o wzajemnym zrozumieniu, ich współpraca, szacunek, jaki jej okazywał. Traktowała to wyłącznie jako coś w rodzaju podziwu dla jej sportowych osiągnięć, bo on należał do Juany i koniec.

Teraz patrzyła na to wszystko w inny sposób. Przecież on zawsze starał się znaleźć w jej pobliżu. Ten błysk irytacji w jego oczach, gdy Juana starała się ich rozdzielić...

Teraz oboje byli wolni. A sytuacja stała się beznadziejna, absolutnie beznadziejna. Sissi dostrzegła już w nim rysy Tabrisa, a wiedziała, że gdy Miguel całkiem przeistoczy się w demona, to wszystko przepadnie. W jaki sposób mogła utrzymać go w postaci Miguela, skoro on sam za nic na świecie nie chciał pozostać człowiekiem?

Unni wymagała od niej za wiele.

Nareszcie wrócił Jordi. Wyglądał na ogromnie zdumionego.

- Jedzenie... Owoce i cała ta reszka, jaką mieliśmy... wszystko zniknęło! Przepadł też ciepły sweter Unni. Wiesz, ten ładny, który mama zrobiła ci na drutach. No i co z tym jedzeniem, które gdzieś zginęło?

- Co ty opowiadasz? - wykrzyknął jego brat. - Myślisz, że to Morten i Juana?

- Ależ skąd! Morten wprawdzie jest odrobinę aspołeczny, za to Juana ma ogromne poczucie sprawiedliwości. Wydaje mi się zresztą, że Morten nie ma już najmniejszej ochoty na owoce. A poza wszystkim oni poszli dokładnie w przeciwnym kierunku. Muszą być gdzieś w drugim końcu doliny.

Zapadła wielka cisza.

Nie wiedzieli tego, lecz ze wszystkich stron otaczali ich wrogowie. Pięć różnych grup lub pojedynczych osobników.

A nawet sześć, jeśli wliczyć w to Tabrisa.

Tej prawdzie jednak nie chcieli spojrzeć w oczy.

Nagle zadzwonił telefon Antonia.

- No, nareszcie się odezwali! - westchnął. Ale to nie był Morten.

- Telefon z Norwegii - powiedział Antonio.

- Vesla - uśmiechnął się Jordi.

Ale to również nie dzwoniła Vesla. Połączenie ze względu na otaczające ich wysokie góry było bardzo słabe, lecz wkrótce jasne się stało, że telefonuje Inger Karlsrud, matka Unni.

Antonio słusznie uznał to za zły znak.

Vesla poprzedniego wieczoru położyła się z uczuciem, że nie wszystko jest jak należy, Uczucie to było bardzo niejasne. Nie potrafiła nazwać go słowami, dokuczał jej jakby lekki niepokój w całym ciele, w każdym najdrobniejszym naczyniu krwionośnym. Objawiał się niewielkim bólem głowy i wrażeniem, że ciąży jej ręce i nogi.

Długo nie mogła zasnąć. Czuła, że dziecko się porusza, a to zawsze przynosiło jej ulgę, bo wiedziała, że żyje.

Vesla mieszkała teraz u Inger i Atlego Karlsrudów. Rodzice Unni nalegali na to, a ona bardzo się z tego cieszyła. Po pierwsze, omijała ją dzięki temu niepewność łącząca się z samotnym przebywaniem w dużej willi, w dodatku w przypadku dość trudnej ciąży i przy świadomości, że być może jacyś przeciwnicy rycerzy wciąż przebywają na terenie Norwegii.

Po drugie, omijały ją telefony i wizyty matki.

Wizyt tych co prawda nie było aż tak wiele, ponieważ pani Ødegård nie odpowiadał stan córki. Gorsze były rozmowy telefoniczne. Na szczęście matka nie miała numeru telefonu komórkowego Vesli, dziewczyna zaś nigdy nie odbierała normalnego telefonu, choć dzwonił często w ciągu dnia w czasie, gdy rodzice Unni wychodzili do pracy.

Pani Ødegård telefonowała jednak co wieczór i wcale nie po to, żeby dowiedzieć się, jak się czuje córka. Przez cały czas wylewała z siebie potok zarzutów, oskarżając Veslę o niewdzięczność, o to, że nie odwiedza biednej matki, skarżąc się, że nie może znaleźć żarówek, których zresztą nie umie zmienić i musi po omacku przechodzić przez korytarz, no bo przecież nie może sama wejść na stołek, gdyż to mogło być zbyt niebezpieczne, a poza tym przydałaby jej się butelka czerwonego wina do niedzielnego befsztyka, lecz nie wystarcza jej na to z emerytury...

Skargi brali na siebie Inger lub Atle, gdyż „Vesla spała lub nie czuła się zbyt dobrze albo właśnie wyszła na spacer?”. Cały czas tłumaczyli natarczywej kobiecie nieobecność Vesli, próbując ją jednocześnie uspokoić. Nie zapraszali jej jednak do siebie, ponieważ raz spróbowali i wizyta zamieniła się w koszmar.

Dla Vesli cudownie było mieszkać wśród takiej troskliwości.

Rano w dniu, w którym Antonio i jego przyjaciele rozpoczęli Wędrówkę przez długi skalny korytarz w stronę doliny rycerzy, Vesla obudziła się z uczuciem, że w łóżku jest ciepło i mokro.

To za wcześnie, uświadomiła sobie z przerażeniem. Ponad miesiąc za wcześnie! Wprawdzie nie była to katastrofa, bo w obecnych czasach w szpitalu łatwo o pomoc, ale bardzo chciała donosić ciężę, tak przecież o wiele lepiej dla dziecka.

Gdy jednak zobaczyła, że leży we krwi, ogarnęła ją trwoga. Popatrzyła na zegarek. Państwo Karlsrudowie na pewno jeszcze nie wyjechali do pracy. Zaczęła wołać i Inger zaraz przybiegła.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Vesla w rekordowym czasie została odwieziona do szpitala, gdzie zajęli się nią lekarze i pielęgniarki, natychmiast przeprowadzając badania.

Vesla nie pozwoliła Karlsrudom dzwonić do Antonia. Wiedziała, że rozpoczęła się już końcowa faza poszukiwań i nie chciała go obarczać dodatkowymi troskami.

Inger jednak mimo wszystko próbowała dzwonić, lecz bez rezultatu, bo Antonio wędrował wtedy przez skalny korytarz. Nie odpowiadał również telefon Unni.

Inger poważnie się zaniepokoiła, lecz nie powiedziała o niczym Vesli, którą pozostawiono w szpitalu na obserwacji. Jej lekarz w pełni kontrolował sytuację, nie było więc powodów do lęku, tak przynajmniej twierdził. Personel szpitala jednak był gotów do natychmiastowej interwencji, gdyby zaszła nieoczekiwana zmiana w niewłaściwym kierunku. Teraz pozostawało tylko czekanie.

Tak właśnie wyglądała sytuacja, gdy Inger nareszcie nawiązała kontakt z Antoniem.

Prędko się przekonała, że być może postąpiła źle. Antonia słowa lekarza wcale nie uspokoiły.

Tymczasem pobyt w szpitalu miał dla Vesli całkiem nieoczekiwane konsekwencje...

Prędko stwierdzono, że cierpi na wyraźną anemię i właściwie dobrze by było przeprowadzić transfuzję.

Okazało się jednak, że Vesla ma dość rzadko spotykaną grupę krwi i szpital ma jej zbyt mało w zapasie. Spymano ją natychmiast o bliskich krewnych.

Vesla miała tylko matkę. Pani Ødegård była jednak najprawdopodobniej właściwą osobą, Vesla bowiem знаła grupę krwi swego ojca, bo przecież pielęgnowała go przez tyle lat.

Powiedziała jednak lekarzowi, że matka raczej nie zgodzi się na transfuzję.

Doktor był upartym człowiekiem i mimo wszystko zadzwonił. I zaraz usłyszał płomienną tyradę z ust pani Ødegård.



O nie, w żadnym wypadku, ona nikomu nie odda swojej krwi. Sama potrzebuje jej o wiele bardziej, jest przecież słaba, chora i delikatna, a poza wszystkim ma krew zupełnie innej grupy niż Vesla, A plus, tak jak jej mąż.

- To niemożliwe - wyjaśnił lekarz. - Chyba że ojcem Vesli był tak naprawdę inny mężczyzna.

- Zarzuca mi pan niewierność? O, doprawdy, posuwa się pan za daleko...

I z ust pani Ødegård popłynęła cała historia. Kobieta nie życzyła sobie żadnych tego typu oskarżeń i przestała zważać na słowa.

Z całej jej długiej przemowy dotyczącej głównie nieludzkich cierpień, jakie musiała znosić - a których w rzeczywistości trudno było się doszukać - lekarz wyciągnął jedną istotną informację: Otóż pani ta poślubiła Ødegårda, wdowca z małą córeczką, niemowlęciem, ponieważ miał on bogatego brata, który wciąż żył, a Ødegård miał odziedziczyć po nim wszystko, było to napisane czarne na białym. Ojciec Vesli zmarł jednak, nie zdążywszy odziedziczyć czegokolwiek. Jego choroba i śmierć były bardzo trudne, lecz Vesla została jedyną spadkobierczynią, a pani Ødegård zostanie spadkobierczynią po Vesli, prawda? Jeśli córka umrze pierwsza. No, tak, bo gdyby nie ten spadek, nigdy nie poślubiłaby Ødegårda, wdowca z małym dzieckiem. Jeśli nic nie odziedziczy, cała jej ofiara pójdzie na próżno!

Lekarz nie bardzo mógł pojąć, jaki związek z transfuzją ma cała ta opowieść. Udało mu się jednak zakończyć rozmowę z panią Ødegård, gdy musiała na moment umilknąć, żeby zaczerpnąć oddechu. W myślach podjął decyzję, że tej kobiecie należy jak najprędzej zapewnić pomoc psychiatryczną, gdyż tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Krew udało się sprowadzić z innego szpitala. Tymczasem lekarz jednak, człowiek o gorącym sercu, opowiedział Vesli o wszystkim, a ona rzuciła mu się na szyję, płacząc z radości, że nie jest jednak rodzoną córką upiornego babska, z którym męczyła się przez całe życie.

Lekarz uściskał ją ze słowami: „Uratujemy dziecko i ciebie, o nic nie musisz się bać. Ale zatrzymamy cię tu aż do porodu. W ostatnich miesiącach i tak miałaś już za dużo kłopotów”.

Vesla usiłowała dodzwonić się do Antonia, ale połączenie okazało się niemożliwe.

Tego samego dnia później po południu poczuła się źle i tym razem sytuacja stała się naprawdę poważna. Tak prędko rozwój wypadków zaskoczył nieco personel szpitalny, przez pewien czas zastanawiano się nawet nad cięciem cesarskim, postanowiono jednak zwlekać jak najdłużej.

W końcu wszystko rozwiązało się samo.

Wieczorem przyszło na świat dziecko Vesli i Antonia. Śliczny chłopczyk o czarnych włosach, takich jak miał jego ojciec. Pomimo licznych prób nie udało się nawiązać kontaktu z Antoniem. Wielka szkoda, bo Vesla bardzo chciała powiadomić go o narodzinach syna. Inger Karlsrud uspokajała ją jednak, że Antonio wraz z całą grupą znajduje się teraz w dolinie otoczonej wysokimi górami. Rozmawiała przecież z nimi wcześniej tego dnia, a rozmowie towarzyszyły nieustanne zakłócenia. Vesla nie musiała więc się martwić, że Antoniowi przydarzyło się coś złego, po prostu znajdował się na obszarze, „na którym nie ma zasięgu”, jak informował głos automatycznej sekretarki.

Chłopczyka natychmiast umieszczono w inkubatorze, lekarz jednak twierdził, że to silny, rwący się do życia malec i że niedługo będzie go można stamtąd zabrać.

Vesla śmiała się, lecz ze łzami w oczach.

- Na wszelki wypadek... proszę mu nadać imię! Już o nim zdecydowaliśmy. Mały będzie się nazywał Jordi.

Przynajmniej jeden Jordi Vargaś zostanie na ziemi, pomyślała ze smutkiem. Antonio bowiem powiedział jej, który z braci ma nie wrócić do domu.

Nie wspominał natomiast, że Tabris i tak zamierza zabić wszystkich.

Morten chciał iść w jednym kierunku, Juana w drugim. Ponieważ jednak była uległą osobą, poszła za nim. Morten posuwał się przed nią miękkim krokiem, tropiąc jak Indianin, i był ogromnie dumny z tego, że wynajduje najłatwiejszą do przebycia drogę. Nie obchodziło go najwyraźniej wcale, że nigdzie nie widać żadnego kościoła. Najważniejsze, że był tropicielem.

- Nie zaczekamy na resztę? - spytała Juana.

- Jak się odłączą, to zadzwonią.

- No tak. Czy to nie ty masz „Toccatę i fugę d - moll” Bacha jako dzwonek w komórce?

- Nie, zmieniłem ją na „Dzikość serca”.

Juana nie była przekonana, że ten sygnał akurat najlepiej pasuje do Mortena. Lepsza byłaby „Dzikość głowy”. Morten ciągnął z przekonaniem:

- Zresztą na pewno pójdą po naszych śladach. Zostawiam im znaki, ułamane gałązki i strzałki narysowane czubkiem buta. Robiliśmy tak w harcerstwie.

Juana już chciała zauważyć, że nie jest to żaden harcerski bieg, ale milczała. Wiedziała, że Morten nie najlepiej czuje się teraz w grupie, uważa, że nikogo nie obchodzi, przecież nawet Unni tak mówiła. Nie chciała więc czynić mu żadnych wyrzutów.

Najbardziej potrzeba mu otuchy.

- Chyba świetnie się na tym znasz - powiedziała ciepło. - Potrafisz mnóstwo praktycznych rzeczy.

Morten zastanowił się, czy jest tak naprawdę. Nie był o tym do końca przekonany. Często wydawało mu się, że wiele potrafi dokonać i że jest obdarzony talentem praktycznym i technicznym, ale właściwie ze wszystkiego powstawał w końcu tylko bałagan. A Antonio się złościł.

Ale od słów Juany cieplej zrobiło mu się na sercu. To rzeczywiście niegłupia dziewczyna. I ładna, chociaż ciemnowłosa. Trochę bezradna i bezbronna, taka jak powinna być jego dziewczyna. Nie świetna we wszystkim tak jak... Nie, nie, nie trzeba wracać do przeszłości, tylko myśleć w przód!

Przystanął, żeby poczekać na Juanę, i po przyjacielsku objął ją za ramiona.

- Co ty właściwie widzisz w Miguelu? - spytał. Juana też już zaczęła zastanawiać się nad tym samym.

- To oczywiste, że on jest fascynujący - przyznała - ale o wiele lepiej byłoby, gdyby był prawdziwym mężczyzną. Unni ma rację, twierdząc, że jakikolwiek romans z nim byłby z góry skazany na niepowodzenie. I to nawet jeszcze zanim by się zaczął. Utemperowałam więc swój entuzjazm. Okej, przyznaję, że pierwszy raz w życiu się zakochałam, ale moje uczucie było do tego stopnia nieodwzajemnione, że natychmiast ochłodziło. Naprawdę tak się stało - zakończyła ze zdumieniem, bo teraz rzeczywiście zdała sobie z tego sprawę. W ostatnich dniach nie interesowała się tak bardzo Miguelem, a Morten to przecież bardzo sympatyczny chłopak. A że stale coś mu się nie udaje, to wyłącznie przez to, iż jest taki młody.

W tym momencie Juana jak większość innych w grupie zapomniała, że Morten ze swymi prawie skończonymi dwudziestoma pięcioma latami zalicza się do najstarszych wśród nich. Zatrzymała się nagle.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? I gdzie jest reszta? Morten w końcu zorientował się, że chyba zabłądzili.

- Hm - mruknął, próbując udawać, że nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. - Wygląda na to, że mamy przed sobą ten drugi wąwóz, ten, który się zawalił. Chyba nie tam należałoby szukać kościoła, prawda?

- Raczej nie - zgodziła się z nim Juana.

Czyż nie ustalili, że kościół znajduje się raczej gdzieś pośrodku doliny? Że kryje się w tym zielonym, porośniętym bluszczem wzgórzu? Jak oni, na miłość boską, zdołali zawędrować aż tutaj? Morten nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to on ponosi winę za ten błąd.

- To znaczy, że powinniśmy iść teraz w lewo - oświadczył mężnie. - Tym razem to powinien być właściwy kierunek.

Juana nie zdążyła wyrazić swego zdania, bo nagle ktoś brutalnie wykręcił im obojgu ręce do tyłu, prędko je związał, a usta zakleił im taśmą.

Stanęła przed nimi Emma. Jej jasnoszare oczy jaśniały w poczuciu triumfu, a zmaltretowane włosy sterczały na wszystkie strony, przyciągając uwagę utlenionymi jasnymi koniuszkami.

- Mamy więc parę zakładników, wałęsających się we dwoje. Wpadli prosto w pułapkę - powiedziała głosem słodkim jak miód, a zaraz potem lodowatym tonem dodała: - Zasłońcie im oczy, chłopcy!

Zdążyli jeszcze zobaczyć Alonza w za krótkich, jakby dzieciennych spodniach, na których w dodatku widniała z przodu plama, nie dająca się pomylić z niczym innym, Kenny'ego, trzymającego się ręką za spuchnięty lewy bark, z grymasem bólu na twarzy, i Tommy'ego bez kurtki, chociaż wiał chłodny górski wiatr.

Żałosna gromadka, nieprzygotowana do trudnych górskich przepraw.

Potem światło dnia zgasło dla Juany i Mortena, bo zasłonięto im oczy.

Zadzwoiła komórka Mortena. Emma prędko wyłuskała mu ją z kieszeni i czym prędzej wyłączyła.

Było już po południu. Antonio i jego przyjaciele siedzieli na kamieniu wśród gęstego lasu i zastanawiali się, jak sobie dadzą radę bez jedzenia. I gdzie podział się Morten z Juana? Zadawali sobie też pytanie, czy pomylili doliny i czy cała ta historia z rycerzami nie jest od początku do końca czymś wymysłem.

Unni wyczuła, że siedzący obok niej Miguel chciałby coś powiedzieć, lecz że ma kłopoty z wyduszeniem tego z siebie.

Bardzo nie podobały jej się zmiany zachodzące stopniowo w jego wyglądzie. Ten, który siedział koło niej, nie był już urzekająco przystojnym Miguelem, nawet jego ręce zaczęły się zmieniać, paznokcie się wydłużyły, kostki zaczęły ostrzej rysować się pod skórą, a ścięgna były napięte jak struny.

Bała się, do czego to może doprowadzić. Czy jednak da się temu zapobiec?

- Co się stało, Miguelu?

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Unni natychmiast wstała, odeszli na bok tak, żeby nikt ich nie słyszał. Drzewa odgrodziły ich od towarzyszy.

Miguel czy też już Tabris, trudno było stwierdzić, z kim Unni ma do czynienia, westchnął niecierpliwie i wziął się w garść. Głos również mu się odmienił, brzmiał teraz głęboko i ochryple.

- Unni... nie mogę zapobiec temu, co się stanie w przyszłości. Muszę ci to powiedzieć, nim będzie za późno. Chciałbym tylko podziękować i prosić was o przebaczenie. Czy przekażesz to wszystkiemu pozostałym? Chodzi mi przede wszystkim o Sissi. To bardzo boli, Unni, jesteście tacy...

Więcej powiedzieć nie zdołał.

Unni wyjątkowo ośmieliła się go uściskać. Miguel przyjął ten gest i również ją objął, wtulając policzek w jej włosy.

Unni serce mocno waliło w piersi. To była, doprawdy, dziwaczna sytuacja i dziewczyna doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Niezwykłe było poczuć go tak blisko, zwłaszcza teraz, gdy powoli odzyskiwał demonią postać.

Szepnęła:

- Przekażę to innym, ale uważam, że Sissi sam powinienęś powiedzieć.

Miguel natychmiast od niej odskoczył.

- Nie, nie mogę, ona nie wie, że...

- Ależ wie, wie! Sissi! - zawołała. - Czy mogłabyś tutaj przyjść?

- Och, nie! - jęknął Miguel przerażony.

- Ależ tak! - odparła Unni, odchodząc, gdy tylko zobaczyła zdziwioną Sissi.

- Powiedz mu coś miłego - szepnęła jej w przelocie. Miguel stał zaskoczony i nagle nie mógł znaleźć słów. Całym jego ciałem targała zachodząca w nim przemiana. I ze wszystkich sił musiał walczyć, by powstrzymać to, co się działo.

Z rozpaczą popatrzył za Unni.

Sissi natychmiast zrozumiała, że musi mu być trudno. Zdawała też sobie sprawę, iż jest jedyną osobą, która, być może, jest w stanie ich ocalić od wyroku śmierci wydanego na nich przez Tabrisa. Tylko jak to zrobić?

Miała przecież do czynienia z niezwykle mocami!

- Miguelu, bardzo chciałabym ci podziękować za wszystko, co dla nas robisz. Spędziliśmy razem naprawdę miłe chwile.

Miguel przełknął ślinę.

- Ale ty niczego nie rozumiesz.

- Ależ tak, wiem, że musisz wykonywać rozkazy, które ci wydano. I jest nam z tego powodu ogromnie przykro, bo przecież chcemy żyć.

Przekłęta Unni, która wciągnęła mnie w tę sytuację, pomyślał Miguel. Mocno nabrał powietrza, jakby ze szlochem.

- Nie wiem, co mam robić, Sissi. Nie chcę być człowiekiem. Nie chcę utracić wszystkich swoich zdolności demona. Ale nie chcę też wracać do Ciemności. Chciałbym być demonem na ziemi, a to niemożliwe.

- Miguelu, czy mogę cię uściskać tak jak Unni?

- Nie, nie, nie rób tego, bo wtedy cały mój opór przeciwko tej zmianie pęknie i odzyskam swoje prawdziwe ja. I tobie też nie będę mógł się oprzeć.

Sissi zrozumiała, że to rzeczywiście mogłoby się zakończyć katastrofą.

Mój Boże, jakież to wszystko skomplikowane! Uśmiechnęła się do niego ze smutkiem.

- Dobrze, nie zrobię tego, ale wydaje mi się, że wiemy już, jak to z nami jest.

Uśmiech Miguela zmienił się w grymas bólu i smutku.

- Dziękuję ci, Sissi i wybac mi, jeśli możesz!

- Mam do ciebie na koniec tylko jedną prośbę. Chciałabym, żebyś zapamiętał mnie, nas wszystkich, na całą wieczność.

Wtedy Miguel się odwrócił. Sissi widziała, że jego klatka piersiowa podnosi się i opada w ciężkim oddechu. Wiedziała, że w momencie, gdy Miguel zmieni się w Tabrisa, będzie złym demonem nie znającym litości.

- Chodź, wracamy do reszty - powiedziała cicho. W pełni zdawała sobie sprawę, że nie udało jej się zmienić jego zamiarów.

A mimo wszystko tak bardzo go lubiła. Trwało to już od dawna, choć nie chciała się do tego przyznać. Uznała, że Miguel jest w pewnym sensie własnością Juany, i wiadomość, że nic go nie łączy z Hiszpanką, wywołała w niej prawdziwy szok, który przeniknął ją niczym gorąca fala, a potem jeszcze mocniej się rozpałił i zapiekł pod skórą.

Ach, gdyby on mógł pozostać Miguelem! Na to jednak najwyraźniej było już za późno.

Sissi nie chciała umierać, tak samo jak wszyscy jej przyjaciele. Starali się jednak o tym nie myśleć i powtarzali sobie w duchu, że poty życia, póki nadziei Sissi nie przychodziło to jednak z taką samą łatwością. Ona bowiem naprawdę pokochała Miguela i nie mogła znieść myśli, że przyjdzie jej zginąć z jego ręki. Nawet jeśli będzie to ręka Tabrisa. Z tym za nic pogodzić się nie mogła.



Rozgorączkowana Zarena krążyła ponad ukrytą doliną. Wiedziała już, że trafiła we właściwą okolicę, powiedział jej o tym wyczulony węch. Wiedziała, że jest blisko celu, lecz dokładnego miejsca nie mogła znaleźć.

Próbowała węszyć. Wiedziała też, że zdrajca Tabris, którego nienawidziła ponad wszystko, przebywa razem z tymi nędznymi ludzkimi robakami, lecz Tabris był teraz człowiekiem i nie wydzielał już owego szczególnego zapachu, wyczuwalnego jedynie dla istot z rodu demonów.

A ludzie... Hm, nie mieli zbyt ciekawego zapachu, przynajmniej z daleka.

Mnichów Zarena pozbyła się już wcześniej, strącając ich ze swego ogona kilkoma mocniejszymi machnięciami. Muszą sobie radzić sami, i tak dużo już im pomogła.

Cudownie móc się ich pozbyć i nie wysłuchiwać dłużej ich bezczelnych komentarzy o tym, jak wygląda od tyłu. Możliwe nawet, że trochę się podniecili, ale co jej po tych zaschniętych staruchach, łaskotaliby ją tylko jak zapalki.

Była teraz tak rozpalona, że przyjęłaby nawet Tabrisa, tego przeklętego zakłamanego demona wolnej woli!

O, nie, nie! Nigdy by sobie na to nie pozwoliła! Przecież to on ją okaleczył, w dodatku do tego stopnia, że Mistrz nie chciał jej nawet tknąć!

Ale Tabris jeszcze się doigra. Prędzej czy później uda się jej go dopaść. Musi mieć jakiś czuły punkt. Może skrzydła? Tak, jego wspaniałe skrzydła! Gdyby zdołała je zniszczyć...

Zarena śmiała się do siebie, myśląc o mnichach, o tym, jak rozpierzchli się na wszystkie strony, gdy ich z siebie strząsnęła. Z wrzaskiem bijąc skrzydłami jak wystraszone wrony, pozęglowali ponad doliną i powpadali każdy na inne drzewo.

Miała nadzieję, że porządnie się potłukli.

Ale gdzie są ci nędznicy, których miała odnaleźć? Musi przecież wcześniej niż Tabris przybyć do Mistrza z informacją o tym, czym się zajmują. I musi sprowadzić ze sobą Urracę.

A najgorsze, że Tabris zyskał nad nią olbrzymią przewagę.

Sissi przygnębiona dosiadła się do przyjaciół na kamieniu. Antonio doszedł do wniosku, że muszą chyba wyruszyć na poszukiwania Mortena i Juany. Kilkakrotnie próbował do nich dzwonić, odpowiadał mu jedynie damski głos oświadczający, że abonent jest niedostępny.

- Dziękuję bardzo, o tym już wiemy - mruknął Antonio.

Na twarzy Jordiego pojawił się nagle wyraz jakby zdziwienia. Popatrzyli na niego pytająco. A Jordi nie przestawał wodzić dłońmi wzdłuż brzegu kamienia.

- Wstań, Unni - powiedział nagle, a dziewczyna, chociaż zdziwiona, usłuchała. - Tak!  
- wykrzyknął. - Jest jeszcze jedno miejsce spojenia! Nie siedzimy na zwyczajnym kamieniu. To jest murowane!

Natychmiast wszyscy bardzo się ożywili.

Po zerwaniu trawy i mchu ich oczom ukazał się długi niski mur, a właściwie było to coś więcej niż tylko mur. Przypominało przede wszystkim posadzkę.

- To mur domu? - spytała Sissi.

- Chyba czegoś innego, jest większe - odparł Antonio.

- Ale nie widzę żadnego kościoła. Czyżby zapadł się pod ziemię?

Miguel zdążył już przejść tam, gdzie las rósł najgęściej, i przecisnął się pomiędzy pniami.

- Chodźcie! - zawołał. - Pomyliliśmy się o kilka metrów. Niełatwo było przedrzeć się pomiędzy drzewami, które przez lata nieobecności ludzi w dolinie mogły rosnąć wielkie i gęste. W końcu jednak ujrzeli kościół.

Oczywiście był w stanie godnym pożałowania, lecz nie tak złym, jak można by się tego spodziewać. Przesłoniły go całkiem pędy bluszczu, z góry więc nie dałoby się go zobaczyć. Teraz jednak wyraźnie dostrzegali jego kontury.

Przypominał bardzo świątynię, którą widzieli w Veigas. Prosty czworokątny budynek z kamienia o rozmaitych odcieniach brunatnej szarości, z wieżą - dzwonnica czy też raczej bramą dzwonną przy wejściu. W miejscu, w którym zwykle wisiały dwa lub trzy dzwony, pozostał tylko jeden, największy. Dziwne, że wciąż tam wisiał. Otwarta dzwonnica w osobliwy sposób była także wolna od bluszczu, przynajmniej w miejscu, gdzie wisiał dzwon.

Drzwi wejściowe były w bardzo marnym stanie. Gdy spróbowali je otworzyć, rozpadły się na spróchniałe kawałeczki, aż musieli uskakiwać, żeby ich nie przysypały.

We wnętrzu panowały cisza i pustka. Przez dziurę w suficie światło padało na ołtarz, który przejęła we władanie roślinność. Poza nim w kościele właściwie nic nie było. Smutne resztki drewna, kiedyś być może ławki, to wszystko.

Wyróżniała się tylko kamienna płyta w podłodze obok chóru.

- Czy to grób? - spytała Unni przyciszonym głosem. Nastrój panujący w świątyni nie pozwalał na głośnie porozumiewanie się.

- Prawdopodobnie tak - odparł Antonio. - Stąpajcie ostrożnie, nie wiadomo, ile ta posadzka wytrzyma ani co może znajdować się pod nią.

- Szkoda, że Morten i Juana gdzieś się zapodziali - zniecierpliwiła się Sissi. - Czym oni się zajmują? Przecież w tej małej dolinie aż tak bardzo nie można zabłądzić!

Morten i Juana w rzeczywistości znajdowali się blisko. Z rękami związanymi z tyłu, z zasłoniętymi oczyma i z zaklejonymi ustami, byli prowadzeni przez gangsterów Emmy w stronę kościoła.

Grupa nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest obserwowana od dłuższego czasu, już kiedy siedzieli na murze i później, gdy wchodzili między drzewa.

Oboje, i Morten, i Juana, krzykiem usiłowali dać przyjaciołom znać o sobie pomimo taśmy zaklejającej usta, bo da się to przecież zrobić, chociaż dźwięk jest bardzo zduszony, lecz Tommy zaraz zagroził, że zaklei im również nosy.

Antonio, Jordi, Miguel i Sissi wspólnymi siłami usiłowali podnieść kamienną płytę umieszczoną w posadzce kościoła, lecz nie chciała nawet drgnąć.

- Pomóc wam? - rozległ się nagle drwiący głos od strony wejścia.

To Tommy stanął w nich, żując owoc.

- Aha, i bardzo dziękujemy za posiłek!

Popychali przed sobą Juanę i Mortena niczym tarcze, choć przecież w grupie sprzymierzeńców rycerzy nikt nie był uzbrojony.

Tak im się przynajmniej wydawało. Banda Emmy stanęła na środku kościoła, wciąż zasłaniając się jeńcami.

- A więc wskazaliście nam drogę? Świetnie się stało, dzięki temu uniknęliśmy nudnego szukania i torowania sobie szlaku. Ale teraz my przejmujemy robotę - oświadczyła Emma zdecydowanie. - Odejdźcie stąd! To już wyłącznie nasza sprawa.

Żadna z osób stojących wokół kamiennej płyty nie zdołała zachować powagi.

- Co się stało? Z czego się tak śmiejecie? - syknęła Emma.

- Z was - uśmiechnął się Antonio. - Masz naprawdę fantastyczną fryzurę, Emmo.

- Co? Co takiego?

- Rozumiem, że nie przeglądałaś się w lustrze. A ty, Alonzo, stary lowelasio, jeszcze nie pozbyłeś się za krótkich spodni, po tylu latach? I widzę też, że w nie narobiłeś!

- Zamknij się! - odparował Alonzo, ale bez spodziewanego efektu, bo przyjaciele wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem.

- A Tommy cały aż zsiniał z zimna - zauważyła Unni z udawanym współczuciem.

- Czwartym z was jest ranny - dodał Antonio już z większą powagą. - Potrzebujesz pomocy lekarskiej.

Zrobił ruch, chcąc do nich podejść, lecz Emma zaraz krzyknęła:

- Trzymaj się z daleka, nie potrzeba nam tu żadnych szalbierzy! I natychmiast odejdźcie od tej płyty!

- Nie uda wam się jej podnieść - stwierdził Antonio.

- Doprawdy? Zaraz się o tym przekonamy. Antonio nie przejął się ani trochę groźbą Emmy i najwyraźniej miał zamiar pomóc zarówno Kenny'emu, jak i więźniom, lecz Jordi go powstrzymał. On zauważył więcej.

- Puście naszych przyjaciół! - zażądał. - Nic wam nie przyjdzie z przetrzymywania ich.

- Tak myślisz? Tommy, Alonzo, pokażcie im! Jordi spostrzegł to już wcześniej: obaj pomocnicy Emmy byli uzbrojeni, więźniowie czuli broń na plecach.

Emma uśmiechnęła się fałszywie.

- Ojoj! Czyżby Unni znalazła sobie nowego kawalera?

Mówiła o Miguelu, któremu, prawdę mówiąc, wcześniej się nie przyjrzała. Miguel stał teraz tak, że twarz miał ukrytą w cieniu, Emma nie mogła więc dostrzec zmiany, jaka w nim zaszła, bo gdyby tak było, nie ośmieliłaby się chyba słać mu zalotnych spojrzeń.

Przemówiła zaraz najśłodszy głośm:

- Odejdźcie stamtąd wszyscy, bo inaczej zastrzelimy waszego kochanego kolegę i koleżankę. Nie macie pojęcia, co wy w ogóle robicie. Teraz my, dorośli, przejmujemy całą robotę. Moja rodzina na tę chwilę czekała przez całą wieczność. Chłopcy, zwińcie tych nędzników!

Alonzo i ranny Kenny wyciągnęli długie liny i zaczęli się do nich zbliżać, natomiast Tommy czuwał nad wszystkim z pistoletem. Twarz wciąż miał siną, tym bardziej że w kościele panował jeszcze większy chłód niż na zewnątrz.

Nagle jednak Kenny dostrzegł, kto towarzyszy grupie, i przypomniał sobie niepojętą śmierć Rogera na brzegu rzeki koło Oviedo. Uderzył w krzyk.

Rozzłoszczona Emma spytała, o co mu chodzi, i pouczyła go, że nie mają czasu na takie wybryki.

Jak w końcu doszło do tego, co się stało, naprawdę trudno powiedzieć, lecz twarz Miguela zmieniła się nagle nie do poznania, a potem demon - człowiek wykonał jakiś błyskawiczny ruch.

Liny w dłoniach Alonza i Kenny'ego owinęły się wokół czworga intruzów, którzy natychmiast przewrócili się na podłogę i nie mogli nawet drgnąć, tak mocno byli oplatani.

Kenny musiał odczuwać potworny ból. Unni głęboko mu współczuła.

Antonio i Sissi czym prędzej podbiegli do Mortena i Juany. Oswobodzeni, odetchnąwszy głęboko, zaczęli się dopytywać, gdzie są. Antonio zabrał pistolety, Unni natomiast odebrała skradziony im wcześniej plecak, pełen owoców i innych rzeczy, nieco już lżejszy. Znalazła jednak w środku swój śliczny sweter i stwierdziła, że nikt nie zdążył go zbeczczyć nieprzyjemnym zapachem, włosami czy też innymi paskudztwami.

Sweter zapewne był za bardzo damski jak na gust Tommy'ego, inaczej z całą pewnością włożyłby go, chcąc ochronić się przed zimnem. Na szczęście noszenie damskiego swetra najwyraźniej mu uwłaczało.

- Pożałujecie tego jeszcze! - wrzasnęła Emma z podłogi - Jak? - spytała Unni chłodno.  
- Całą twarz masz zresztą w brudzie i w błocie, ale to świetnie pasuje do twojej nowej fryzury.

Emma nie kryła wściekłości.

- Oszukujecie! - krzyknęła. - Uciekliście się do niedozwolonych środków! Wykorzystujecie nadprzyrodzone moce!

- Z tobą nie powinniśmy chyba rozmawiać o niedozwolonych środkach. Czy to nie ty sama wezwałaś go z Ciemności przy pomocy tych twoich czarnych strachów na wróble? Najwyraźniej jednak nie zdołałaś wzbudzić w nim szacunku.

- Przyprowadź go tutaj, on jest mój!

- Chcesz go uwieść takim wyglądem? Nie masz szans!

- Przyprowadź go tutaj, powiedziałam! Powiedz mi, jak on się nazywa, to będę go mogła sama zawołać. Na pewno do mnie przyjdzie.

- Miguel nie pozwoli sobą komenderować. My dobrze już o tym wiemy. W dodatku jest, jak mówiłaś, niedozwolonym środkiem, co ty na to?

Unni uwielbiała potyczki słowne. Tę jednak przerwał im najzupełniej nieoczekiwany dźwięk.

Rozległo się pojedyncze ciężkie uderzenie kościelne - go dzwonu.

Wśród sprzymierzeńców rycerzy i ich przeciwników, leżących na pokrytej kurzem posadzce, zapadła grobowa cisza. Antonio klęczał przy Kennym pomimo protestów Emmy, wykrzykującej, że nie potrzebują żadnej pomocy. Miguel też był przy nim i poluzował nieco prowizoryczny opatrunek na barku Kenny'ego. Emma na widok demona z bliska szeptem zaczęła tylko powtarzać: „Cholera, cholera”.

Kiedy odezwał się kościelny dzwon, również ona umilkła, lecz Antonio nie przerywał swojej pracy i poprosił Miguela, by przyniósł mu jego sprzęt medyczny. I Kenny mógł wreszcie otrzymać wyczekiwany z utęsknieniem zastrzyk przeciwbólowy. Patrzył na Antonia z dość niechętną wdzięcznością, chociaż powiedzieć nic nie chciał.

Potem jego głowa opadła na podłogę.

- Kościelny dzwon - zastanawiała się głośno Unni. - W moich wizjach on miał pewne znaczenie. Nigdy jednak nie dowiedziałam się, jakie.

Nikt nie odpowiedział, wszyscy znieruchomieli, wsłuchani w echo, odbijające się od ścian i z wolna cichnące.

Kto... ?

Drgnęli, gdy od strony kamiennej płyty dobiegł głuchy, głęboki odgłos. Popatrzyli w tę stronę.

- Płyta się porusza - szepnęła Unni, dla pewności łapiąc Jordiego za rękę.

Chłopcy natychmiast podbiegli do płyty i podnieśli ją, a wtedy ukazał się otwór. Kamienne schody prowadzące w dół...

- To dlatego siedzieliśmy na murze - stwierdził Antonio. - Pod spodem musi się ciągnąć jakaś olbrzymia piwnica, a my przysiedliśmy na brzegu jej sklepienia.

- Ale w jaki sposób uderzenie kościelnego dzwonu... - zaczął Morten.

Jordi powiódł wzrokiem po ścianach.

- Musi istnieć połączenie - stwierdził - które w jakiś sposób zwalnia mechanizm w płycie.

- Bardzo w to wątpię - stwierdziła Unni z niedowierzaniem. - Miecz... Nie wolno mi zapominać o mieczu!

- No tak, mówiłaś o dzwonie i mieczu - przyznał Jordi. - One były ważne w twoich wizjach.

- Ale kto to zrobił? - zachodziła w głowę Sissi. - Ktoś musiał wejść na górę. Z całą pewnością nie mogły tego zrobić te łotry na podłodze.

- Może dzwon rozdzwonił się sam, kiedy dotknęliśmy kamiennej płyty - zastanawiał się Antonio.

Unni wciąż niedowierzała.

Przez dziurę w dachu przedarło się słońce. Podczas starcia z bandą Emmy poruszyli mnóstwo kurzu i teraz w promieniu światła widać było wirujące drobne cząsteczki. W pustym, mrocznym kościele wyglądało to bardzo pięknie.

- Schodzimy - zdecydował Antonio. - Schody wyglądają na całkiem solidne.

Zatrzymało ich ponowne uderzenie dzwonu. W głębi coś się poruszyło. Rozległ się odgłos tarcia kamienia o kamień.

Popatrzyli na siebie zdziwieni.

Tymczasem od drzwi dał się słyszeć obcy głos:

- Wydaje mi się, że ze schodzeniem powinniście się trochę wstrzymać. Teraz kolej na nas!

W wejściu stanął wysoki, chudy mężczyzna.

- To mój szofer i służący, Thore Andersen, odnalazł mechanizm, uruchamiający dzwon i kamienną płytę.

Odgłos, który usłyszeliście z dołu, oznacza otwarcie kolejnej przeszkody. Trzecie uderzenie będzie ostateczne. Ostatnia bariera przestanie istnieć.

Mówił po hiszpańsku bardzo niewyraźnie. Domyślili się, że nie jest to jego język ojczysty. Mężczyzna lekko trącił Alonza nogą.

- Widzę, że unieszkodliwiliście tych sprawiających tyle kłopotów zbirów. To dobrze, tylko zawadzali. - Ukłonił się nisko grupie skupionej przy płycie. - Moje gratulacje, jeśli chodzi o wasze zdolności w odszukiwaniu drogi. Ale teraz wasza pomoc nie jest już nam potrzebna. Wiemy bowiem wszystko o tym budynku i o tym, jak on funkcjonuje. Skarb więc niewątpliwie należy do nas. Tak jest zresztą od dwudziestu pięciu lat.

- Od dwudziestu pięciu lat? - krzyknęła Emma. - To ma być jakiś argument? Moją własnością jest od stuleci!

Unni przyglądała się jej, przekrzywiwszy głowę.

- Rzeczywiście staro wyglądasz!

Emma prychnęła, podrywając kolejne pokłady kurzu.

Antonio, okazując wiele miłosierdzia trzęsącemu się z zimna Tommy'emu, okrył go teraz własną kurtką. Emma i Alonzo natomiast musieli radzić sobie sami.



Jordim targał gniew. Wyglądał naprawdę wspaniale, kiedy stał na kamiennej płycie i przemawiał do mężczyzny w drzwiach:

- Nie jesteśmy zwykłymi poszukiwaczami skarbu jak wy. Przybyliśmy tu w zupełnie innych zamiarach, nasza misja dotyczy życia i śmierci. Wygląda jednak na to, że nie dane nam będzie dopełnić jej w pokoju, bo stale pojawiają się jacyś prostacy, jacyś żądni zysku chciwcy, którzy od wielu miesięcy utrudniali nam poczynania. A nam chodzi jedynie o ratowanie życia!

- O tym wiemy - odparł z pogardą chudy. - Przybyliście tu w tak niewiarygodnie głupiej, tak zwanej szlachetnej sprawie, że wprost trudno w to uwierzyć. Rzekomo chcecie uwolnić jakieś upiory z nich niejasnego bytu i ocalić własną nędzną skórę, przynajmniej niektórzy z was. O, nie, nie próbujcie nam niczego wmawiać, wy też pragniecie zdobyć skarb! Jesteście równie żądni złota i kosztowności, jak ta nikczemna banda na podłodze. I proszę nie nazywać nas prostakami. Mój asystent, a ściślej mówiąc moja asystentka i ja jesteśmy oboje wysokiego rodu.

I rzeczywiście wyglądał na człowieka szlachetnego urodzenia, z wąską kreską ust pod długim, arystokratycznym nosem i wysokim czołem. Z zapadniętych oczu bił fanatyzm. Wiek tego człowieka trudno było określić. Mógł mieć od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat.

- Skąd o wszystkim wiecie i kim jesteście? - spytał Jordi surowo.

- Jak to możliwe, że przez cały czas zdołaliście deptać nam po piętach i za każdym razem pojawiać się we właściwych miejscach? - dodał równie wściekły Antonio.

- Pozwólcie, że przedstawię moją asystentkę - powiedział mężczyzna. - Może wtedy lepiej wszystko zrozumiecie.

Odsunął się nieco na bok i wpuścił do środka nową osobę.

Ale czy naprawdę nową?

- Flavia? - zawołali chórem.

Nie przyłączył się do nich jedynie Miguel, który obserwował całą tę scenę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

W kościele byli również rycerze. Zresztą przez cały czas przebywali w pobliżu swoich przyjaciół. Stali teraz przy ołtarzu i obserwowali wszystko, nie mogli jednak interweniować. Aż do czasu ewentualnego wyswobodzenia, wyzwolenia z trwającej wieleset lat udręki, pozostawali niewidzialni dla wszystkich w podwójnym rozumieniu. Byli jak pozbawieni i ciała, i ducha.

Ich myśli mogły jednak krążyć swobodnie.

„Przecież uprzedzaliśmy - westchnął don Federico. - Oni widzą to, czego nie ma, a nie widzą tego, co jest”.

„To prawda - kiwnął głową don Sebastian de Vasconia. - Przejawiali dar jasnowidzenia, gdy chodziło o mnichów, o nas i o naszą przyjaciółkę Urracę, a także o naszych najdroższych i inne istoty świata duchów. Nie zauważyli jednak fałszu tkwiącego tuż przed ich oczyma”.

„Ta wredna kobieta. Ileż to razy popsuła im szyki!” - jęknął don Ramiro.

„I znów źle z nimi” - pomyślał don Galindo.

„To prawda - przyznał don Garcia. - A co powiecie o tym ich nowym towarzyszu?”

„Demonowi nie wolno zaufać. Nawet jeśli z pozoru przeszedł na inną stronę” - mruknął don Sebastian.

„Przypuszczam, że zrobił to, by uzyskać dostęp do grupy - z goryczą stwierdził don Garcia. - Trzeba mieć na niego oko”.

„Ale przecież my nie możemy nic zrobić - poskarżył się don Ramiro. - Byle tylko Urraca trzymała się od niego z daleka!”

„Na pewno zachowa wszelką ostrożność” - próbował się pocieszać don Sebastian.

„Nie mów tak - powiedział don Federico. - Jeśli naszym młodym dzielnym przyjaciółom uda się zejść na dół i podążać dalej, będzie musiała się stawić, to jej obowiązek”.

„Właśnie tego się obawiałem” - westchnął don Galindo.

Ze skalnego korytarza wyszedł kołyszącym krokiem Leon - Wamba. Po wyrwaniu z korzeniami połowy zarośli mógł wreszcie wejść do groty. Droga przez naturalny tunel sprawiła mu wiele kłopotu, bo Leon - Wamba był tak wielki, że musiał posuwać się zgięty

wpół. Wiele razy uderzał głową w sufit i z wściekłością kopał w skałę, a ból wprawiał go w jeszcze większą wściekłość.

Dla istoty jego rozmiarów korytarz był naprawdę ciasny. Raz już mu się wydawało, że utknął na dobre, lecz dzięki ogromnej wściekłości udało mu się uwolnić, chociaż poranił sobie przy tym brzuch.

Leon pragnął zdobyć swoje złoto, Wamba również, lecz on chciał również zemścić się na Urrace.

W ukrytej dolinie znaleźli się więc już wszyscy przeciwnicy sprzymierzeńców rycerzy: banda Emmy, „troje nieznajomych”, mnisi, Leon - Wamba, Zarena... i ten, który w pewnym sensie był dla nich najbardziej niebezpieczny: Tabris.

Wszystkich ich, choć nie z własnej woli, sprowadził w to miejsce nie kto inny, jak właśnie sprzymierzeńcy rycerzy.

**CZEŚĆ CZWARTA**  
**DESPERACJA**

Flavia?

Dla większości był to nieznośny szok. Unni i Mortenowi zakręciły się łzy w oczach, a Jordi i Antonio nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

- Powiedzcie, że to nieprawda - szepnął Jordi. Ledwie dobywał słów.

Flavia wyglądała niemal równie elegancko jak zawsze. Najwyraźniej czegoś się nauczyła, bo na nogach miała porządne buty spacerowe, oczywiście ze szlachetnej skóry, a jej strój znacznie lepiej niż wcześniej nadawał się na piesze wycieczki.

Ale włosy miała ułożone idealnie, a na twarzy jak zwykle staranny makijaż.

W ręku trzymała jakiś gruby list.

- Ty głupi Jordi! - powiedziała ze współczuciem. - I głupia Gudrun, która absolutnie niczego nie zrozumiała. Wydawało jej się, że odbiera mi Pedra, i jeszcze miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Mnie ani trochę nie zależało na Pedrze, tym słabowitym starcu. Gudrun nie miała też pojęcia, co się dzieje w jej domu, w tej opuszczonej przez Boga wioszczynie nad morzem.

- Przynajmniej wyjaśnij nam wszystko porządnie, a nie obrażaj naszych przyjaciół! - zażądał Jordi. Oczy pociemniały mu z gniewu i rozczarowania.

- Nie, nie mamy teraz na to czasu. Odsuńcie się, żebyśmy my mogli zejść na dół. Thore na razie was popilnuje.

Wszedł Thore Andersen, w ręku trzymał pistolet.

Antonio już wcześniej schował zarekwirowane bandzie Emmy pistolety do plecaka, a poza tym nie miał ochoty uciekać się do używania broni. Posłał natomiast Miguelowi wiele mówiące spojrzenie.

Dobry Boże, niechże on wciąż będzie Miguelem, lecz posiadającym moc Tabrisa, poprosił w duchu.

Jego prośba została wysłuchana, przez kogo, nie wiadomo. Miguel działał chyba z własnej inicjatywy. Odwracając się do nowo przybyłych, skrzyżował dłonie.

Od tej chwili nie mogli ruszyć się z miejsca, a gdy tylko usiłowali podjąć taką próbę, trzaskały iskry jak przy spięciu elektrycznym. Thore Andersen wypuścił z ręki pistolet, ktoś nogą przesunął go w kąt.

- Będziecie tak stać, dopóki wszystkiego nam nie wyjaśnicie - oznajmił Jordi. - Nie możecie swoją chciwością zniweczyć wszystkich naszych wysiłków.

Chudy patrzył na niego z ponurą miną. Stracił kontrolę nad sytuacją i nie mógł tego znieść.

- Możemy chyba współpracować? My weźmiemy skarb, a wy będziecie mogli rozwiązać swoją głupią zagadkę.

- Obawiam się, że skarb i zagadka są ze sobą mocniej związane, niż się nam wydawało. Flavio, winna nam jesteś wyjaśnienie!

- Czy ten potwór obieca, że później nas puści? Miguel kiwnął głową. W świetle wpadającym przez otwór w suficie wyglądał naprawdę przerażająco.

- Skąd on się wziął? - spytał chudy.

- Najwyraźniej nie jesteście na bieżąco - zadrwiła Unni. - Tak to już bywa, Flavio, kiedy człowiek odłączy się za wcześnie. Opowiedz nam teraz swoją historię.

Włoszka miała twarz tak ściągniętą, że wyglądała teraz na o dziesięć lat starszą. Uznała jednak, że skoro inaczej nie zdołają się uwolnić, to powinna mówić.

- Morten, ty głupi nieznośny chłopaku, ty też niczego nie zrozumiałeś! Poznałam twego ojca, Knuta, we Włoszech, przy okazji załatwiania jakichś interesów. Był już żonaty z twoją żalostną matką, Sigrid...

I Morten, i Unni, i Jordi wystąpili o krok w przód.

- Nie nazywaj wspaniałej, nieszczęśliwej Sigrid żalostną! - wykrzyknęła Unni.

Flavia nie zaszczyliła jej nawet jednym spojrzeniem.

- Zawróciłam w głowie twojemu ojcu. Spędziliśmy razem wieczór. Sądziłam, że na tym się skończy i że nic więcej z tego nie będzie. Przystojny mężczyzna, ale za dużo plebejski. Poszliśmy do restauracji, on trochę wypił, a potem pokazał mi to.

Podniosła list do góry.

- Co to za list? - spytał Antonio.

- Właściwie to nie jest wcale list, to dziennik jego teścia.

- Zaginiony dziennik?! - wykrzyknął Jordi. - Gudrun nie mogła znaleźć zapisków męża, Jonasa. Tymczasem on pokazał go swemu zięciowi, Knutowi Andersenowi?

- Nie, Jonas dawno już wtedy nie żył. Sigrid przechowywała dziennik w swojej kryjówce, nie zdając sobie sprawy z tego, co to jest.

- Ale jej mąż zrozumiał? - w głosie Jordiego dała się słyszeć gorycz. - I tobie też coś zaświtało w głowie?

- Mylisz się, mój drogi, Knut nawet w połowie nie rozumiał wartości tego dziennika. Nie chciał mi go jednak oddać. Cóż, musiałam się z nim związać, pobraliśmy się i dzięki temu uzyskałam dostęp do waszego kręgu. Znałam już wcześniej tę historię od Pedra, z

którym często kontaktowałam się w sprawach służbowych. Pedro oczywiście nic nie wie o dzienniku, ten rękopis jest zbyt cenny, żeby o nim rozpowiadać na lewo i prawo.

Antonio wyciągnął rękę.

- Możemy go obejrzyć? Flavia natychmiast schowała papiery.

- Nigdy w życiu! Ale napisane jest tu wszystko o ukrytej dolinie, o kościele i o krypcie. O tym, jak należy ją otworzyć.. , Nie wiedzieliśmy tylko, gdzie może znajdować się ta dolina, ale okazaliście się bardzo życzliwi i zaprowadziliście nas do niej. Muszę jednak przyznać, że była to niezwykle kręta droga.

- Kogo masz na myśli, mówiąc „my”? - spytał Jordi. - Że ty jesteś Flavia Cleve, Włoszka i dama z wyższych sfer, to już wiemy, ale pozostała dwójka?

- Pozwólcie, że przedstawię: Mój brat, *conte* Bruno Cleve...

Unni dodała przemądrzale:

- Po norwesku „hrabia” Cleve. Bravo! A więc to jego Elio niemal pokonał w szachach?

- Uf, ten nieszczęsny głupek Elio! To był prawdziwy koszmar, kiedy mieszkał u nas razem z rodziną. W dodatku niewiele miał do powiedzenia, właściwie o niczym nie wiedział.

- Elio nie jest wcale głupkiem - zaprotestował ostro Jor - di. - A kim jest Thore Andersen? Jakimś zwykłym człowiekiem, który przypadkiem nosi to nazwisko, czy też...

Thore odpowiedział za siebie:

- Że też nigdy o mnie nie słyszałeś, Mortenie! Jestem czarną owcą rodziny, kuzynem twego ojca. Wyrzucono mnie ze szkoły za nieodpowiednie zachowanie i za - ciągnąłem się na statek. Ponieważ z twoim ojcem na - wet nieźle mi się układało, załatwił mi pracę u pana Cleve we Włoszech. Zostałem jego szoferem i nie tylko. No i znałem już wtedy tajemnicę Knuta. Wiedziałem o jego dzienniku.

Morten odpowiedział:

- Rzeczywiście, słyszałem kilka razy o jakimś ciemnym tępym typie, który wpędzał dziewczęta w kłopoty i zaraz się zmywał. Ale nikogo nie obchodził nawet na tyle, żeby wspomnieć, jak ten człowiek miał na imię!

- No, no! - Thore czerwony na twarzy jak burak próbował skoczyć do Mortena, ale wokół niego zaczęły zaraz trzaskać niebieskie iskierki.

- Stój w miejscu, ty idioto! - zawołała Flavia, wyraźnie wyprowadzona z równowagi.

Jordi uspokoił ją, zadając następne pytanie.

- A potem uczepiłaś się Mortena i odgrywałaś rolę troskliwej macochy, o wiele miłszej niż jego rodzony ojciec. Co się właściwie stało z ojcem Mortena, Knutem? On zmarł przy tobie, we Włoszech. Jak była przyczyna śmierci?

Flavia zerknęła na brata, a potem wzruszyła ramionami.

- Wylew, tak twierdził lekarz.

- Rzeczywiście? - spytał Jordi podejrzliwie. - A gdy I pomagałaś mi podczas mojej pierwszej podróży do Hiszpanii, razem z Pedrem pielęgnowałaś mnie w jego domu w Madrycie... Czy po to, żeby wydobyć ode mnie informacje?

- Oczywiście! A jak myślałaś?

- Sądziłem, że jesteś dobrą kobietą o ciepłym sercu - odparł Jordi z powagą. - I opowiedziałem ci o wszystkich moich spotkaniach z rycerzami.

- Tak, tak, wygadywałaś różne bzdury. - Flavia uśmiechnęła się pogardliwie. - Ale udzieliłaś mi wielu informacji.

- Wcześniej też się ze mną kontaktowałaś. Rozumiem teraz, że miałaś taki sam cel. Przyczepiłaś się do nas... i jesteś odpowiedzialna za większość ataków na nas!

- O, nie, tym zajęła się ta banda na podłodze. Możecie mi wierzyć, że my nie mamy z nimi nic wspólnego.

- W to rzeczywiście wierzę. Wtrącił się Morten:

- Widziałem was w lesie w Skanii. Nadchodziliście, dwaj mężczyźni i kobieta, a potem na mój widok rzuciliście się do ucieczki.

W tym momencie Jordi i Antonio nie na żarty się wystraszyli. Nie wolno przecież wspominać o gryfach, a tamci szukali wtedy właśnie gryfa!

Antonio przerwał więc Mortenowi.

- Zawsze miałem kłopot z odpowiednim określeniem relacji z tobą, Flavio. Teraz rozumiem już, dlaczego. Ale jedno chcę wiedzieć. To ty atakowałaś Sissi raz po raz, prawda? Uderzyłaś ją w grotach Lano, obluzowałaś kamień w ruinach rycerzy, przez co Sissi znalazła się w zamknięciu i została uwolniona przez czysty przypadek. Próbowowałaś też otruć ją, gdy piliśmy irish coffee... I w innych sytuacjach.

- To była konieczność - odparła Flavia krótko. - Sissi ma prawdziwy talent do języków, a w grotach Lano przechodziła obok, kiedy rozmawiałam po włosku z bratem. To była bardzo ważna rozmowa, a nie wiedziałam, ile ona mogła z niej usłyszeć.

- Nie podsłuchuję cudzych rozmów - oświadczyła Sissi urażona. - Zamykam wtedy uszy.



Wyraz twarzy Flavii mówił wyraźnie, że przynajmniej teraz uważa Sissi za osobę bez znaczenia w grupie. Sprowokowało to Unni.

- A kiedy rozstałaś się z nami przy Reinoso, to głowę dam, że nie pojechałaś do Madrytu, jak udawałaś przez telefon, twierdząc, że cudownie ci jest, kiedy pławisz się znowu w luksusach. Takie oszustwo w dzisiejszych czasach to żaden problem, kiedy są telefony komórkowe. Wyruszyłaś w góry razem ze swoimi dwoma kompanami. Raz nasze ścieżki się przecięły, minęliście nas zaledwie o dwa metry i poszliście w złym kierunku, a my oczywiście nie zamierzaliśmy was zawracać. Wiele razy źle wam zresztą poszło.

Jordi szepnął Unni, by nie była taka złośliwa, i nawet go posłuchała.

- Ach, Boże, jakąż ja jestem głodna! - westchnęła. - Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą serów, ale one leżą u Pedra i Gudrun w Panes. Mam nadzieję, że przynajmniej oni nie są tacy głodni.

- Unni, spróbuj zachować trochę powagi - poprosił Morten.

- Ja jestem poważna, a właściwie bliska płaczu. I zawsze, gdy się tak ze mną dzieje, palnę coś głupiego. Sama próbuję dodać sobie otuchy. Przepraszam.

I właśnie w tej chwili ktoś czy coś siadł okrakiem na dachu kościoła i zaczął mocno uderzać w niego piętami.

Miguel odruchowo wyciągnął rękę, żeby przyciągnąć Sissi do siebie i chronić ją. Jak się okazało, było to najgorsze, co mógł zrobić.

Walenie w dach ustało, a wewnątrz kościoła zapanował półmrok. Światło przesłoniła paskudna głowa Zareny.

- Aha! - zawyła triumfalnie. Jej długa ręka zakończona szponami pochwyciła Sissi i podciągnęła ją do góry.

Zarena była demonem, natomiast Miguel wciąż zachowywał swą ludzką postać.

Nie miało to jednak potrwać długo!

Z wielkim szumem rozwinął swe wspaniałe skrzydła, jego ciało się powiększyło, potem w jednej chwili wystrzelił przez sufit, a na ludzi stojących w kościele posypały się kamienie i drewno. Ci, którzy po raz pierwszy mieli okazję widzieć demona, omal nie zemdleli ze strachu.

Kiedy Tabris skoncentrował wszystkie swoje siły na ratowaniu Sissi, jego czar niewolący obie grupy poszukiwaczy skarbów prysnął i w starym kościele zapanował prawdziwy chaos. Na dodatek wszyscy zanosili się kaszlem, bo w powietrzu unosił się kurz i pył, opadający z góry lub podnoszony z dołu. Emma i Flavia wrzeszczały jak opętane, tak bardzo przeraziła je obecność demona. Dopiero gdy kurz nieco opadł i mogli jako tako się rozejrzeć, Jordi i jego przyjaciele zorientowali się, jak wiele znaczyła dla nich pomoc Miguela.

- Sissi... - wyjąkał Morten. - Co będzie... ?

- Nie myśl o Sissi - odparł Antonio. - Nią zajmie się Miguel, więc można powiedzieć, że dziewczyna ma szczęście. Nam wystarczy tego, co nas czeka tutaj.

Mówiąc to, szarpnął do siebie plecak z pistoletami, po który próbował sięgnąć Kenny. Jordi i Thore Andersen jednocześnie skoczyli w kąt po leżącą tam broń. Thore po to, by z niej strzelać, Jordi, by temu zapobiec.

W tym czasie Flavia przebiegła do zejścia do krypty, lecz Unni, niewiele się namyślając, wystawiła nogę. Flavia oczywiście potknęła się i przewróciła. Sunęła wśród kurzu twarzą po kościelnej posadzce i zatrzymała się dopiero przy schodach. Juana i Morten natychmiast na niej usiedli.

Chudy hrabia obserwował całe zajście z dostojnym spokojem, przynajmniej pozornie. Trwało to do chwili, gdy Tommy wymierzył mu cios zaciśniętą pięścią i szlachcic stracił równowagę.

Emma usiłował zbiec w dół schodami, lecz Flavia swobodną ręką złapała ją za kostkę. Emma upadła i uderzyła się przy tym tak mocno, że straciła przytomność.

Alonzo pokazał swoją prawdziwą naturę. Jego zdolności przywódcze, których istnienie usiłował wmówić innym, okazały się jedynie pobożnymi życzeniami. Stał, na przemian otwierając i zamykając usta, kompletnie do niczego nieprzydatny. W końcu Thore Andersen, który przegrał walkę o pistolet, uderzył go w twarz kawałkiem deski. Wszyscy walczyli przeciwko wszystkim. Alonzo osunął się na ziemię, z przerażeniem obserwując własną krew, płynącą mu z nosa i ściekającą między palcami.

Thore Andersen postanowił uciekać przez drzwi. Do tego jednak dopuścić nie chciał Kenny i wbił nóż w ramię niedoszłego uciekiniera. Nie była to rana poważna, wystarczyła jednak, by Thore się poddał.

Jordi odciągnął Emmę ze schodów i wspólnymi siłami wraz z Antoniem i Mortenem udało im się nasunąć kamienną płytę na dawne miejsce. Unni, zastępując Mortena, przysiadła na nogach Flavii.

Antonio jeden pistolet rzucił Unni, a drugi sam zatrzymał. Jordi trzymał już wtedy broń w ręku.

Na moment przejęli kontrolę nad sytuacją.

Zdawali sobie jednak sprawę z tego, że Flavia wie, iż żadne z nich nigdy nie będzie w stanie strzelić do drugiego człowieka.

Najważniejsze więc w tej chwili było zmusić ją do milczenia.

Tym zajęli się Morten z Juana. Na polecenie Jordiego posłużyli się pięknym swetrem Unni jako kneblem i związali Flavii ręce na plecach tak, by nie mogła się go pozbyć.

- Mam nadzieję, że ona ma alergię na wełnę - mruknęła Unni do Juany.

- A więc dobrze - powiedział wreszcie Antonio surowo. - Teraz możemy chyba przystąpić do negocjacji.

Tabris widział, jak Zarena wznosi się z swą zdobyczą w stronę wzgórz.

Ach, nie, byle nie zemściła się tak samo jak ja na niej, myślał zrozpaczony. Nie może teraz puścić Sissi!

Ale Zarena była przecież demonem zemsty i właśnie tego należało się po niej spodziewać.

Muszę się starać trzymać tuż pod nimi, tak żebym mógł złapać Sissi w razie upadku.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem odczuwał tak straszne napięcie.

Ale kobiecy demon miał inne plany. Zarena zanurkowała w dół, omijając Tabrisa, i wylądowała na pustej górskiej równinie wśród Picos de Europa. Tabris pospieszył za nią. Doskonale znał Zarenę. Poza tym on sam wcześniej nie okazał jej łaski i przez to sytuacja stała się po dwakroć niebezpieczna. Ona miała teraz w swej złej mocy istotę, która była mu najdroższa.

Najdroższa! Tabris doznał szoku, gdy zrozumiał, że przekroczył granice ludzkiego świata, jeśli chodzi o uczucia. Uczucia dla innych.

Ale teraz był Tabrisem. Cudownie było znów móc poczuć swoje siły, wiedzieć, ile się potrafi, i nie być sparaliżowanym ludzką słabością i bezsilnością.

Mknąc przez powietrze, pozwolił sobie na uśmiech. Jako Miguel zyskał pewną ludzką cechę, wstydlivość. Jako Tabris nigdy nie krył nagości, teraz jednak było inaczej. W momencie przemiany w demona zatroszczył się o to, by proste ludzkie ubranie urosło wraz z nim, jak gdyby stanowiło część jego ciała. Teraz się z tego cieszył. Sissi była wyzwoloną, otwartą osobą, lecz widok nagiego demona mógłby okazać się dla niej zbyt mocnym przeżyciem.

Jego uśmiech zgasł. Sissi w rękach Zareny była niczym delikatny kwiat. Istniało tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Chyba że...

Tabris wylądował na równinie. Bał się zanadto zbliżyć do Zareny, by nie narażać życia Sissi.

Był teraz przerażającym demonem Tabrisem. Sissi patrzyła na niego, a w jej oczach malował się strach, lecz nie jego się bała. Oczy po prostu błagały go o pomoc.

Cudowna Sissi! Tak długo zwlekał. Ukrywał przed wszystkimi swoje zauroczenie, sądził bowiem, że ta dziewczyna należy do Mortena.

Zarena roześmiała się drwiąco.

- Po co się tak wysilasz, przecież ona i tak niedługo umrze!

- Ale przynajmniej nie z twojej ręki.

Tabris był tak wściekły i zrozpaczony, że nawet nie widział wyraźnie.

- Teraz wyrwę jej wszystkie włosy - zaśmiała się Zarena ochryple. - Czy może mam najpierw urwać jej palec, rozszarpywać ją kawałek po kawałku? Czyż to nie będzie cudowne? Nie, nie, nie zbliżaj się, bo złamię jej kark! Ściągaj ubranie, głupia dziewucho!

Twardymi przypominającymi szpony palcami zerwała z Sissi kurtkę, spodnie i buty. Wystarczyły jej do tego dwa ruchy.

Tabris stał nieruchomo, zbierał siły. Był duchem wolnej woli, a przez to posiadał moc, z której nigdy dotychczas jeszcze nie korzystał. Nawet Zarena nie wiedziała o jej istnieniu.

Tabris potrafił ingerować w wolną wolę innych. Zmuszać, by szli za głosem swego najgorętszego pragnienia.

Jakie mogło być największe życzenie Zareny? Myśl prędko, Tabrisie! Zemsta na nim? Nie, to dla niej drobiazg, zresztą uważała zapewne, że już właściwie tego dokonała.

Wypowiedział swoją myśl na głos.

- Czy to nie ciebie nasz Mistrz zamierzał uznać za swą stałą partnerkę? Będziesz musiała się pospieszyć, bo właśnie wybierają Sisere, demona żądy, na władczynię. Podczas twojej nieobecności Mistrz zwrócił oczy właśnie na nią.

Oczy Zareny zmieniły się w tryskające zielonym światłem fontanny.

- Kłamiesz! Kłamiesz! Od bardzo dawna nie byłeś już w Ciemności!

- Wcale nie muszę tam latać, żeby wiedzieć, co się tam dzieje. Potrafię wykorzystać swoje kontakty.

Zarena wydała z siebie ryk gniewu i zniecierpliwienia. Przenosiła wzrok z Sissi na Tabrisa i rozglądała się dokoła. A potem diabeł w nią wstąpił, widać to było wyraźnie po jej oczach.

- Mogłabym zgnieść tę dziewczynę, ale taka zemsta jest zbyt prosta. Dostaniesz ją. Będziesz ją miał, dopóki będzie żyła. A później zostaniesz sam. Sam, słyszysz?

Jak błyskawica pomknęła ku wyłobieniu u stóp góry, zbyt niskiego, by dało się go nazwać grota czy jaskinią. Było to ot, takie sobie zagłębienie pod skałą. Tam właśnie cisnęła Sissi, wcześniej mocno ją uderzając.

Tabris natychmiast pospieszył do dziewczyny. Wiedział, że nie zmieści się w skalnym zagłębieniu w postaci demona, więc czym prędzej przeobraził się z powrotem w Miguela i wtoczył do środka.

Ale Zarena nie ustąpiła. Zobaczyła, że Tabris uklęknął przy Sissi, i w tym momencie wykonała kilka ruchów. Przypominała przy tym pająka tkającego sieć. I właśnie kamienna sieć zamknęła wyjście ze skalnej wnęki.

- Można ją otworzyć tylko z zewnątrz! - zawołała triumfalnie i zniknęła.

Podskoczyła wysoko, a opadając, wbiła się nogami w ziemię. W sekundę zniknęła Tabrisowi z oczu.

Wiedział, że Zarena nigdy więcej już tu nie wróci.

Szarpał kamienną kratę, lecz została ona wyczarowana przy użyciu magicznej mocy i teraz ani drgnęła. Udało mu się jednak ocucić Sissi i zająć się jej obrażeniami na tyle, by nie okazały się katastrofalne w skutkach. Trzymał ją teraz w ramionach i czuł się całkowicie bezsilny. Zarena odniosła zwycięstwo. Miała zupełną rację: Sissi prędzej czy później umrze, on natomiast będzie żył tu, w tej skalnej dziurze, przez całą wieczność.

W to miejsce raczej nie zapuszczają się turyści, jest zbyt niedostępne, a zresztą co mógłby zrobić turysta? Chyba tylko się na niego gapić.

Nie, tu nikt nie przyjdzie. Zarena naprawdę świetnie wybrała miejsce.

Sissi poruszyła się, jęknęła lekko.

Tabris musnął jej skórę delikatnymi palcami, ukradkiem i w poczuciu winy. Takie zachowanie nie było godne demona.

Jej policzek był taki miękki, całkiem inny od przypominającej rybią łuskę skóry demona.

Tabris zawstydzony przyciągnął rękę do siebie.

- Sissi - szepnął. - Nie śpisz?

Tabris cofał wszystko, co wcześniej myślał i mówił o ludziach, o tym, że są słabi, nijacy i nudni... Drgnął, gdy dziewczyna otworzyła oczy.

- Miguel? Znów jesteś sobą. Pięknym, przystojnym chłopakiem, Miguelem.

Tabris aż zachrypnął z wrażenia.

- Tak, ale to raczej nie jestem ja.

- Tak, tak, wiem. Gdzie my jesteśmy, nie pamiętam... Ojej, boli!

- To rozumiałe. Ona cię uderzyła za mocno, ale wydaje mi się, że wydobrzejesz.

Tylko po co, pomyślał z goryczą. Po to, żeby zdać sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji? By umierać powolną głodową śmiercią?

- Teraz już pamiętam. Byliśmy na płaskowyżu. Ale tutaj jest tak ciemno. Czy ja widzę jakiś wzór ze światła?

Tabris uznał, że najlepiej będzie wyjaśnić jej całą sytuację. Prędzej czy później Sissi i tak zrozumie ich dramatyczne położenie.

Gdy dziewczyna usłyszała prawdę, skuliła się w jego objęciach jak dziecko. Czuł jej oddech na szyi. Wzruszyło go to tak bardzo, że aż osłabł.

Mógł ją teraz zabić. Dla jej własnego dobra. Nie potrafił jednak tego zrobić.

- Potrafię czytać w twoich myślach, Miguelu - powiedziała Sissi, uśmiechając się lekko. - Poznaję je po tym urywanym oddechu, po dłoniach, które to się otwierają, to zaciskają. Ale proszę, byś zaczekał. Nadzieja to prawdziwy dar, przyjmijmy go więc!

- Sissi... ty wiesz, że uległem waszym wpływom, prawda? Zrodziło się we mnie współczucie dla innych. Trudno to było zaakceptować, ale moje uczucia do ciebie są zupełnie odmienne, bardzo silne. Nie potrafię ich wyjaśnić, są dla mnie całkiem nowe. Nie rozumiem, co się w mnie dzieje. Nie potrafię o tobie nie myśleć. Nie znośłem Mortena, ponieważ jemu wolno było być blisko ciebie, a mnie nie. A ja nie mogę bez ciebie żyć.

Przygarnął ją do siebie w poczuciu bezradności.

Sissi uśmiechnęła się.

- Moje pytanie brzmi: czy wiesz, że ja też nie mogę żyć bez ciebie?

Jego dłoń, którą trzymał na jej głowie, opadła. Sissi przyjęła to z ulgą, gdyż głowa bolała ją, jakby pękła na tysiąc kawałeczków.

Miguel popatrzył na nią badawczo.

- Naprawdę?

- Tak, od dawna już tak jest. I byłam okropnie zazdrosna o Juanę.

- O Juanę? A kto to taki? - spytał i oboje się uśmiechnęli. - Ona się cały czas mnie czepiała, a ja starałem się jak mogłem być dla niej uprzejmy, bo to ładna i miła dziewczyna, ale brutalność Tabrisa, którą w sobie mam, nie przestawała na nią źle reagować. Nie chcę się z nią bliżej wiązać. A ty byłaś zajęta.

- Ależ skąd! Morten nigdy mnie nie tknął! Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Stała się zbyt intymna, zbyt skomplikowana. Tabris podniósł głowę i westchnął.

- Gdybym tylko wiedział, jak stąd wyjść!

Sissi o własnych siłach usiadła tuż obok niego. Nie było miejsca, by zachować większą odległość.

Ręka Miguela gładziła ją po nodze i Sissi uświadomiła sobie, jak cienko jest ubrana.

- Wiem, że przed chwilą zmieniałeś się w Tabrisa, a kiedyś mówiłeś, że gdy się to stanie, nie będzie już drogi odwrotu. Tymczasem znów jesteś Miguelem. Jak to możliwe?

Tabris uśmiechnął się do niej.

- Jesteśmy teraz poza tą przeklętą doliną. A nazywając ją przeklętą, mam na myśli to, że ktoś naprawdę rzucił na nią przekleństwo.

- Wiem o tym, powinniśmy tam teraz być. Pomagać innym.

- Masz rację. Sissi... naucz mnie!

- O co ci chodzi?

- Naucz mnie, jak ludzie się... kochają. Czy nie tak to nazywacie?

Sissi wahała się.

- Hm, jest wielka różnica pomiędzy kochaniem fizycznym a kochaniem duchowym drugiej osoby.

- Jak to?

Jak miała wytłumaczyć tę różnicę komuś, kto nigdy nie posiadał uczuć?

- Wspominałeś kiedyś, że rozmawiałeś z Unni... sama to słyszałam, chociaż starałam się nie podsłuchiwać, ale też i byłam ciekawa, ponieważ to chodziło o ciebie... O czym to ja mówiłam? Zaczynam się wstydzić, dlatego się czerwienię i tracę wątek. Aha, już wiem, mówiłeś, że w Ciemności parzycie się wyłącznie po to, by zaspokoić własną żądzę, druga strona nie jest ani trochę ważna.

- No, to nie do końca prawda. Bo jeśli ta druga strona jest naprawdę atrakcyjna, żądza rośnie.

- To znaczy, że ci mniej ładni nigdy nie mogą nic przeżyć?

- Ależ tak! Przecież nie trzeba oglądać ich twarzy! Sissi, ja mówię teraz ogólnie, a nie o sobie.

Ale Sissi nie chciała nawet tego słuchać. Jego życiem jako demona ani trochę się nie interesowała.

- No a ty, Sissi?

- Ja? Miałam swoje przygody, chociaż to już dawno temu. Ale czy nie oddaliśmy się od tematu? Chciałeś wiedzieć, jak to jest, kiedy ludzie się kochają. Powoli sam zaczynasz to już rozumieć. Przerazisz się, jeżeli spróbuję ci wyrazić bez słów, co dla mnie znaczysz?

To nie ma żadnego znaczenia, pomyślała, zdjęta nagłą rozpaczą. My... Ja i tak jestem już skazana na śmierć. Wkrótce zaczniemy odczuwać głód...

- Miguelu - odezwała się z nagłym ożywieniem. - Skoro jesteś Miguelem, to znaczy, że stałeś się człowiekiem! Będziesz głodny tak jak ja... i w końcu umrzesz, tak jak ja!

Miguel odetchnął głęboko.

- Nie - odparł. - To nie takie proste. W środku wciąż jestem Tabrisem i o ile dobrze znam Zarenę, to już ona zatroszczy się o to, aby Mistrz pozwolił mi tkwić tu przez całą



wieczność. Ale nie myśl teraz o tym. Chciałaś bez słów pokazać mi, co do mnie czujesz. Tak jak to robią ludzie, czy nie tak?

- No właśnie. Zacznijmy od bardzo ważnej rzeczy. Ty masz za dużo siły. Być może jest na nią miejsce w brutalnym akcie kopulacji, ale nie ma to żadnego związku z miłością.

- Miłość - zniecierpliwiał się trochę Miguel. - Wy zawsze mówicie o miłości. Co to takiego? Pokaż mi!

Sissi westchnęła. Kilkakrotnie odetchnęła głębiej, żeby zebrać się na odwagę. Starła się zapomnieć, że Miguel jest demonem. Był teraz Miguelem, nadzwyczaj przystojnym młodym mężczyzną.

Ach, gdyby nie owe zielone błyski rodem z otchłani, które od czasu do czasu ukazywały się w jego oczach!

Z ogromną delikatnością ujęła jego twarz w dłonie. Ledwie musnęła jego skórę, pod palcami ciepłą i ludzką.

Miguela od jej dotyku przeszedł dreszcz. Nagle jakby wstrzymał oddech.

Sissi nabrała śmiałości, lecz gdy jej wargi zaczęły się zbliżać do jego ust, poczuła, że Miguel się cofa, jak gdyby się wystraszył.

Natychmiast się odsunęła i wróciła na swoje miejsce. Przez chwilę panowała cisza.

- Miguelu, ja nie chcę umierać.

Upłynęła dość długa chwila, nim Miguel odzyskał panowanie nad sobą.

- Ja też nie chcę, żebyś umarła, a już na pewno nie w ten sposób!

Wcześniej zdążył wypróbować wszystkie możliwości wydostania się z pułapki. Być może gdyby zmienił się w Tabrisa, udałoby mu się to, a może nie. Tabris nie zmieściłby się w otworze wyjściowym, a przeszkoda, która uniemożliwiała im wydostanie się, powstała za sprawą czarodziejskich mocy. Siła Tabrisa na niewiele by się tu zdała, podobnie jak jego niezwykle demonie talenty. Cóż, kratę dało się otworzyć jedynie z zewnątrz, taki był niezaprzeczalny fakt.

- Sissi - powiedział cicho. - Przerwałem ci. Wróc do tego, co robiłaś!

- Bez słów?

- Bez słów.

Sissi dotknęła ręką jego czoła i zaczęła je głaskać. Potem pogładziła go po włosach. Położyła mu rękę na karku i przyciągnęła go bliżej. Tym razem zachowywała większą ostrożność. Lekko powiodła po jego mocno zarysowanych kościach policzkowych, najpierw palcami, potem wargami, bardzo miękko i spokojnie.

Drżenie, które przeszło przez jego ciało, tym razem było silniejsze. Sissi poczuła, że jego ręce podsuwają się w górę i kładą na jej plecach, tak delikatnie jakby była z najbardziej kruchej porcelany. Pieszcząc jego włosy, znów zbliżyła się wargami do jego ust, lecz w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi i zamiast tego lekko pocałowała go w szyję. Poczowała mocne pulsowanie krwi. Ale gdy zorientowała się, jak mocno zacisnęły się jego ręce, a mięśnie ramiona napięły, znów się wycofała.

Miguel z trudem łapał oddech. Puścił ją w końcu zrezygnowany.

- Co się stało, Miguelu?

- To Tabris! Tabris we mnie grozi, że zwycięży.

- Trudno - szepnęła. - Chyba rzeczywiście musimy to przerwać.

- Tak.

Siedzieli obok siebie w milczeniu. Miguel rozpałił w niej ogień. Wiedziała jednak, że dalej nie mogą się posunąć. Sam już przecież jej to wyjaśnił. Silne uczucia, takie których dotychczas nie znał, doprowadziłyby do tego, że nie mógłby dłużej zachowywać postaci Miguela.

Ale ona tak bardzo chciała spełnienia. Po drżeniu jego ciała poznała zaś, że on również tego pragnie.

- Sissi - odezwał się po dłuższej chwili Miguel - bardzo chciałbym zrobić to, co ty zrobiłaś i co prawie zrobiłaś, bo chyba zaczynam się domyślać, co to jest miłość. Ale się boję.

- Rozumiem.

- Sissi, jeżeli kiedykolwiek wydostaniemy się stąd... Tak nie będzie, ale jeśli... Obiecuj, że zrobisz to jeszcze raz. Ale nie za blisko.

Sissi uśmiechnęła się do siebie. Zrozumiała jednak, co chciał powiedzieć.

Miguel ciągnął:

- Bo ja tak bardzo bym chciał okazać ci swoją miłość.

- Już to zrobiłeś.

- Kiedy?

- W tych niezliczonych razach, kiedy pomagałeś i mnie, i innym, i kiedyś zrezygnowałeś z zabijania mnie.

Miguel pomroczył.

- Wiesz, że muszę to zrobić.

- Tak, ale nie teraz. Odchylił głowę w tył.

- Zrobię to szybko i bezboleśnie tak, żebyś nic nie poczuła, lecz jak powiedziałem, jeszcze nie teraz.

Sissi przełknęła ślinę. Miguel odszukał jej dłoń. Ujęła go za rękę. Siedzieli w milczeniu na twardej posadzce z kamienia, plecami oparci o nierówną skałę. Targała nimi rozpacz.

Negocjacje w starym kościele, w którym nie odprawiano mszy od blisko tysiąca lat, toczyły się opornie.

Nikt nie chciał ustąpić.

Brat Flavii, hrabia, i Thore Andersen upierali się, by ich trójkę puszczono przodem do krypty.

Jordi i Antonio nie chcieli się na to zgodzić, doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że bez względu na to, co rycerze przygotowali w krypcie, to jest to niezwykle delikatny obszar.

Antonio spytał:

- Ten list, dziennik... Czy jest tam coś o zagadce rycerzy?

- Nie - odparł hrabia. - Wyłącznie o skarbie.

- Wynika z tego, że jedna z sióstr bliźniaczek, Ana, jak przypuszczam, dowiedziała się o skarbie, natomiast druga, Margarita, poznała historię przekleństwa przechodzącego z pokolenia na pokolenie. Właśnie w tym momencie wiedza została podzielona.

Emma doszła do siebie, lecz daleko jej było do zwykłej elegancji.

- Zapominacie o mnie - rzekła z nienawiścią. - Moja rodzina zawsze wiedziała o skarbie i dlatego tylko ja wiem o pięciu wielkich darach.

- Ja też o nich wiem - ze spokojem powiedziała Juana. Hrabia oświadczył ostrym głosem:

- My także. To Świąte Serce Galicii, Złoty Ptak z Ofir z Asturii, klucz z czystego złota Kantabrii, dwie korony królewskie Vasconii, a z Nawarry...

- No właśnie! Co z Nawarry? - spytała wyzywająco Emma. - To najwspanialszy dar. Powiedzcie, co to było!

Zarówno hrabia, jak i Juana milczeli.

- Nikt nie wie, co ofiarowała Nawarra - stwierdził Alonzo. - Ale że to najwspanialszy dar, to się zgadza.

- Ponieważ Nawarra od bardzo dawna była już królestwem, to rzeczywiście bardzo możliwe - przyznała Juana.

Jordi i Antonio wiele by dali za możliwość zajrzenia do dziennika, na pewno mogliby tam znaleźć jakieś wskazówki.

Jordi powiedział na głos:

- Ten dziennik... właściwie należy do Mortena. Ukradliście go.

- Do Mortena! - pogardliwie prychnęli hrabia i Emma. Emmie najwyraźniej zaczęło przejaśniać się w głowie.

- Właściwie dlaczego tak się przed nimi płaszczycie? Przecież żadnemu z nich nigdy w życiu nie starczy odwagi, by wystrzelić!

Do diaska, zapomnieli o nałożeniu kagańca Emmie.

- My nie zabijamy - przyznał Jordi. - Ale kula wystrzelona w nogę również potrafi być bardzo nieprzyjemna.

Hrabia, o ile to możliwe, jeszcze chłodniejszym głosem oznajmił:

- Nie przebyłem całej tej długiej drogi tutaj po to, by stać tu i rozmawiać o bzdurach z jakąś bandą przemądrzałych łobuzów obu płci. Andersen, bierz ich!

Jordi wystrzelił. Nie trafił w nogę Thorego Andersena, lecz nogawka spodni załopotowała, a jej właściciel pobladł.

Stali nieruchomo.

W tym momencie nad doliną z wrzaskiem przeleciał kruk. Unni uważała wrony, kruki i ich krewniaków za ptaki zwiastujące szczęście, lecz wszyscy pozostali w kościele zadrżeli, zdjęci strachem. Gdy kruk przyzywa, zapowiada śmierć, tak mówili starzy ludzie. Być może niejedno z nich przypomniało sobie właśnie ów stary przesąd.

I wtedy zadzwonił telefon Unni. Ach, nareszcie mają kontakt ze światem! Ale też i Unni miała najlepszy aparat.

- Halo - powiedziała nerwowo.

- Unni? To ty?

- Witaj, Veslo!

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Za każdym razem tak mówię, kiedyś w końcu muszę trafić. Jak się miewasz?

- Dobrze. Czy mogłabym rozmawiać z Antoniem? Unni pospiesznie oceniła sytuację. Antonio absolutnie nie mógł teraz rozmawiać przez telefon.

- To trochę trudne - zawołała, bo połączenie było nie najlepsze. - Trzyma linię, a jeśli ją puści, Jordi spadnie. Czy mogę mu coś przekazać?

- Wszystko u was w porządku?

- Jak najbardziej - skłamała Unni.

- To pozdrów go ode mnie i powiedz, że został ojcem ślicznego chłopczyka.

- Naprawdę? Gratuluję! Antonio, masz pięknego syna! No, Jordi spadł - oświadczyła, kiedy Antonio wypuścił z rąk plecak.

Wiedziała, że kruki przynoszą szczęście, pomyślała Unni. Połączenie zostało przerwane, ale wszyscy z ich grupy rozpromienili się jak słoneczka.

- Czy koniec już z tymi rodzinnymi bzdurami? - zniecierpliwił się hrabia.

Przyjaciele rycerzy nie byli gotowi do tego, by zejść do krypty. Brakowało wśród nich Sissi, a wraz z nią gryfa Kantabrii.

„Gryfy są kluczem”.

Nie chcieli mówić o tym głośno. Czyżby jednak musieli puścić poszukiwaczy skarbów przodem? Pozbyć się ich, by potem móc działać w spokoju?

Poszukiwacze skarbu rozdzieleni jednak byli na dwie grupy, które wcale nie chciały ze sobą współpracować. Poza tym, jak powiedział Jordi, istniały przesłanki, by sądzić, że skarb ma jednak związek z zagadką.

Unni straciła dobry humor.

- Przybyliśmy tu, by ocalić kilka wspaniałych starych rodów od przekleństwa. A tymczasem jakaś wataha żarłocznych sępów podstępem wyciąga od nas pomoc i przeszkadza nam w działaniu. Nikt z was nie jest nam potrzebny, tylko nam zawadzacie. Wynoście się stąd więc! Wszyscy drobni kryminaliści, dziwki i playboye za dychę! Wynocha!

Oczywiście nikt nie wyszedł. Podniósł się za to głośny gwar, bo wszyscy poczuli się urażeni, i Jordi zorientował się, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Flavię brat uwolnił ze swetra, wykasływała teraz wełniane włoski, z sykiem powtarzając, że Emma miała rację: nikt z zebranych na kamiennej płycie nigdy nie wystrzeli, choćby tylko po to, by zranić. Jordi poczuł się urażony, bo, prawdę powiedziawszy, usiłował trafić Thorego Andersena w stopę, ale nie wcelował.

Słowa Flavii zachęciły jednak do walki. Niczym na dany sygnał trzech bandyci i Thore Andersen ruszyli do ataku z zamiarem odebrania grupie przyjaciół panowania nad kamienną płytą.

Na skalną ścianę, w której tkwili uwięzieni Sissi i Miguel, padły cienie. Zrobiło się zimno.

Miguel objął dziewczynę ramieniem, żeby ją trochę ogrzać, już wcześniej oddał jej swój sweter. Jemu chłód nie dokuczał.

Sissi wtuliła głowę w jego ramię.

Przez kamienną kratę widać było kilka olbrzymich szczytów, najodleglejsze pustkowie Picos de Europa, w które nikt się nie zapuszczał.

„Tam gdzie nikt nie chodzi”.

Słowa te prześladowały ich od samego początku.

Od dawna siedzieli już w milczeniu, zatopieni we własnych myślach, lecz bardzo świadomi swojej wzajemnej bliskości.

Miguel wiele się nauczył o tym, jak delikatne palce przesuwające się po policzku lub po karku potrafią mówić własnym językiem o miłości. O tym, jak ledwie wyczuwalne muśnięcie warg na uchu czy dłoni opowiada o czułości, o poczuciu wspólnoty.

Uchwycił się słów Sissi, że nadzieja to dar. Wiedział, że będzie musiał zabić dziewczynę, lecz nie miał na to sił. Postanowił wstrzymać się do chwili, gdy Sissi będzie cierpieć i z radością powita śmierć.

Wtedy rozpocznie się jego długa samotność.

Myśli te były tak ciężkie, że odczuł prawdziwą ulgę, gdy Sissi się odezwała.

- Odmieniłeś mnie, Tabrisie.

Tabrisie? Nazwała go Tabrisem. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Przeniknęła go ciepła fala radości.

- O czym myślisz?

- Kiedy mieszkałam w Skanii, nie było mi łatwo. Mam na myśli chłopców. Jako nastolatka byłam chłopczycą, nigdy nie bawiłam się lalkami, trenowałam z chłopcami, wspinałam się na drzewa, podejmowałam najrozmaitsze wyzwania. To było zabawne aż do chwili, kiedy urosłam na tyle, że sama zaczęłam się oglądać za chłopakami. Oni jednak się mną nie interesowali. Z początku nie mogłam tego zrozumieć i głęboko mnie to raniło, aż podsłuchałam kiedyś, jak dwie dziewczyny rozmawiają: „Nie, Sissi nie jest niebezpieczna, chłopców nie interesuje pęczek mięśni, który chce stale urządzać zawody i we wszystkim z nimi konkurować”. To była prawda, chłopcy bali się mnie, bo potrafiłam pokonać ich we

wszystkim. W pojedynku na rękę, w wiosłowaniu, w próbach wytrzymałościowych, naprawdę we wszystkim. Potem zaczęły się większe problemy. Podkochiwałam się w chłopcach, którzy mnie nie znali, którzy chcieli tylko iść ze mną do łóżka. Byłam taka głupia, Miguelu, ale pragnęłam, by zwracano na mnie uwagę jako na dziewczynę. Uf, kiedy myślę o przeszłości...

- No tak, zauważyłem, że nawet Antonio ma problemy, żeby się z tobą mierzyć siłą. Jordi posiada inną moc, więc on się nie liczy. Nie, nie, tobie potrzebny jest demon - uśmiechnął się ze smutkiem z twarzą wtuloną w jej włosy.

- Może i tak - roześmiała się niepewnie. Wiedzieli jednak, że to niemożliwe. Każde z nich żyło w swoim własnym świecie, w swym własnym wymiarze i nigdy nie mogli żyć razem. A tego właśnie oboje pragnęli. Być blisko siebie.

A teraz postawiono przed nimi jeszcze jedną barierę. Jedno miało umrzeć, drugie przez całą wieczność żyć w zamknięciu.

Cóż, los Sissi był z całą pewnością łatwiejszy.

Słońce wciąż oświetlało szczyty gór w oddali, lecz jego blask nabierał już czerwonego wieczornego odcienia.

Nagle obraz się zmienił. Oboje drgnęli i usiedli wyprostowani.

Coś zasłoniło widok.

Zwierzę?

Nie, jakaś ludzka istota. Piękna postać spowita w czarny woal, ozdobiony złotymi ornamentami.

- Urraca - szepnęła Sissi w uniesieniu. Miguel napiął się jak łuk.

Ach, mój Boże, nie powinnam była wymieniać jej z imienia, uświadomiła sobie ogarnięta żalem i rozpaczą Sissi. Lecz może on i bez mojego mówienia już to wiedział?

Spoglądająca z powagą kobieta oznajmiła:

- Wasi przyjaciele was potrzebują. Już teraz. Trzeba się spieszyć.

- Wiemy o tym - odparł krótko Miguel. - Ale nie możemy stąd wyjść. Krata została zamknięta za pomocą czarów przez demona, Zarenę, można ją otworzyć jedynie z zewnątrz. I prawdopodobnie tylko ona może tego dokonać, a ona już tu nie wróci.

W kącikach ust Urraki igrał ironiczny uśmieszek. Przesunęła palcami po kracie. Ręka Miguela na ramieniu Sissi zacisnęła się mocniej.

- Nie! - zawołała Sissi. - Urraco, nie rób tego, to niebezpieczne!

Wiedźma popatrzyła na nią przelotnie, bez wyrazu.



- A kto inaczej cię wypuści, dziewczyno? Znalazłam już zamek, to proste zakłęcie. Oczywiście dla tego, kto się na tym zna - dodała, świadoma własnych zdolności.

Miguel toczył ze sobą ciężką walkę. Sissi poznawała to po każdym rysie jego twarzy, po białych kostkach, po niespokojnym oddechu, po postawie drapieżnika w każdej chwili gotowego do skoku...

Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. Strząsnął ją, jak gdyby w ogóle nie był świadom jej obecności.

- Miguelu, stajesz się Tabrisem, zmieniasz się - powiedziała błagalnym tonem. - Wyglądasz strasznie!

Nie słuchał. Całą swoją uwagę skierował na Urracę. Czekał, aż otworzy zamknięcie.

Urraca, jego zdobycz, jego trofeum.